

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr II/290

1971



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

PELIKAN : **MOROWA I Z CHARAKTEREM**

J. LEWANDOWSKI : **ROZWAŻANIA METAFIZYCZNE**

SZ. TOKARZEWSKI - **TOWARZYSZ DOSTOJEWSKIEGO NA KATORDZE**

PROCES PRZECIW KSIĄŻKOM

SPIS RZECZY

Pelikan:	<i>Morowa i z charakterem</i>	3
Józef Lewandowski:	<i>Rozważania metafizyczne</i>	13
Szymon Tokarzewski:	<i>Z Teodorem Dostojewskim na katordze</i>	32

WIERSZE

Bogdan Czaykowski:	<i>Miejsce</i>	40
" "	<i>Lato 1971</i>	41
" "	<i>Akwarius</i>	41

ARCHIWUM POLITYCZNE

Juliusz Mieroszewski:	<i>Zawieszenie doktryny Breżniewa</i>	43
Brukselczyk:	<i>Widziane z Brukseli</i>	50

SĄSIEDZI

Borys Lewyckij:	<i>Spis ludności w Z.S.S.R. w 1970 roku</i>	61
Karel Klatovský:	<i>Stosunki kulturalne polsko-czesko-słowackie</i>	69
Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	78
S. W. Kozłowski:	<i>Przegląd niemiecki</i>	84

ZE ŚWIATA

Marian Rawicz:	<i>Eksperyment chilijski</i>	89
----------------	------------------------------------	----

K R A J

—	<i>Proces przeciwko księżkom</i>	98
—	<i>Świadek szczeciński</i>	113

SPRAWY I TROSKI

Edward Puacz:	<i>Kryzys prasy polonijnej w U.S.A.</i>	124
—	<i>Emigracja a odbudowa Zamku</i>	126

KRONIKA KULTURALNA

Edward Możejko:	<i>Nieznaný list Żeromskiego</i>	128
—	<i>Komunikaty</i>	133

KSIĄŻKI

M. Broński:	<i>Nić czarna</i>	135
Maria Danilewiczowa:	<i>Krajowe nowości wydawnicze</i>	138
—	<i>Nadestane nowości wydawnicze</i>	144



—	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	146
Redakcja, J. Boniecki, St. Kormornicki, Sz. Laks, F.N. Schoell, G. Strobel, A. Szolowski, K. Wenda:	<i>Listy do Redakcji</i>	150

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Listopad-Novembre

1971

INSTYTUT



LITERACKI

NOTA BIOGRAFICZNA

Marian RAWICZ, ur. w 1908 roku we Lwowie. Studia malarskie w krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych (1926-28) oraz studia grafiki użytkowej w Państwowej Akademii Sztuk Graficznych w Lipsku (1928-30). Od roku 1930 do 1947 pracuje w Hiszpanii jako grafik i tłumacz książek z polskiego i niemieckiego na hiszpański. Skazany na dożywocie za udział w wojnie domowej hiszpańskiej, przebył ponad 7 lat w więzieniu. W roku 1947, po amnestii od reszty kary wyemigrował do Chile gdzie podjął działalność grafika i tłumacza. Przełożył m.in. na hiszpański: „Cmentarze” Hłaski, „Policjantów” i „Tango” Mrożka, oraz ostatnio trzytomowe pamiętniki Ignacego Domeyki. Od roku 1966 jest profesorem typografii artystycznej w chilijskiej Wyższej Szkole Sztuk Pięknych.

WPLĄTY NA FUNDUSZ «KULTURY»

Dr J. Bąkowski, Miami Beach, Fla (USA), po raz drugi	F. 27,50
Wacław H. Bniński, Washington, D.C.	F. 100,00
Prof. Andrzej Brzeski, Davis, Cal. (USA), po raz czternasty ..	F. 110,00
Dr Helena Eilstein, Pittsburg, Pa. (USA)	F. 27,50
Inż. Ryszard Głodkowski, Saint Max (Francja, po raz siódmy	F. 50,00
Mieczysław Kowalski, Clifton, N.J. (USA)	F. 6,00
Prof. Jerzy Langrod, Paryż, po raz trzynasty	F. 100,00
Dr. T. Maciejczyk, Milledgeville, Ill. (USA), po raz trzeci. ..	F. 55,00
Norbert Żaba, Stockholm, celem uczczenia pamięci śp. gen. Zdzisława Przyjałkowskiego, wieloletniego przewodniczącego Rady Uchodźstwa Polskiego w Stockholmie	F. 55,00

DZIĘKUJEMY!

Morowa i z charakterem

Jeszcze chwila, właściwy artykuł jeszcze się nie zaczął, obaj się znajdujemy wciąż poza jego obrębem, ja i Pan, Czytelniku, ale chciałbym żeby już stamtąd — jak zza okna — doszło Pana wyznanie wiary czy coś w rodzaju uprzedzenia: Gdańsk! Niech to słowo ustali porządek mojego listu. To była ta sprawa największa, decydująca w okresie sprawozdawczym (jest prawie rok od czasu gdy przesłałem ostatni artykuł) i ona nadaje ton każdemu rozważaniu na tematy polskie od tamtego momentu.

Nie przesadzam: rok to potworny upust czasu, wyciek czasu w sensie bezpowrotnym i operacja-gigant zacierająca w wydarzeniach ich rysy własne. Znowu tyle zostało zapomniane od roku w imię kolejnej marnej stabilizacji — dla której przymiotnika jeszcze nie wynaleziono — i tyle zostało zaklajstrowane w celach ugodowych (z czym?), w interesie rzekomej normalności, że słów braknie na wyrażenie tej straty. Nie mówię tak dlatego, że życzyłbym Polakom utrzymania ich życia w stanie ciągłego wrzenia. Owszem, życzyłbym tego Polakom, ale to technicznie i pod każdym innym względem niemożliwe. Żałuje się jednak tej ostrości widzenia, jaka wówczas nas wszystkich ogarnęła: żyło się w stanie ostrowidztwa i gotowości, jak się podobno żyje na kilka chwil przed śmiercią. Trzecia tego rodzaju cezura: październik 1956, marzec 1968 i grudzień 1970. Nie, nauki z tego nie ma żadnej, morału nie widać, wnioskowanie wydaje się ryzykowne — było za to wielkie przeżycie i niech to każdy z nas zapisze na swoją taśmę magnetofonową.

Coś jednak zostało w postaci niemal dotykanej. Byłem miesiąc temu w Gdańsku, naturalnie żeby zobaczyć ślady wypadków, dopatrzeć się jeszcze materialnych oznak wspaniałego gniewu, który wtedy tu rządził przez kilka dni: nic, skrzydło dworca

jeszcze nie odbudowane, za to gmach Komitetu Partii jeszcze bardziej, cacany, jaśniejszy, nawet nowe kosztowne posadzki zostały tam przy okazji położone, można rzec, że gmach się dorobił szykowniejszej prezencji i że w ogóle ten gmach wygrał. Ale czekający na taką okazję przyjaciele poprowadzili mnie po tropach, aż wszystko znowu wyszło od spodu jak pierwotny napis palimpsestu. Więc to tak. Szczerze powiedziawszy nie musiałem czekać na rekonstrukcję wizji lokalnej, żeby przyznać się, że już od przedmieści Gdańsk czyni zupełnie inne, tym razem autentyczne wrażenie. Gdańsk, który przy całej sympatii dla nastrojów i pryncypiów muzealnictwa robił jednak nieodparte wrażenie podfałszowanego mebla z epoki albo dekoracji do filmu — Gdańsk w tej formie i treści znikł, na jego miejscu jest miasto nobilitowane, miasto wreszcie p r a d z i w e, włączone nareszcie do organizmu, dźwięk jego imienia jest nasz i już każda rzecz tu jest nasza. Metamorfoza historii, stawanie się historii — pojęcia z rzędu durnych i chmurnych frazesów — były teraz w oczy.

Ze ściśniętym sercem, przeżywając pełną rozkosz bezprzemiotowej zadumy, jeździłem i chodziłem po tym Gdańsku urzeczywistnianym przez rewolucję grudniową i mogę oświadczyć, że już nie ma potrzeby ograniczać się w tym mieście do przeżyć estetycznych — ależ skąd! — bije zewsząd prawda tutejszego piękna, starości tutejszej, nadzwyczajność tutejsza i chciałoby się powiedzieć: a skądże się to wszystko tak raptem wzięło — gdyby nie to, że tak dobrze wiadomo skąd to się wzięło.

Tyle zza okna.

Okoliczności mnie zmuszają, a proszę odczytać to dosłownie, do przesłania tego artykułu w formie brulionu. Niżej podpisany godzi się na to z żalem, tak jest, z niechęcią, bo publicysta musi wykańczać swoje produkty i podbić niezbędnymi ćwiekami jak szewc buty. W tym wypadku liczę, ryzykując niewypał, że podane tu uwagi nawet w swojej nierozwiniętej postaci przydadzą się adresatom jako materiał do dalszego przemyślenia. Zresztą ryzyko leży od początku w charakterze niniejszej korespondencji, a nie mam na myśli niebezpieczeństw policyjnych, choć ich nie bagatelizuję — tylko ryzyko nieporozumienia.

O pisaniu do *Kultury* — od dawna chciałem coś powiedzieć, odczuwałem to jako konieczność małego gestu samobrony, który zresztą nie ma żadnego praktycznego znaczenia. W tych warunkach pisanie do *Kultury* ma w sobie coś chimerycznego. Nie ma możliwości sprawdzenia, czy to jest dialog czy tylko monolog i czy go ktokolwiek w jakiejś mierze słyszy. Z podobnym uczuciem mówi się przed ekranem telewizji i nic nie pomogą wszelkie gwarancje, że w próżni na przodzie istnieje

słuchacz i widz: przykre, niemal kompromitujące wrażenie próżni i ciemności nie ustępuje, krzywi rysy, podrabia całą twarz i sposób zachowania się. Coś podobnego w tym wysyłaniu artykułów do *Kultury*. Jakby się wygłaszało przemowy do kogoś za ścianą, a ten nie jest w stanie nawet odpukać, że rozróżnia słowa. W tych warunkach i chyba o to mi chodziło, trzeba być bardzo przywiązanym do samej idei tego rodzaju korespondencji. Jej wadą dodatkową ale organiczną jest nieznośne rozrzedzenie w czasie, co przypomina perspektywiczne zanikanie grzbietów wysepek w płytkiej a rozciągniętej wodzie: zaczyna się wątpić w ich więź pod powierzchnią, w ich realność w ogóle zaczyna się powątpiewać, bo daleko, bo blask, bo taka konsystencja wody. Więc jednak jest i być musi szczególne przywiązanie do samej idei pisania na tych warunkach, ale na czym ono polega?

To jest kwestia honoru, niewątpliwie, choć na rozwinięcie tej myśli czy raczej podejrzania nie ma na razie czasu. To jest instynktowna potrzeba dokumentacji, też coś nieokreślonego, zwierzęcego, odruch gatunku. *Kultura*, mówiąc po krótko, odegra w przyszłości rolę znacznie ważniejszą niż gra w tej chwili, jako pismo wojujące z określoną sytuacją narodową. W przyszłości *Kultura* odegra ogromną rolę jako zapis na taśmie magnetofonowej i jako zbiór zeszytów historycznych. Być może kierownicy *Kultury* przywiązują główną wagę do roli która spełnia ona w chwili bieżącej, jako oręża, organu polemicznego i ostrzegającego. Byłoby dziwne, gdyby tego nie doceniali, gromadzić materiały dla anonimowej potomności, liczyć wyłącznie na tych niewiadomych (późnych wnuków), nieobecnych i nieurodzonych — to jednak nieludzkie i w pracy obozowej. Ale ta doraźna, dzisiejsza robota ma niewątpliwie charakter gry, krzyżujących się interesów i różnych innych ludzkich, w znaczeniu personalnym, cech, które na pewno naród, jako główną instancję i w końcu jedyną instancję — nie obchodzą. Dopiero jutro uporządkuje wartości. Gdy nie będzie nas i kiedy już lasu też nie będzie, a współczesne rozróżniki polityczne przestaną być czytelne — tomy *Kultury* wyłonią się z całej swojej przypadkowości i to już będzie długi zapis na taśmie magnetofonowej. Ten program pogrobowcowy, deprymujący, jest programem — w pewnym kontekście — minimum, tkwi w nic coś z rezygnacji. To jest wiara tak ostrożna, że traci charakter wiary, powiecie. Ależ tak, możliwe. Tylko że trzeba koniecznie mieć czego się trzymać. To w warunkach, o których mówiłem, chimerycznego — z głębi próżni — powinna pisać. Na tym polega przywiązanie do idei korespondowania z *Kulturą* i choć wydaje się to bardzo mało, jest w istocie dużo, na więcej nie stać. Bo sytuacja przestała być

tak klarowna jak przed rokiem, na szczęście przestała być nie-dwuznaczna.

O nowej fazie sytuacji która na szczęście nie jest prosta: dla publicysty była ona dotąd nieomal samograjem, nie było prawie potrzeby forsowania mózgu, żeby zdać sobie sprawę z tego co się dzieje; pozostawały, powiedziałbym, tylko trudności językowe i trudności ekspresji. Obecnie to jest znacznie bardziej podobne do samego życia, zagadkowe, ale równocześnie wzrosły kłopoty ekspresji, bo to co jest dziś już się nie mieści w jednym czy kilku epitetach, trzeba szukać nazw i próbować. Z epoki epitetów przeszło się do epoki przypuszczeń, na szczęście! Oby już nigdy nie było potrzeby wracać do epoki brzydkich wyrazów, za które karano w dzieciństwie i słuźnie. Życie publiczne i życie *tout court* stworzone przez Gomułkę i jego kolegów zdemoralizowało styl całej masy publicystów, co najlepiej widać w gazetach emigracyjnych. Oby życie tworzone przez Gierka i jego kolegów (co prawda przeważnie chodzi tu o te same osoby) zostawiało coraz więcej miejsca na zdania określające i wyeliminowało brzydkie wyrazy — bo i tak tę sytuację można sportretować, choć wciąż jeszcze nie czas na żarty.

O nadziei opartej na wątplych przestankach. Jest nadzieja, ale jej przesłanki są bardzo niepewne i gdy tak mówię, gdy tak wielu mówi, nie rządzą nami ani przyzwyczajenie do złych ocen z góry, ani sceptycyzm za wszelką cenę, bo i takie zjawisko istnieje, niektórzy publicyści uzależnili swoją sprawność zawodową i losy swoje od szans utrzymania się przy poglądach na nie. Jeżeli i w tym wypadku tak może wyglądać, nie jest to kwestia uporu i rutyny, wina leży po drugiej stronie, to jest coś genetycznego i pełnego gorczy, jak myśl o kurczącym się z dnia na dzień życiu. To o czym próbuje zapewnić Gierek, do czego chce wciągnąć — nie jest obiektywnie nieprawdopodobne i z góry wykluczone i dialektyka użyta do tego celu, nie wydaje się już tak bzdurna jak przed rokiem. Owszem to wszystko p o l u d z k u, to znaczy z podjęciem zwykłego w takich razach ryzyka, byłoby do przedyskutowania, do przyjęcia i nawet do zrobienia. Ale studnia jest zatruta!

Źródło informacji, z którego podaje się nam do picia jest zatrute, a znaczy to, że dziś można w Polsce odrobinę więcej krytykować i czasem wygląda to na krytykę merytoryczną — nawet obowiązująca w dalszym ciągu metoda aluzji zdobywa się na większą bezpośredniość — ale tego jednego pod groźbą dostania w łeb nie mamy prawa głośno powiedzieć: że Gierek i koledzy nie zdołali się oderwać od dotychczasowej studni infor-

macji, nie wyrwali się z raz na zawsze zatrutego działu wód. Wspominałem w poprzednich szkicach, że to nie jest kwestia zdecydowania pewnego dnia, że się będzie mówić prawdy nieco więcej: to może polegać tylko na czymś podobnym do oczyszczenia się z grzechu pierwotnego. Na początku istnienia pierwszego państwa sowieckiego i potem w organizacji, w kulturze całego systemu satelickiego legło jakieś prałgarstwo czy cały związek kłamstw o charakterze prakomórki i to zaraziło następnie całą płynącą stamtąd aż do dziś mowę: nie ma na to rady, trzeba odciąć się od źródeł, a na to znowu Gierka nie stać, tak daleko nadzieja nie sięga, to darmo. Narzekałem na początku, że z braku czasu muszę tu swoje spostrzeżenia ledwie szkicować i tak jest naprawdę, ale jeżeli tę sprawę oczyszczenia źródeł informacji stawiam teraz jako główne kryterium artykułu, to już się nie dzieje z pośpiechu, tylko z przekonania, że nie ma nic ważniejszego. O słabości przesłanek na których się opiera nadzieja reformy i poprawy decyduje fakt, że Gierka nie stać na oderwanie się od praźródeł informacji. Nie chodzi o zadowolenie klerków, nie chodzi o satysfakcję i pychę intelektualistów — najprostsze poczynania reformatorskie wezmą w łeb, jeżeli się nie zmieni jakości informacji, co można wyrazić jeszcze krócej: mimo wszystkich interesów propagandowych państwa informacja musi dążyć do tego, żeby być choć trochę informacją a nie do tego, żeby choć trochę przestać być dezinformacją. To nie jest jedno i to samo, to wskazuje na kierunek intencji, te dwa przeciwne sobie kierunki są znamiennie.

Jacek Malczewski miał kompleks „zatrutej studni” i namalował to w kilku wersjach, nikt nie podejmie się odczytać zawartej w tym symboliki, on sam nie wiedział o co chodzi i podobno mówił: — Lepiej spytajcie Hoesicka! Zamiast tytułu dzisiejsza korespondencja winna mieć w nagłówku reprodukcję jednej z „Zatrutych studzien” Malczewskiego i nie bałbym się wieloznaczności takiego hieroglifu. Wyszliśmy, powiadam, z fazy przygnębiającej jednoznaczności, znow jesteśmy w jedynym godnym człowieka otoczeniu — w ogrodzie trybu warunkowego. Nie wiadomo jak długo można tam będzie zostać.

O ciągu dalszym reglamentowania wiadomości. Rzecz prosta to się nie skończyło, bo i nie mogło skończyć jak nożem uciął. Technika rządzenia — żadna technika rządzenia żadnym państwem — nie wytrzymałaby podobnego szoku bez zmiany istoty państwa. Spróbujmy dojść do granic teoretycznego obiektywizmu: każda organizacja państwowa, choć w różnych proporcjach, składa się z włókien fałszywych, z głuchych klawiszy, z mitów i łgarstw podręcznych, przede wszystkim buduje sobie włas-

ny Olimp wyszanych z palca biografii. Odstęp między tymi mechanizmami propagandy a zwykłą prawdą jest miarą wartości państwa z punktu widzenia interesu obywatela, miarą demokracji. W jednym z poprzednich artykułów użyłem przenośni Golema dla zobrazowania natury państwa Gomułki i podobnych mu, jednorodnych państw. Mniejsza z tym czy przenośnia była całkiem trafna, już się jej muszę tu trzymać, sam sobie postawiłem pewne punkty odniesienia, znaki, których w tej robocie na kolanie nie zdążę wymienić. Jakże się dowiem czy mój milczący partner za ścianą akceptuje zmiany?

Otóż w strukturze Golema rozdział między łągarstwem a prawdopodobieństwem był tak duży, niezmierny, aż tak się rzucał w oczy, że dowodziło to tylko jednego: Golemowi nie zależało na utrzymaniu pozorów dialogu ze społeczeństwem, łągało się w oczy i to było w pewnym sensie cudownie proste. Kto mógł, odpowiadał na to brzydkimi wyrazami robiąc sobie gorzkie wyrzuty w duchu, bo obyczajność w mowie staje się drugą naturą.

Teraz rozdział został zmniejszony — trudno się naprawdę zorientować co znaczą te nowe wymiary rozdziału — w każdym razie pozory utrzymania dialogu ze społeczeństwem doprowadzone zostały do swoich form funkcjonalnych. To znaczy, że widać z różnych manipulacji, że rządowi zaczęło zależeć na tym, żeby jego mity, jego olimp i prahistoria, cała ta sztuka mennicza — zostały jednak brane choć trochę serio. Nikt nie marzy o serio zupełnym, o serio połowicznym, to wciąż za duże wymagania: ambicja dotyczy rzeczy minimalnych, żeby się było o co zaczepić.

Kioski ruchu jako platońskie odbicie rzeczywistości PRL.
„Ruch” to organizacja kolportażowa, kioski są źródłem zakupu prasy. Wkrótce po rewolucji grudniowej rozeszła się wieść, że w kioskach można się będzie zapisać na listę amatorów wykupienia przygotowywanego wtedy numeru *Nowych Dróg*, głównego magazynu Partii. Materiał, acz okrojony, zapowiadał się dostatecznie rewelacyjnie, żeby warto go było sobie zabezpieczyć, a chytre babki z kiosków przewidywały, że będzie tego na lekarstwo. Okazało się gorzej niż chytre babki przewidywały — po trzech miesiącach czekania przywieziono do największych kiosków po 2, 3 egzemplarze — listy na nic. To był pierwszy stopień reglamentacji, zawarty w technice kolportażu. Drugi stopień miał charakter merytoryczny, polegał na maksymalnym zdeformowaniu prawdy. Zatarcie przyczyn, zredukowanie cyfr, zakitowanie obrazu: ale mimo to treść tego unikalnego numeru pozostała wstrząsająca, nawet dla tych, którzy gołym okiem asystowali tragedii. A jednak w Październiku można było kupić sobie *Nowe Drogi* bez kombinacji? Owszem, i w ten sposób

pierwsza analogia z przewrotem Gomułki zawiodła, choć nic z tego nie wynika. Gierek jest mniej gadatliwy i znacznie inteligentniejszy od swego poprzednika, ma wreszcie tę wyższość, że może sobie czytać w przeszłości i radzić się tamtych analogii. Wie na przykład, że nie stoi przed nim tak przykre, niewygodne i brutalne zadanie jak zamknięcie *Po prostu* i cywilne zlikwidowanie paczki ówczesnych entuzjastów, którzy przez krótki czas mieli złudne prawo mówić. Gierek skorzysta z faktu że zagadnienia analogicznego do zagadnienia *Po prostu* nie ma: bo gdyby chciał i umiał oderwać się od skażonej studni i praźródła interpretowania rzeczywistości — to skorzystałby z okazji w inny sposób, przekraczając kreskę zero i tworząc w kraju kilka czy kilkanaście redakcji *Po prostu*.

W pewnym dużym mieście zachodnim (u nas) kiosk „Ruchu” stoi akurat przed sklepem rybnym, a ja wychodzę sobie ze sklepu, z tzw. Centrali Rybnej, niosąc pod pachą niedostatecznie zawinięte filety z karmazyna. Karmazyn to smaczna ryba dalekomorska, po łacinie *Sebastes marinus*, z rzędu okoniokształtnych — o ile pamiętam nie jadało się tego przed wojną. Nie wiem jak to się stało, że w tym mieście gdzie jeszcze spotyka się ślady tradycji solidnego handlu — nawet w handlu tzw. uspołecznionym — zapakowano mi tę mrożoną, wilgotną rybę w skąpy i liche kawałek papieru. Skierowałem się do kiosku i proszę o gazetę. — O jaką gazetę? — pyta mnie kioskarka zorientowawszy się w sytuacji. — Jeżeli chodzi panu o dobrą gazetę do zawinięcia, to ja mam tu taką i kosztuje tylko 30 groszy. — To mówiąc podaje ze świeżej sterty egzemplarz moskiewskiej *Prawdy*, było czym rybę opakować i zapłaciłem 20 groszy taniej. Ale to ratychmiastowe porozumienie, ten wyzuty z szyderstwa pragmatyczny stosunek kioskowej baby do pewnego typu wydawnictwa, które produkuje kolosalna instytucja o światowych pretensjach, ale ta niemal mechaniczna ocena wartości pisma lansowanego przez mocarstwo jako syntezę czy ideał prawdomówności, co zostało potwierdzone absolutyzującym tytułem *Prawda!* Niezapomniane wrażenie, skrót jak w genialnym filmie, zastrzyk morfiny który rozciąga źrenice! Babina z poznańskiego kiosku pozbawiona złudzeń i nawet niechętna do łatwego żartu wskazuje do czego nadaje się jeden z drukowanych symbolów Zatrutej Studni: do zapakowania mokrej ryby. W ciągu dwóch minut odbył się piorunem proces kompromitacji pewnego mitu. Człowiek który żąda od nas wysiłku koniecznego do powzięcia nadziei ani podejrzewa, że tak właśnie — bez przesłony — wygląda jego zaplecze ideowe i człowiek ten chce stworzyć nową sytuację albo próbuje wywołać wrażenie że chce nową sytuację stworzyć. Przecież to nonsens!

O *wzruszających legendach Gierka*. Potworzyły się samorzutnie, w samym społeczeństwie, legendy o Gierku, które wzruszają, bo świadczą że człowiek ma różne możliwości bezgraniczne, na przykład czepiania się brzytwy, wywoływania w sobie stanów naiwności. Wydaje się że każda cokolwiek zręczniejsza demagogia zdoła ludzi skusić do marzeń. Po takich 25 latach jakie społeczeństwo polskie ma w kościach i pamięci powinno być ono twarde, septyczne, zakłęśte, jak ta babka z kiosku. Otóż nie i donoszę o tym rezygnując z analizy. Nad Prosną w tak zwanej resztówce siedzi pewna rodzina dawnych szlachciców i inteligentów, ze wszystkimi komicznymi i ze wszystkimi cennymi cechami swego martwego stanu. Nie mają pojęcia o gospodarowaniu na kilku morgach z wymarłym (naturalnie) sadem, norki im wyzdychały, chodzą wszyscy w łąkach i rozbrajając brudni, za to babcia, pani Cz., o dwusylabowym pięknym nazwisku, woła na kurki po francusku, w ciemnej izbie wisi portret ojca-powstańca, a jak i co się tam myśli o obowiązującej polityce, to lepiej nie mówić. Nastął Grudzień. Po Gierku coś poderwało tę ściśle zdefiniowaną gromadkę do zmanifestowania nadziei, równie raptownej, jak niespodzianej w konkretnych warunkach. W środku gospodarstwa był kawał ziemi zarośnięty, pożarty chwastami i oddany bezpowrotnie naturze. Babcia coś krzyknęła, zaczęła ten okrzyk powtarzać co dzień i zabrano się do roboty, wypielono, wyczyszczono paskudny ogródek, który został nazwany Poletkiem Gierka. Autentyczne.

Przyjechał Gierek na inspekcję do wielkiego zakładu produkcyjnego i odmówił wzięcia udziału w arcykosztownym bankiecie, kazał sobie podać rachunki, opieprzył kogo trzeba za marnotrawstwo i zaprosił czarnoroboczą załogę do stołów. Gdzie indziej fabryka ofiaruje Gierkowi tzw. wygospodarowany samochód, polski fiat, Gierek nie tylko odmawia, ale kogo należy karze i zawstydza. O Gierku się mówi: ależ wystarczy do niego napisać list! Przyjmie, odpowie, będzie z człowiekiem rozmawiał...! I opowiadający sypią nazwiskami, opisami konkretnych okoliczności, schemat bajki napełnia się jak piękny balon i rozkwita w oczach ta najbardziej okrutna forma nadziei — nie licząca się z prawdopodobieństwem. Ale co w takich razach robić? Ma człowiek prawo — święte — do stawiania swojemu gorzkiemu losowi tego rodzaju kwestii i zadań do rozstrzygnięcia i lepiej tego prawa nie tykać, choć intelektualnie sprawa wygląda przerażająco. W czasie podobnych rozważań siły opuszczają i to co się nazywa intelektualizmem, przekonanie o rozświetlającej mocy rozumu, przestaje być niewzruszonym punktem oparcia.

O *intelektualistach działających skośnie*. Kto dziś pisuje w ka-

tolickim *Tygodniku Powszechnym*, najbardziej niezależnym organie prasowym w Polsce, jeżeli słowa niezależność użyjemy w możliwym tu sensie? Pisuje tam znowu Kisielewski, ale na tej samej stronie publikuje się Żyd i liberał starego chowu, Antoni Słonimski, którego nie trzeba przedstawiać. A obok pisuje Andrzej Kijowski, chowu już powojennego, krytyk literacki i nie tylko literacki, piekielnie inteligentny publicysta, którego tylko nadzwyczajna sytuacja mogła zmusić do zaakceptowania gościny na łamach demonstracyjnie katolickiego, bez przymiotników, pisma. Droga Słonimskiego i Kijowskiego do *Tygodnika Powszechnego* ma coś z oszałamiającego skrótu-koncepcji w tym samym rodzaju, jak ów wypadek z gazetą radziecką, zaofiarowaną mi w kiosku jako papier do zawinięcia ryby. Lapidarność koncepcji nie do wyjaśnienia dla tych, którzy polskich stosunków nie znają: gdyby wszedł jeszcze do *Tygodnika* Andrzejewski i Kołakowski, którego w kraju nie ma — metamorfoza zostałaby uwieńczona. To jest jedyny możliwy, widoczny, rodzaj opozycji. *Tygodnik* przestał wyobrażać poglądy katolickie, stał się pewną ograniczoną okazją patriotycznej manifestacji. Tak to jest.

O *Polsce morowej i z charakterem*. Jednak przypomnienie tego zaskakującego układu w publicystyce nie wystarcza. Pewne tendencje wyczuwa się w treści tego co pisze Kijowski. Nie mogłem, niestety, odnaleźć czerwcowego numeru *Tygodnika Powszechnego* żeby zacytować jego inteligentny jak zawsze, ale i nowy w gatunku myślenia felieton: Kijowski zaleca tam kształcenie innego typu Polaka, na innych tradycjach literackich, w klimacie pozytywizmu i rozsądku, co pozwoliłoby mu poprzestać na małym, a w każdym razie na mniejszym, niż dotąd (skala ambicji i pretensji historycznych). Robiło to wrażenie, że siedzący na tej — mocno odchylonej i trzeszczącej — gałęzi polscy intelektualiści czują jednak zawrót głowy i gotowi radzić nad zachowaniem równowagi, że i oni, w jakiś pełen dystansu i grymasu sposób, przejmują ton Gierka. Kijowski, który zna dobrze złożone pojęcie polskości — znacznie szersze niż infantylne pojęcia partyjne — pojęcie poddane od tylu lat trującemu działaniu studni, a jednak — mimo wszystkich zmian — trzymające się swego rdzenia, skomplikowane, historyczne, oszalałe w przymusowym milczeniu... o ileż większe niż narzucone mu formy życia, w istocie pasujące do miar zawartych w sztuce i literaturze — ten Kijowski proponuje ulepszenie nowego Polaka bez pretensji, z pozytywistycznym charakterem. Andrzej Kijowski!

Przed wojną, pamiętam, śpiewała wesoła służąca myjąc okna:

*Raju, co to za frajda, świeżego chleba pajda,
z masłem na palec grubo i biały ser!*

*Wszystko morowe, proste i zdrowe,
gospodarz jak ten tur
i gospodyni morowa, prosta i zdrowa,
charakter jak ten mur!*

Słowa trochę poplątałem, ale wyraz i duch był właśnie taki. Ideał Polski morowej i razowej, z nowym charakterem, bez wspomnień, jest *mutatis mutandis* ideałem Gierka. Czy to źle czy dobrze? Zdawałoby się, że trzeba wołać: ależ tak, to doskonale, pretensje nas gubią, wspomnienia nas rujną, a nowy syntetyczny Polak z obciętą historią, marzący realnie o „syrence” czy nawet o „fiacie”, korzystający z dostatnich domów wczasowych w najpiękniejszych okolicach kraju, grzejący się prawie darmo w różnych klubach emerytów, na różne sposoby odsunięty od zbyt widocznej biedy, nie zdający sobie sprawy z tysiąca rzeczy otaczających i dlatego morowy, dlatego z charakterem — niech sobie wreszcie będzie taki Polak, niech się stanie — może tak ma wyglądać faza odpoczynku i oddechu.

Byle się na to nie zgodzić jako na stan trwały, bo to ma być sen krótki, sztuczny, czasowe obniżenie ciśnienia. Byle nie uniemożliwiła ta pozytywistyczna kuracja powrotu w stan inny, dynamiczny. Mam na myśli odczuwanie Polski jako postawy filozoficznej, z uświadomieniem jej historycznej całości i całego niewygodnego skomplikowania. Polska nie może być wygodną postawą. Do tego może potrafię, i będę mógł, jeszcze wrócić, bo to jednak wymaga stosowania innych i wciąż następnych, kolejnych definicji, uściślenia idei, rozpatrzenia się w tej propozycji; na razie raczej się to odczuwa, jak smutek. Pamiętam nasuwające się tu słowa z jakiejś książki: odczuwaliśmy smutek jak mieszkańcy miasta zajętego przez nieprzyjaciela. Coś z tego jest. Miasto, w najbardziej duchowym znaczeniu tego słowa, miasto nasze jest zajęte przez nieprzyjaciela i przestaliśmy się do siebie odzywać.

PELIKAN

Rozważania metafizyczne

(PODSTAWY PAŃSTWA I PRAWA II)

Rozważania niniejsze, publikowane nie bez związku z dyskusją nad „Tezami...” Leszka Kołakowskiego, mogą sprawić wrażenie polemiki. Dla uniknięcia nieporozumienia uważam za słuszne stwierdzić, iż podzielam zasadniczą myśl Kołakowskiego o konieczności „wyciągania konsekwencji z najprostszych przykazań”. Wszystko inne leży w sferze dyskusji. Wielki mistrz demokracji, Marsaryk, słusznie twierdził, że „demokracja to dyskusja”.

Siedziałem kiedyś w dalekim rzędzie na zebraniu klubu polskich inteligentów na emigracji. Klub skupia osoby o różnych poglądach politycznych. Jego członkowie umówili się, że będą starali się zachować maksimum dobrej woli, potrzebnej dla zrozumienia odmiennych poglądów, że będą tolerancyjni i liberalni. I rzeczywiście, dyskusje w klubie toczą się w sposób merytoryczny lecz wstrzeźliwy, co nie jest przecież częstym zjawiskiem ani w kraju ani na emigracji. Ale czasem chochlik burzy zaplanowany spokój, wnosi elementy podrażnienia i nietolerancji. Pamiętam, omawialiśmy wydarzenia grudniowe na Wybrzeżu. Jeden z dyskutantów, osoba o przekonaniach socjalistycznych, dokonawszy analizy szeregu istotnych i powszechnie znanych przejawów, wyciągnął wniosek, iż w kraju odradza się ideologia lewicy, że społeczeństwo pragnie socjalizmu, oraz że pod tym sztandarem rozegra się batalia przeciwko podszywającemu się pod socjalizm totalitaryzmowi.

Zdanie to podzielała znaczna część zebranych. Ale nie wszyscy.

Następny mówca zebrał też potężną garść dowodów na rzecz odmienną tezę. Dowodził on mianowicie, że dwadzieścia siedem lat rządów komunistycznych w Polsce zniechęciły zupełnie naród do wszelkiej demagogii lewicowej, że opór narodu przeciwko komunizmowi wyraża się przede wszystkim w zakonserwowanych uczuciach religijnych, których nie zdołały wykorzenić lata prześladowań, propagandy antyreligijnej i indoktrynacji. Mówca nie wysunął wniosku, jaką będzie przyszła Polska, ale wniosek można było sobie samemu dopowiedzieć.

Dyskusja straciła swą zaprogramowaną wstrzeźliwość, rozlała się niemal jak powódź, stała się drażliwa, miejscami napastliwa. Ale, jak rzekłem, klub skupiał ludzi na poziomie, nie doszło więc ani do inwektyw ani chyba do głębszych zadrażnień osobistych.

Siedziałem w dalekim rzędzie i głosu nie zabierałem. Dyskutanci byli wytrawni, nad problemami zastanawiali się nie od dziś, mieli więc zarówno dużo odczytania jak i własnych obserwacji i refleksji. Ich dowody i wnioski były przekonujące. Słuchając to jednego to drugiego, skłonny byłem do zaakceptowania rozumowania i wniosków tego mówcy, który aktualnie znajdował się na trybunie, a jeśli nie mogłem tego uczynić, to tylko dlatego, że obydwie racje były sobie nie tylko przeciwstawne lecz i wykluczające się...



W czasie wspomnianej dyskusji na temat polskich perspektyw zachowałem dystans, z czego się cieszę. Nie zawsze mi się to udawało. Na własnej skórze doświadczyłem parokroć, że mało co może tak rozjątrzyć rozmówców jak wspomniany temat. Parę miesięcy temu siedziałem u znajomych emigrantów, sympatyzujących z tzw. „nową lewicą”. Popijaliśmy herbatę, zajadaliśmy imperialistyczne owoce, toczyliśmy inteligentną rozmowę. Zgadaliśmy się niemal we wszystkim, nie wyłączając nawet tego, kto jest „be” i kto jest „cacy”. Zgoda trwała do momentu, w którym rozmowa zesliznęła się „na temat”, później zamieniła się w niezgodę, zrodziła niechęć, nie pozbawioną cech trwałości. A szkoda.

W obydwu dyskusjach wspólny był nie tylko temat. Dyskutujących łączyła również metoda. Żadna ze stron alternatywy nie była wnioskowaniem z dostępnych dowodów i przesłanek, lecz czymś przeciwstawnym prawidłowej indukcji. Tezy były u podstaw, były produktem pragnień i światopoglądu, argumenty zaś były dobierane i stosowane po to, by tezę uzasadnić. Dyskutanci nie dopuszczali możliwości mnogości rozwiązań, nie dopuszczali też możliwości takiego rozwiązania, które nie mieściłoby się w ich schematach pragnień.

Daleki jestem od imputowania dyskutantom czegośkolwiek. Ta chwalebna metryka, którą skreśliłem wyżej bynajmniej nie jest daniną złożoną konwencji. A mimo to trudno mi się oprzeć wrażeniu, że ten monizm polityczny w ich — i nie tylko ich — poglądach jest konsekwencją co prawda nie indoktrynacji przez sowiezizm, ile ćwierćwiekowego obcowania z nim, poddawaniu się jego codzienności, której trudniej się przeciwstawić niż tezom i programom.

Zauważmy też, że w podobnych sporach można dostrzec też pewne przejawy niepokoju co do zasadności wyznawanych poglądów. Ongiś ugrupowania polityczne i apostołowie nowych idei, propagując swe koncepcje twierdzili, że uczynią szczęśliwymi, jeśli nie cały świat, to przynajmniej „wiernych”. Teraz dyskutanci zgadzają się co do negatywnej wartości sowiezizmu, ale nie mają odwagi twierdzić, że przyjęcie ich programu będzie rozwiązaniem najlepszym. Moi dyskutanci nie obiecywali szczęścia w ustroju teokratycznym lub socjalistycznym. Raczej argumentowali „wola ludu” i swej z ludem zgodności, podporządkowalności.

Ciekawe, że żaden dyskutant nie dopuszcza refleksji, co będzie, gdy „wola ludu” okaże się sprzeczna z głoszonymi przez niego poglądami. Czy X, Y, Z zmieni się i dostosuje się do poglądów panujących, czy też obierze ciernistą drogę niepopularności? Mieroszewski kiedyś napisał, a nie były to puste słowa, że on i *Kultura* są w podwójnej emigracji. Do takich stwierdzeń mało kto dochodzi, nawet ci, których zawodem jest doprowadzenie myśli do jej logicznych konsekwencji. W chwili gdy to piszę, dotarł do mnie artykuł filozofa, dzierżącego „rząd dusz” dużej części polskiej i nie tylko polskiej inteligencji. Filozof daje wyraz wierze, wyrażonej w sposób probabilistyczny, iż „w warunkach swobody wyboru znaczna większość polskiej klasy robotniczej i inteligencji opowiedziałaby się za socjalizmem”. Swoje własne opowiedzenie się stawia na drugim miejscu, czyniąc zeń rzecz pochodną. Nie jest to chyba tylko kwestia retoryki¹.

Ze wszystkich możliwych wariantów Kołakowski bierze pod uwagę tylko jedną ewentualność, innych nie widzi. Ale równie dobrze można założyć inne rozwiązania. W 1969 roku ukazała się broszura Andrieja Amalrika „Czy Związek Sowiecki przetrwa do roku 1984?”. Amalrik, niewątpliwie jeden z konsekwentniejszych umysłów współczesności, widzi mniej różowo rysującą się przyszłość:

„Ruch demokratyczny, nękany nieustannie represjami ze strony reżymu zapewne nie zdoła się dostatecznie wzmocnić i chyba nie będzie mógł przejąć

1. Leszek Kołakowski, „Tezy o nadziei i beznadziejności”. *Kultura*, Nr 6/285, 1971, str. 18.

kontroli nad krajem, a w każdym razie utrzymać ją dostatecznie długo, by rozwiązać stojące przed krajem problemy. Wówczas nieuchronny proces dezintegracji imperium będzie przebiegał w sposób szczególnie bolesny, władza zostanie przejęta przez grupy i elementy ekstremistyczne i kraj zacznie się rozpadać na części w atmosferze anarchii, gwałtu i skrajnej nienawiści narodowej²”.

Co prawda — jeśli chcieć — to można opinię Amalrika usunąć poza nawias niniejszych rozważań, gdyż Amalrik analizuje przyszłość Związku Sowieckiego a nie Polski i innych krajów satelickich, można też zauważyć, że Amalrik wiąże swe przypuszczenia przede wszystkim ze specyficznym rosyjskim tłem historycznym i strukturą wielonarodową, osobiście będą jednak bronił punktu widzenia, że rozpatrywanie współczesnych perspektyw polskich w oderwaniu od procesów dezintegrujących cały euroazjatycki system sowiecki byłoby sarmacką naiwnością.

Posiadając — jak wielu niedawnych „krajowców” — rozgąszone znajomości zwłaszcza wśród partyjnej i wojskowej biurokracji PRL oraz wśród tzw. „pracowników frontu ideologicznego”, nie raz i nie dziesięć słyszałem stwierdzenia zgodne z przewidywaniami Amalrika, z tym jednak, że nie tylko w stosunku do ZSSR ale i do innych krajów „socjalistycznych”. Mam podstawy przypuszczać, że strach przed społeczeństwem, przed „długimi nożami” i szubienicami na ulicach jest obecnie głównym czynnikiem jednoczącym rządzącą mafie we wszystkich państwach sowieckich. Ten strach spełnia jeszcze jedną istotną rolę — służy mianowicie, jako „uzasadnienie poprzez usprawiedliwienie” rządów sprawowanych przez sowieckie mafie. Ta argumentacja, rzadko publikowana³, jest stosowana przeważnie w formie ustnej, szczególnie otwarcie przez rozmaitych ludzi „tańczących tango” — jak się ich w Polsce, w ślad za Mrożkiem, nazywa.

Najpełniejszy wykład tej koncepcji i leżących u jej podstaw przewidywań otrzymałem w toku rozmowy, którą toczyłem wiosną 1969 roku z pewnym zdolnym naukowcem średniej generacji. Mój rozmówca był jedną z możliwych odmian mroźkowych Stomilów. Nie kryjący odrazy do sowietyzmu i nienawiści do Rosjan, akcentujący przywiązanie do tradycji pepesowskich czy też piśsudczykowskich, człowiek ten, chyba z miłości do kariery, był nie tylko członkiem partii — co w tej generacji nie jest żadnym wyróżnikiem — ale również jednym z tych nielicznych w środowisku naukowym, którzy zdecydowanie opowiedzieli się po stronie Moczara i „partyzantów”, dużo wcześniej nim wybuchł „marzec”.

2. Andriej Amalrik, cyt. praca, Instytut Literacki. Paryż, 1970, str. 50.

3. Była jednak stosowana dla mobilizacji przeciwko reformom w Czechosłowacji w 1968 roku. Prasa sowiecka, bułgarska, polska publikowały wówczas „wstrząsające” wieści o rzekomych samosądach dokonywanych jakoby przez społeczeństwo czechosłowackie.

Wiosną 1968 roku i w czasie pacyfikowania Czechosłowacji mój rozmówca zachował się w sposób wręcz plugawy.

Problemem dla mnie najistotniejszym było wytłumaczenie, w jaki sposób mój znajomy może godzić niepodległościowe przekonania ze zgoła antyniepodległościową polityką. Usłyszałem długą tyradę: „Cóż, naród, społeczeństwo, piękne frazesy! Studenci wiecujący na uczelniach na pewno byli ożywieni najlepszymi intencjami. Ale ja wpatrywałem się w „bezpartyjne twarze” tłumu. Wierz mi, że tłum to nie Kotarbińscy i nawet nie nasi bezpartyjni koledzy. Gdyby władza rzeczywiście się zachwiała, wszyscy wisielibyśmy na latarniach!⁴ Zgadzą się, heca antysemitka i antyinteligentka były czynkami, którymi nie ma się co chwalić. Ale weź pod uwagę, że krzywdy, które ponieśli Żydzi lub rewizjoniści, są nieporównywalne z tym, co przeżylibyśmy wszyscy w dniach załamywania się ustroju”.

Mój rozmówca przewidywał, że PZPR rozpadłaby się zupełnie, przy pierwszym autentycznym podmuchu, co ostatecznie nie jest poglądem oryginalnym, gdyż to samo przewidywał Dżilas⁵. Patrząc jednak w przyszłość nie podzielał radości Dżilasa: jego zdaniem, sympatie tłumu urzeczywistniłyby się w dyktatorskich rządach partii katolickiej, niezależnie nawet, czy kościół chciałby tego czy też nie, choć raczej chciałby. Nie byłaby to, niestety partia zbliżona do demokratycznych ruchów katolickich we Francji lub w NRF, nie, byłaby to partia krwawych odwetów, partia katolicyzmu ludowego. Tyle mój rozmówca.

Amalrik natomiast widzi dla Polski oddzielającej się od systemu sowieckiego prawdopodobieństwo reżymu „wojskowo-nacjonalistycznego”, co wiąże się prawdopodobnie z eksponowanym przezeń czynnikiem kontynuacji historycznej, w Czechosłowacji — sądzi bowiem — utrwali się reżym liberalno-demokratyczny⁶.

I ten pogląd na przyszłą Polskę nie jest osamotniony. Anonimowy pisarz uważa za potrzebne bić na alarm:

„... przypomnijmy sobie, że zagraniczni spece... zastanawiając się nad różnymi możliwościami... po ewentualnym rozpadnięciu się ZSSR, w punkcie 'Polska' piszą najspokojniej: zwyciężyłby tam jeden z kierunków nacjonalistycznych”.

Perspektywa niezbyt miła, na domiar niezbyt określona, jako że pojęcie „nacjonalizm” jest dość szerokie i stać Polskę by miała

4. Gwoli ścisłości muszę zaznaczyć, iż też wpatrywałem się w twarze lecz nie dostrzegłem podówczas żadnych objawów chęci wieszania kogokolwiek, co nie oznacza jednak, że takie uczucia nie mogą w tłumie powstać.

5. „Gdy nowa klasa opuści historyczną scenę — a musi to nastąpić — będzie mniej żałowana niż jakakolwiek z jej poprzedniczek” (M. Dżilas, *Nowa klasa wyzyskiwaczy*. Instytut Literacki, Paryż, 1957, str. 77).

6. Cyt. praca, str. 48.

aż kilka kierunków nacjonalistycznych, skoro do władzy ma dojść jeden z nich⁷.

Mój krajowy rozmówca nie mógł oczywiście znać wydanych rok po naszej rozmowie rozważań Amalrika ani też elaboratu „Korespondenta”. Gdyby je znał, nie omieszczałby powiedzieć, iż mając w perspektywie powszechną rzeź, działa na rzecz bardziej spokojnego „reżymu wojskowo-nacjonalistycznego”.

W sumie, o tym czego pragną ludzie za „żelazną kurtyną” zarówno w ZSSR, w Polsce, jak i na Węgrzech itd. można w nieskończoność. Wymieniliśmy bowiem nie wszystkie możliwości i pragnienia. Wiadomo np. że istnieją ludzie, którzy po prostu pragną powrotu do *status quo ante*, co mimo całej naiwności też jest programem. Na stronie jednak zostawię poglądy lansowane w milionowym nakładzie przez ludzi typu Margueritte'a, iż Polacy pragnęli tylko zamiany Gomułki na Gierka, która to zamiana w grudniu 1970 roku zupełnie wyczerpała ich aspiracje.

Pytania te zadają sobie nie tylko emigranci polityczni. I nie tylko emigranci nie mogą dojść do wspólnej konkluzji. Zgoła niedawno Instytut Literacki wydał dwa ważne elaboraty, których autorami są ludzie dzielący losy polskiej krajowej czołówki intelektualnej⁸.

Autor pierwszej pracy dość kategorycznie stwierdza, że z istniejącymi w kraju grupami opozycyjnymi

„...dyskurs toczyć się może jedynie w obrębie socjalistycznych rozwiązań. Z całym polskim społeczeństwem również. Zmiany świadomości społecznej nie dadzą się już przekreślić”⁹.

Autor drugiego elaboratu formułuje swój pogląd o wiele ostrożniej, bez apodyktyczności Burby-Kochańskiego, pisze o

„...podświadomym zinterioryzowaniu perspektywy socjalistycznej nawet przy zewnętrznym braku akceptacji systemu” — *ale stwierdza też, że* — „...opatrzenie kierunku ideowego, nawet najbardziej opozycyjnego wobec władzy przymiotnikiem 'socjalistyczny' automatycznie może utrudnić zdobycie przezeń zaufania społecznego”¹⁰.

Czytając rozważania na te tematy, przysłuchując się dyskusjom, przypomina mi się lektura bardzo dawnych już lat, mianowicie Emanuela Kanta „Krytyka czystego rozumu”. Kant dowodzi, że przy pomocy rygorystycznego rozumowania, ale ograniczonego do elementów niesprzeczalnych (metafizycznych), można przeprowa-

7. Korespondent, „List do Gustawa Grudzińskiego”. *Kultura* Nr 3, 1971, str. 58.

8. O. N. Burba-Kochański, *List do emigranta*. Paryż 1970. (Bn) „Próba diagnozy” (w:) *Głosy stamtąd*. Paryż 1970.

9. Burba-Kochański, str. 42.

10. *Głosy stamtąd*, str. 32.

dzić równie przekonujący dowód na istnienie Boga jak i na jego nieistnienie, na skończoność i na nieskończoność wszechświata itd. Kant nazywał te problemy transcendentnymi, przekraczającymi granice ludzkiego doświadczenia i w rezultacie niewymiernymi.

Wiemy jednak, i to dobrze, że niemożliwość rozwiązania nie jest równoznaczna z bezzasadnością pytań. Ostatecznie, od wieków ludzkość zadaje sobie metafizyczne pytania i próby odpowiedzi na nie stanowią dość istotny element samowiedzy rodzaju ludzkiego. Pomijając jednak znaczenie abstrakcyjne tych pytań i ewentualnych odpowiedzi, sprawa ma również zasadnicze znaczenie praktyczne. Jeśli polityka jest sztuką możliwości, to wszelkie jej uprawianie musi brać pod uwagę perspektywę i prawdopodobieństwa w sferze układu sił politycznych, zwłaszcza aktualne i przyszłe pragnienie wielkich grup społecznych.

Wiek XX jest wiekiem informacji, zwłaszcza informacji ścisłej, operującej liczbami i dającej ułatwione podstawy porównywania i wnioskowania. Nawet przeciętny zjadacz chleba może doświadczyć się jako odsetek wyborców głosuje na komunistów we Francji a jaki we Włoszech i jaki jest tzw. trend w każdym kraju. Na Zachodzie przyzwyczajono się, że nie należy bagatelizować nawet nikłych zmian ilościowych, gdyż w zmianie układu sił w ramach jakiegoś lokalnego, prowincjonalnego samorządu może kryć się zapowiedź istotnych przesunięć układu sił politycznych w skali państwa a nawet kontynentu. Badanie opinii publicznej stało się na Zachodzie zawodem, z rozbudowaną techniką, ze specjalizacją wewnętrzną, dyscypliną o coraz wyższej dociekliwości.

W państwach sowieckich rozwinęła się natomiast dyscyplina całkowicie przeciwstawna: zaciemnianie obrazu dążeń społeczeństw, zaciemnianie do tego stopnia, że społeczeństwa same nie wiedzą czego chcą. Dyscyplina ta może się poszczycić nie mniejszymi osiągnięciami niż jej dialektyczny odpowiednik na Zachodzie. Dyscyplina ta ma swoje katedry na rozmaitych wydziałach, swoich profesorów i docentów, traktowanych — zwłaszcza na Zachodzie — z należnym ich osiągnięciom szacunkiem. Praca w tej dziedzinie jest kompleksowa i jeśli wkład do niej ze strony komitetów centralnych i wojewódzkich, ministerstw i urzędów bezpieczeństwa jest większy niż wkład profesorów, na co niejednokrotnie utyskują wodzowie („*nauka odstajot ot żizni*”) to nie należy zapominać i o tym, że usiłowania władz bez współdziałania ze strony profesorów byłyby przynajmniej niekompletne, o czym przekonująco pisze Aleksander Matejko¹¹.

11. *Kultura* Nr 7/8, 1971.

Wracając do punktu wyjścia: W państwach sowieckich nie sposób uzyskać danych, czego chce społeczeństwo i jego poszczególne warstwy (grupy społeczne). Nie wiadomo czego chce dziś, czego można się po nim spodziewać jutro, czego chce w warunkach istniejącego układu sił i czego by chciało w warunkach zmienionej stabilizacji. Dane te nie istnieją. Kołakowski w cytowanej pracy słusznie zauważył, że w systemie sowieckim zła informacja czy też wręcz dezinformacja jest udziałem nie tylko rządzących lecz poraża również rządzących, choć nie wiem, czy rządzący łakną być lepiej poinformowani. Bo gdyby np. dowiedzieli się raptem „całej prawdy”, to co? Zrezygnowaliby z władzy? Nie, oni wolą być łudzeni, żyć w przeświadczeniu, że rzecz nie nazwana nie istnieje. Komuniści doskonale np. obcowali ze światem zbrodni stalinowskich, popłoch i przeżycia spowodowało dopiero ich nazwanie w latach 1955-1956¹². Jednym z zasadniczych elementów polityki wewnętrznej w państwach totalitarnych jest — z samej definicji totalitaryzmu — niedopuszczenie do ujawnienia się opinii publicznej, nawet na użytek rządzących. Wystarczy bowiem przeczytać którykolwiek numer *Prawdy*, *Trybuny Ludu*, *Rudého Práva* lub organu którejkolwiek innej „bratniej partii” by dowiedzieć się, że partia posiada poparcie całego społeczeństwa że jej działalność jest ucieleśnieniem jego dążeń, a nawet — jak twierdził w październiku 1956 roku Gomułka — że „klasa robotnicza — to my”. Slogany te stosowane są z zadziwiającą konsekwencją. Nawet we warszawskiej *Polityce* można przeczytać (co prawda nie są to artykuły własne), że Dubczek miał poparcie tylko garstki odszczepieńców, cały natomiast zdrowy rdzeń narodu czeskiego i słowackiego był za wkroczeniem wojsk sowieckich.

Nieprawdą jest, że „rządzenie krajem wymaga, aby klasa robotnicza i masy pracujące darzyły kredytem zaufania swych przedstawicieli, dzierżących ster władzy państwowej”¹³. W warunkach sowieckich rządzenie krajem wymaga, aby wspomniane „klasa robotnicza i masy pracujące” nie mogły ujawnić braku zaufania do ludzi mieniących się ich przedstawicielami.

Badanie opinii publicznej stanowi jeden z głównych celów

12. Gomułka był konsekwentny, gdy odmówił przyjęcia daru Chruszczowa — materiałów GPU o wymordowaniu polskich komunistów w ZSSR w latach 1933-1938 oraz materiałów o zbrodni katyńskiej. Dla polskich pezetperowców np. w dalszym ciągu nie istnieje problem wymordowania kilkuset tysięcy Polaków w Związku Sowieckim w latach 1937-38. Wszystko dzieje się według najlepszych recept subiektywnych idealistów, Macha i Avenariususa, tak opluwanych...

13. Wład. Gomułka, Przemówienie na VIII plenum (w) *Przemówienia*, październik 1956 - wrzesień 1957. Warszawa 1957, str. 21.

nauki o społeczeństwie. Polska socjologia ma dobrą renomę na Wschodzie i Zachodzie. Renomę tę posiadała zasłużenie. Nie jest przypadkiem, że zarówno w okresie pierwotnej stalinizacji jak i w roku 1968 represje przeciwko socjologii i socjologom były i szersze i ostrzejsze niż przeciwko innym dziedzinom humanistyki. Ale nie przybliżylibyśmy się do prawdy lecz oddalili, gdybyśmy w obchodzących nas prawach zechcieli posłużyć się dostępnymi wynikami badań socjometrycznych.

U klasyka literatury sowieckiej, Siemiona Babajewskiego znajdujemy następującą scenkę, ponoć zanotowaną przez autora z autopsji. Przewodniczący kołchozu, należący zresztą do kręgu wpływowych mafijników sowieckich rozmawia z grupą młodzieży ze swego kołchozu:

„Skończywszy opowiadać — relacjonuje Babajewski — Michaił Jefimowicz zapytał się, ot tak sobie, z ciekawości:

— Kto spośród was, towarzysze, chciałby zostać indywidualnym gospodarzem? Kto chciałby wziąć grunt, parę byków i koni, pług, bronę?

Rozległ się śmiech.

— Michaił Jefimowicz, czy twoim zdaniem jesteśmy nienormalni?!

— Nie nadajemy się do takiego życia!

— Nawet jakoś tyso o tym myśleć!

— Takich durniów wśród nas nie znajdziesz!”¹⁴.

Scenka i dialogi są literacko fałszywe, pod względem życiowym wręcz idiotyczne, jednak, wbrew sceptykom, nie wątpię w ich autentyczność. Bo co mają ludzie mówić kierownikowi kołchozu, na dodatek pobłykującemu orderami? Ale mam jeszcze kilka uwag. Otóż podobnie do molierowskiego bohatera, zdziwionego, że mówi prozą, Michaił Jefimowicz zapewne zdziwiłby się, gdyby mu powiedziano, że przeprowadził badania socjologiczne, nie mniej poprawne niż te, które dla większej sowiezizmu chwały prowadzą apolityczni bo bezpartyjni profesorowie, Chałasiński ze Szczepańskim wraz ze sztabem docentów, adiunktów i asystentów.

Co prawda poligon badań Michaiła Jefimowicza był mniejszy, za to prawdopodobnie reprezentatywność próbki była wyższa, ankieta węższa, ale odpowiedzi wprowadzały urozmaicenie właściwe dla *case studies*. Sceptycy zauważą, że nie została zachowana anonimowość odpowiedzi, ale czy doprawdy ankietowani w Polsce mają pełne przeświadczenie, że ich odpowiedzi służyć będą li-tylko czystej nauce?

Ćwierć wieku temu, gdy w Polsce i w innych Kadeelach niszczone socjologię, maczający podówczas w tym, nie tylko palce, młody entuzjasta niszczenia Adam Schaff podawał w wątpliwość

14. S. Babajewski, „Dorogoj Lenina”. *Oktiabr* Nr 4, 1969, str. 9.

naukowość wyników osiąganych przez badania socjometryczne. Twierdził on, iż odpowiedzi ankietowanych nie świadczą o niczym innym, niż o tym, że „w określonych warunkach X tak powiedział”, co nie musi pozostawać w żadnym związku z tym co X doprawdy myśli i czy w ogóle myśli. Ta prawda leżała u podstaw niszczenia socjologii przed ćwierćwieczem, ale po upływie lat dziesięciu stała się przyczyną, dla której komitety centralne i „liczni towarzysze Moczar” zaczęli otaczać czułą opieką niektórych socjologów, co oczywiście musiało być połączone z tępieniem innych, mniej lub wcale nie dyspozycyjnych. Zrozumiano bowiem, że nikt nie nadaje się lepiej dla tłumaczenia świata, iż obecna władza stanowi najpełniejszą emanację woli narodu, choć czasem naród sobie jeszcze z tego nie zdaje sprawy.

Następna uwaga: Mam wrażenie, że wielu spośród tych, którzy wyrażają przeświadczenie, iż dzięki dokonaniom w PRL lub innych krajach przemianom świadomościowym, społeczeństwo w momencie zasadniczego zwrotu ustrojowego opowie się zdecydowanie jednoznacznie, wyłącznie za socjalizmem, czerpie znajomość problemów nurtujących „lud” jeśli nie z Babajewskiego, to z jego „naukowych” kolegów. Bo jak wiadomo, przy pomocy Babajewskiego poznawał życie wsi sowieckiej sam towarzysz Stalin.

Piszę o tym w tonie sarkastycznym nie dlatego, bym był zwolennikiem ustroju przeciwnego socjalizmowi i nie dlatego, by mi ten sarkazm sprawiał szczególną przyjemność. Nie, ale niesposób dyskutować z zawziętymi racjonalistami, którzy nagle, w centralnym punkcie swych rozważań, stają na gruncie wiary¹⁵.



15. Dużo wartościowych elementów poznawczych do tych zagadnień mogłaby wnieść sensowna, wielostronna analiza historyczno-socjologiczna tych zwrotnych momentów w życiu poszczególnych państw, gdy narody w szerszym lub węższym zakresie dochodziły do głosu. Mam na myśli okres związany z „październikiem” polskim 1956 roku, o rok późniejsze wydarzenia związane z likwidowaniem *Po prostu*, wydarzenia marcowe 1968 roku i o dwa lata późniejsze Powstanie Grudniowe na Wybrzeżu. Dla Węgier odpowiednim momentem są wydarzenia równoległe do polskiego „Października”, dla Czechosłowacji nie zamknięty chyba jeszcze łańcuch wydarzeń od stycznia 1968 roku a może i nawet od schyłku 1963 roku. Niestety prac takich brak. Piszący o tych sprawach zewnętrzni obserwatorzy, mimo dobrej nawet woli, mają naskórkowe odczucia, a oczekiwać prawdy od urzędowych historiografów należy wpaść w sprzeczność w założeniu. Emigracja ostatnich lat, ta z Polski, tzw. syjonistyczna, i ta czechosłowacka posiada wielki walor znajomości spraw od wewnątrz. Jest jej wręcz moralnym obowiązkiem przyczynić się, by ta wiedza *in spe* nie zmarnowała się wskutek milczenia. Przykładem dobrej roboty jest tu wspomnienie Ewy Wacowskiej „Poznań 1956” (w:) *Poznań 1956 - Grudzień 1970*, Dokumenty. Instytut Literacki, Paryż 1971. Autorka pisze niby o sprawach dobrze znanych nam wszystkim, ale nigdzie nie utrwalonych na piśmie i przeto w nauce nie istniejących.

Kto w sowietyzmie jest za ustrojem? Jest rzeczą znaną, powtarzaną być może do znudzenia, przez co jednak nie przestaje być prawdą, że sowietyzm jest władzą wąskiej grupy, niezbyt licznej „nowej klasy” w terminologii Dżilasa, lub „mafii” w terminologii proponowanej przeze mnie. Niezależnie jaką terminologię byśmy stosowali, zgodzić się trzeba, że „reżym komunistyczny jest *de facto* stanem ukrytej wojny cywilnej pomiędzy rządem i ludnością”¹⁶. Wojna ta bywa niekiedy „zimna”, niekiedy „gorąca” ale nie było nigdy pokoju, szczególnie ze strony rządzącej mafii. Mafia rządzi wbrew społeczeństwu i przeciw społeczeństwu. Ale z tego rozumowania łatwo wyciągnąć pochodny wniosek, że oparciem władzy jest jedynie rządząca grupa, zaś wszyscy pozostali są tej władzy jednoznacznymi przeciwnikami. Kołakowski rozciąga na sowietyzm zdanie Victora Serge’a o caracie, jako o „systemie, którego nikt nie broni bezinteresownie”. Jest to tylko pozornie słusznie. W Polsce szczególnie, ale nie tylko w Polsce, w innych Kadeelach też, mało kto, nie musząc, identyfikuje się z „władzą”, nawet ludzie autentycznie ją sprawujący, nawet ludzie z tzw. aparatu przemocy. Średni aparat partyjny i państwowy psioczy na całego, przypisując „górze” wszystkim co złe, a świadomość tego co „złe” jest w tym aparacie powszechna. Anonimowi, zaimkowi „oni” są odmieniani we wszystkich przypadkach. Również ministrowie i członkowie KC w półprywatnych rozmowach z masochistyczną satysfakcją odziewają się od sprawowania władzy. Plotki i ploteczki na ten temat, ciekawe i pikantne, mogłyby wypełnić szereg stron maszynopisu. Ba, gdy to piszę, staje mi przed oczyma scena sprzed kilku lat, gdy zdarzyło mi się w bufecie sejmowym słyszeć psioczącego na demoralizację spowodowaną ustrojem i azjatycką obyczajowością... samego Gierka, ówczesnego wielkorządcę Śląska, polskiej Katangi. Zaryzykuję stwierdzenie, że im ktoś głośniej i powszechniej psioczy, tym łatwiej zdobyć mu sympatię społeczną; im kto bardziej utożsamia się z władzą, tym bardziej izoluje się od społeczeństwa. Wypowiadanie poglądów „do pewnego stopnia” opozycyjnych stało się wręcz procederem politycznym, uprawianym nawet przez tych, którzy mają wobec sowietyzmu niespłacone długi wdzięczności.

W 1966 roku, w przeddzień i w związku z nadzwyczaj szumnie obchodzoną rocznicą rewolucji, ktoś mądry ukuł w Związku Sowieckim tragiczny dowcip. Biorąc za punkt wyjścia natrętnie przez lata propagowany wiersz Majakowskiego: „Mówimy — partia, myślimy Lenin/mówimy Lenin — myślimy Partia”, komentator zauważył: „I to przez pięćdziesiąt lat coś innego myślimy, coś innego mówimy!” (I może nie obojętny szczegół: dowcip

16. M. Dżilas, cyt. praca, str. 95.

opowiedziała mi pewna pani, której mąż był i jest członkiem KC PZPR).

Ten dowcip zachowuje wartość poznawczą w obu kierunkach. Niewątpliwie szary obywatel nawet najliberalniejszego z państw sowieckich ma wszelkie podstawy, by nie mówić tego co myśli o ustroju. Ale znam wielu takich, którzy w głębi ducha są z sowiezizmem związani uczuciowo dość głęboko, choć na zewnątrz okazują odrazę lub nienawiść. O tym zresztą pisał już we wzmiankowanym artykule Matejko. Jest to chyba istotny przejaw destrukcyjnej sowiezizmu siły nacisku społecznego, siły najwyraźniej występującej w Czechosłowacji i w Polsce, ale wyraźnej (dla umiających patrzeć) i w Związku Sowieckim, gdzie opozycyjność — wbrew Amalrikowi — bynajmniej nie ogranicza się do kilkuset młodych opornych fanatyków.

W morzu opozycyjności, w potokach psioczenia, jest trochę gry ale więcej autentycznych uczuć, zresztą czasem trudno się wyznaczyć, co jest grą a co przeżyciem¹⁷. Emigranci, ci co spędzili za granicą ćwierć wieku, przypuszczają na ogół, że podział polityczny w Polsce (ewentualnie w Czechosłowacji, na Węgrzech itd.) przebiega między partyjnymi i bezpartyjnymi. Z tego przeświadczenia wypływają niekiedy pomyłki równie smutne co i zabawne, zarówno odpychanie byłych członków PZPR, w tym i takich którzy angażowali się aktywnie i w „październiku” i później w ruchu opozycyjnym, jak i hołubienie rozmaitej, paxowskiej i niepaxowskiej hołoty (bo przecież... bezpartyjni).

Oczywiście, wydarzenia ostatnich lat, likwidacja skrzydła liberalnego w PZPR, rozgromienie KP Czechosłowacji i przekształcenie jej w partię kolaborantów podział ten w znacznym stopniu urealniały, choć i teraz nie jest on podziałem zbyt pełnym. Tym bardziej jednak wydarzenia ostatnich lat unaoczniały fakt, że najsilniejsze ataki przeciwko sowiezizmowi wychodziły z kręgu ludzi należących do „partii” i że znajdowały zrozumienie w tzw. „masach partyjnych”. W sumie, wbrew Dżilasowi, do rządzącej mafii należy tylko nieznaczna część członków partii i tylko część z nich aprobuje ustrój całkowicie i jednoznacznie. W masie swojej „partyjni” są równie niechętni sowiezizmowi lub wręcz mu wrodcy, co i bezpartyjni. Różnice są raczej ilościowe, choć i tego trzeba byłoby dowieść. Jest złudzeniem pozostałym po wczesnym komunizmie, że „nowa klasa” to partia¹⁸.

Sowiezizm jest pod wieloma względami kontynuacją caratu i Kołakowski ma rację, zwracając na to pokrewieństwo uwagę. Istnieją jednak i duże różnice. W 1917 roku carat wydawał się

17. Por. M. Wyziembło, „Gra”, *Kultura* Nr 7/8, 1970.

18. Por. M. Dżilas, cyt. praca.

obywatelom Imperium czymś najgorszym, co może istnieć, natomiast w powszechnym odczuciu rewolucja rysowała się jako oświeblona promieniami słonecznymi droga do wolności i szczęścia. Tą drogą rewolucja nie była, czego świadomość utkwiała głęboko zarówno w odczuciu obywateli ZSSR jak i obywateli bloku. Ta świadomość działa jednak nie tylko przeciwko ustrojowi. Strach przed nowym przewrotem i nowymi zniszczeniami jest poważnym czynnikiem hamującym opozycyjność (ewentualnie rewolucyjność) społeczeństw. Z „listem ze Sztokholmu”¹⁹ się nie zgadzam ale uważam, że jest on nader cennym dokumentem socjologicznym, syntetycznym odzwierciedleniem mentalności krajowej „przeciętnej”, sposobu myślenia nowego i starego drobnomieszczaństwa, naszego polskiego odpowiednika tego, co Milan Hübl nazwał ongiś „małym czeskim człowiekiem”²⁰.

Wpojenie w społeczeństwo przeświadczenia, że upadek sowiezizmu będzie połączony z potwornymi zniszczeniami i z prawdopodobieństwem klęski osobistej, jest niewątpliwym sukcesem indoktrynacji sowieckiej, może nawet sukcesem naczelnym.

Następna różnica między caratem a sowiezizmem polega na tym, iż etatyzacja włączyła w system państwowego zarządzania dziesiątki i setki tysięcy ludzi, a w Związku Sowieckim wręcz miliony ludzi. W system ten są wprężeni nie tylko „klasyczni” urzędnicy państwowi, ale i wszyscy zarządcy ludzi, dóbr i idei.

Inżynier nie sprawuje władzy, ale jest w nią „wprężony” z tytułu reprezentowania jej wobec robotników; kierownik szkoły podstawowej a nawet nauczyciel, najbardziej nieszczęśliwa kategoria PRL, z tytułu udziału — choćby wymuszonego — w systemie indoktrynacji; urzędnik w ministerstwie — z racji wydawanych zarządzeń; redaktorka i korektorka w wydawnictwie — z racji uprawiania cenzury wstępnej. Ludzie ci tylko wyjątkowo należą do rządzącej mafii, jeśli należą do partii to również jest to udział w taki czy inny sposób wymuszony. W większości wypadków trudno nawet mówić o czerpaniu jakichś specjalnych przywilejów, skoro jest to przekrój sowieckiej przeciętności. Wprężenie jest najwyższym czynnikiem zapewniającym chleb i stabilizację i to też tylko na tej zasadzie, że wyłamanie się może ten chleb i stabilizację odebrać²¹. Ponieważ jednak w sowiezizmie sfera zarządzania jest rozbudowana bez granic, są w nią wciągnięci rów-

19. *Kultura* Nr 7/8, 1971.

20. Polemika Gustawa Herling-Grudzińskiego (cyt. wyd.) jest zupełnie słuszna, ale atakując pogląd indywidualny, autor polemiki nie dostrzegł jego wyrazu socjologicznego.

21. O pozbawianiu stabilizacji i chleba warszawskich nauczycieli, którzy nie chcieli brać udziału w brudnej akcji antysemitcko-antyinteligencyjnej — patrz: E. Szymańska, „Moja szkoła. Uczniowie i nauczyciele” *Biuletyn Socjalistyczny* Nr 3-4, Stockholm.

niez ludzie znajdujący się w drabinie społecznej poniżej przeciętnej, co jest może niepojęte dla ludzi, którzy nigdy nie doświadczyli władczej agresywności konduktora warszawskiego lub moskiewskiego autobusu²².

Władza w sowietyzmie jest sprawowana niepraworządnie i to w podwójnym znaczeniu, po pierwsze — wbrew społecznemu odczuciu sprawiedliwości, odmiennemu niż ustawy i kodeksy, po drugie — w niezgodności nawet z tymi ustawami²³.

Stąd każda osoba, wprzęgnięta w sprawowanie władzy popełnia czyny, które tak długo mogą uchodzić bezkarnie, jak długo utrzymuje się system i pozycja osobista w tym systemie. Wciągając Bogu ducha winnych ludzi system rozciągnął na nich zasadę zbiorowej odpowiedzialności za ustrój, stworzył coś w rodzaju *krugowej poruki*, znanej z czasów pańszczyźniano-poddańczej wspólnoty gminnej. To zresztą stosują wszystkie organizacje przestępcze od niepamiętnych chyba czasów. Gdy Benia Krzyk, bohater opowieści o deskach Izaaka Babla, chciał przystąpić do gangu, warunkiem przyjęcia było wypróbowanie go w akcji — nawet z punktu widzenia bandytów szczególnie brudnej. Autorka *best-seller'u* ostatniego roku, najlepszej monografii o życiu codziennym w sowietyzmie, jaką czytałem, pisze:

„Nie tak nie wiąże, jak wspólne przestępstwo: im więcej ubrudzonych, zamieszanych, skołowanych, im więcej zdrajców, informatorów, donosicieli, tym więcej zwolenników reżymu, pragnących jego tysiącletniej trwałości”²⁴.

W istocie rzeczy nie biorą udziału w sprawowaniu władzy tylko dwie warstwy społeczne: robotnicy i studenci. Cytowany już kilkakrotnie autor²⁵ słusznie akcentuje antyrobotniczy — przede

22. Przypomnijmy obserwację wielkiego pisarza: „Dla panierek z MHD, które dojeżdżały do Warszawy spod Mińska Mazowieckiego święty był nawet cały nieudolny i zbiurokratyzowany mechanizm państwowej sprzedaży: uważały, że podporządkowanie się temu mechanizmowi wywyższa je, że jest to jakiś rytuał, symboliczny dla ich społecznego awansu, dla ich ucieczki ze wsi” (Tomasz Staliński. *Widziane z góry*. Paryż, Instytut Literacki, 1967, str. 297).

23. „Wieczną troską komunistów jest fakt, by ich nie zmuszono do stosowania w praktyce praw, które ustanowili” (M. Dżilas, cyt. praca, str. 97).

24. N. Mandelsztam, *Wspominania*. New York 1971, str. 92.

25. Przy okazji warto zaznaczyć, iż przesądem jest pogląd, iż warstwa rządząca w sowietyzmie przynajmniej początkowo rekrutowała się z klasy robotniczej. Robotnicy dokonali rewolucji w Rosji, ale sowiecka biurokracja od początku rekrutowała się z półinteligentów i robotników niewykwalifikowanych. Z tych samych elementów kształtował się aparat w Kadeelach. Znamiennie były i są ataki przeciwko wykwalifikowanym robotnikom, nazywanym „arystokracją robotniczą”. Były one prowadzone z pozycji klasowej lumpenproletariatu. Miał chyba rację czechosłowacki socjolog, gdy w 1964 roku twierdził, iż w wyniku rewolucji proletariackiej do władzy dorwał się lumpenproletariat. Tylko że nie cały lumpenproletariat a jego część wraz z częścią lumpeninteligencji. „Do twarzy przedmieścia całej w bliznach, / dziś goście nie chcą się przyznać” — Jerzy Harasymowicz, *Zburzenie baru*.

wszystkim — charakter władzy w krajach rządzonych przez komunistów: „Stosunki między władzą komunistyczną a robotnikami w których imieniu władza ta jest sprawowana, to najślabszy punkt doktryny sowieckiej”²⁶. Studenci są poza sprawowaniem władzy w wyniku pasywnego ustawienia w życiu państwa. Są oni dla państwa obiektem rządzenia w stopniu większym niż inne warstwy społeczne²⁷.

O tym typowym rozdwojeniu mówi się często w PRL jako jedności kata i ofiary. Nie jest to ostatecznie całkiem nowy wyznalazek, albowiem już w czasach antycznych niewolników ujarzmiano przy pomocy innych niewolników. Słusznie dostrzegł Jurij Żiwago, że „człowiek zniewolony zawsze idealizuje swoją niewolę”.

Osobiście najbardziej trafia mi do przekonania definicja gen. Andersa: „Podstawowym elementem siły w ZSSR nie jest ani żaden z najważniejszych nawet regionów gospodarczych ani przetrzeń ani też szczególnie ważna dla Związku Sowieckiego ropa ani nawet armia, lecz sam system ustrojowy, ta dyktatorsko-polityczna piramida, która sprawia, że każdy obywatel sowiecki jest nie tylko przedmiotem ucisku i wyzysku, lecz również sam uciska i wyzyskuje”²⁸.

To równanie daje się jednak odwrócić. Każdy uciskający i wyzyskujący czuje się sam równocześnie przedmiotem ucisku i wyzysku, co próbowałem kilka stron wyżej zilustrować. Wydaje się, że źródło siły staje się również w określonych sytuacjach

26. Burba-Kochański, cyt. praca, str. 60.

27. By uprzedzić naturalne pytanie w sprawie „władza a chłop”. Problem ten jest skomplikowany odmiennociami między chłopami skolektywizowanymi (w całym sowietyzmie prócz Polski) a indywidualnymi jednak chłopami w Polsce. Chłop skolektywizowany jest bardziej niewolnikiem ustroju niż ktokolwiek inny, którą to prawdę przypominał nam kilkakrotnie Sołżenicyn, zarówno w „Jednym dniu...” jak i w „Pierwszym kręgu”. Natomiast chłop w Polsce mają dość wyraźny, choć niezbyt zinstytucjonalizowany wpływ na władzę poprzez swoją sytuację producentów-właścicieli, co powoduje, że „wola chłopów trzymać się z daleka od eksperymentów i radykalnych zmian politycznych, bo wcale nie wiedzą, jakie przyniosłyby rezultaty (Burba-Kochański, cyt. praca, str. 75). Cytowany autor idzie dość daleko, twierdząc, iż niezadowolone wsi „... to tylko detale, o które lepiej pertraktować niż czynnie przedmiotem drastycznych konfrontacji” (jw.). Jest faktem, że chłopci mają siłę, pozwalającą im „pertraktować” tj. sprzedawać państwu lub nie. Chłopci jednocześnie, będąc właścicielami i producentami mają głęboką, bardzo głęboką świadomość zarówno ogólnego bezsensu gospodarczego jak i absurdalnych pęt, świadomie przez ustrój nakładanych na gospodarkę chłopską. O tym przecież, jeśli nawet w sposób nie pełny, to jednak wystarczający pisał Władysław Bienkowski w *Kryzysie rolnictwa* (Instytut Literacki, Paryż 1970).

28. Władysław Anders, *Bez ostatniego rozdziału*. Wyd. III. Londyn 1959, str. 391, podkr. moje.

źródłem słabości. Taki przynajmniej wniosek daje się wyciągnąć ze wszystkich dotychczasowych ruchów masowych w sowietyzmie.

Stąd również płynie podstawowa trudność określenia, czego pragną ludzie. Albowiem linie podziałów przebiegają nie tylko między człowiekiem a człowiekiem nie tylko między jedną grupą społeczną a inną lecz również wewnątrz większości ludzi, tzw. obywateli²⁹.

Ten brak psychicznej krystalizacji jest jednocześnie utrudnieniem konkretyzacji pragnień, które rzadko mogą wyjść poza szczebel elementarny. Na pewno ludzie chcą sytuacji w której nastąpiłoby przewyższenie rozdwojenia. Na pewno ilość pragnących zdecydowanie utrwalenia sowietyzmu jest znikoma, albowiem... nawet ci, o których pisze Mandelsztam mają, jeśli nie świadomość to odczucie, iż są ofiarami reżymu.

I dlatego, aczkolwiek w chwili obecnej byłoby przesadą mówić o izolacji społecznej systemu (wyjawszy Czechosłowację), o tyle wypada zgodzić się, iż w momencie autentycznego zachwiania się władzy, ilość ludzi broniących jej będzie znikoma, ograniczona nawet nie do tych, którzy związani są z ustrojem wspólnym interesem, lecz do tych, którzy będą musieli jej bronić z braku innego wyjścia.

Na co dzień, wciągnięcie setek tysięcy ludzi w sferę zarządzania jest wzmocnieniem stabilności. Ale jest to stabilność tylko w warunkach stabilności. Gdy władza „przestanie mocno siedzieć w siodle”, okaże się, że istniejąca struktura jest słabością systemu, jego rozmiękczeniem.

Konsekwencją rozdwojenia jest również podatność na prądy skrajne. Ostatecznie, ścieśniona para, gdy znajduje sobie otwór, raczej nie ulatnia się „spokojnie”. Zniszczenia więzi ludzkich i społecznych też nie działają stabilizująco.

Jak potoczy się rozwój wypadków przewidzieć nie sposób. Wydaje się, że tylko siłą bezwładnego spekulacji krążą wokół dwóch widocznych obecnie sił politycznych, wokół rewizjonizmu i wokół katolicyzmu.

Czy te dwie siły, które dowiodły swej żywotności obecnie, będą jedynymi, które będą wchodziły w rachubę w momencie zamamywania się sowietyzmu? Jest to dość wątpliwe. O przyszłości

29. Zauważył to dawno Grudziński: Michaił Stiepanowicz „należał, moim zdaniem do tego typu obywateli, którzy jako pierwsi, w żywiołowym porywie, wyłączającym wszelkie podejrzenie o dwulicowość będą witać obalenie złej władzy, ale nigdy nie odważą się podnieść nań ręki jak długo władza będzie mocno siedziała w siodle. W istocie rzeczy współżyły w nim dwa uczucia: głęboko ukryty bunt przeciwko niesprawiedliwości oraz instynktowna wiara w to, że określenie norm sprawiedliwości i praw zawsze należą do panujących”.

decydować będą ci, „co przeżyli dzieje ale ich nie tworzyli. Albowiem dzieje są zawsze tylko tym, co się objawia ludziom, którzy w ich tworzeniu nie byli bezpośrednio zainteresowani”³⁰.

To, że tzw. ludzie bierni nie mają dziś skryzalizowanego światopoglądu, nie znaczy, że nie będą go mieli jutro, że będą działali w myśl zaplanowanych dla siebie ram, że będą — jak się mówi w PRL — sterowalni. Życie zadaje kłam złudzeniom. Katolicyzm jest w Polsce istotnym przejawem oporu społeczeństwa przeciw sowietyzacji, ale wydarzenia na Wybrzeżu były zaskoczeniem nie tylko dla KC PZPR lecz i dla Pałacu Prymasowskiego. Nie wiem na ile uzasadnione są komentarze, określające poparcie Pałacu Prymasowskiego dla Gierka jako skwapliwe i spowodowane pojawieniem się na widowni „trzeciej siły”, płaczącej kalkulacji wszystkich dotychczasowych uczestników gry. Dotychczas znane materiały nie wystarczają, by przypuszczenia te potwierdzić, nie dają jednak i podstaw do ich odrzucenia. Prawdopodobnie rozwój wydarzeń rozplącze i ten węzełek.

Ważniejsze jednak jest to, że w grudniu pojawiła się nowa siła, mało przez kogo oczekiwana³¹ i rzeczywiście płacząca dotychczasowe kalkulacje.



Przykłady, świadczące, że nie należy zbyt daleko posuwać się w planowaniu przebiegu i celów ruchów mas na miarę tektoniczną można mnożyć. Chciałbym zwrócić uwagę na niektóre doświadczenia rewolucji rosyjskiej. Rewolucja 1917 roku, zaczynała się pięknie, w atmosferze powszechnego entuzjazmu, ale bardzo szybko zamieniła się w coś przeciwstawnego swoim wolnościowym celom. „Zamierzone idealnie, wzniosłe — chamiąło, materializowało się... Rosyjskie oświecenie stało się rosyjską rewolucją” — zanotował Jurij Żiwago³².

Obalenie caratu w marcu było triumfem demokracji rosyjskiej, rewolucja październikowa — jej klęską. Klasyczną partią demokracji rosyjskiej³³, tego „rosyjskiego oświecenia”, o którym pisał Pasternak, byli Konstytucyjni Demokraci, czyli kadeci. Wbrew temu, co się w ZSSR i PRL wypisuje, nie była to partia burżuazji,

30. Dalimil (pseud.), „Co s komunistickou stranou?” *Listy*, nr 3, 1970.

31. Należy oddać sprawiedliwość Burbie-Kochańskiemu. W jego książce można dostrzec wyraźną zapowiedź Powstania Grudniowego.

32. B. Pasternak, *Doktor Żiwago*, cyt. wyd. str. 530.

33. „Rosyjska demokracja” — ówczesny termin polityczny, obejmujący partie od kadetów do bolszewików.

lecz partia inteligencji³⁴. Na jej czele stali wielcy uczeni-humaniści P. N. Milukow, P. G. Winogradow, niemniej wybitni prawnicy S. A. Muromcew (któremu piękne stronice poświęcił w swych pamiętnikach Waclaw Lednicki), M. M. Winawer (którego tragiczne losy przypominała ostatnio Nadieżda Mandelsztam) oraz niezapomniany dla nas Aleksander Lednicki. Są to nazwiska tak wybitne, że nawet sowieckie encyklopedie rzadko ryzykują ich pominięcie.

Ta partia, skupiająca tylu nieprzeciętnych, mądrych i sympatycznych ludzi poniosła klęskę jako pierwsza. Paweł Milukow był zmuszony do ustąpienia z Rządu Tymczasowego już w maju 1917 roku.

W klęsce kadetów przejawiały się zarówno obiektywne prawidłowości epoki jak i subiektywne błędy jej sympatycznych przywódców. Partia ta miała logiczny program, tak logiczny, że aż zupełnie nieelastyczny. Partia chciała reform, wierzyła bowiem, że carat jest „reformowalny”, by użyć terminu wprowadzonego przez Kołakowskiego. Życie Rosji po rewolucji 1905 roku nawet potwierdzało te nadzieje. Jesliby jednak miała nastąpić rewolucja, to winna ona być umiarkowana, uporządkowana, posłuszna. Posłuszna wobec logiki, wobec autorytetów i rozumiejąca swoje własne interesy. Kadeci byli partią tak inteligentną, tak intelektualną, ich pogarda dla demagogii szła tak daleko, iż w partii nigdy nie myślano o zorganizowaniu pod swoimi wpływami tzw. mas. Powstał okrutny paradoks: Mimo wspólnych interesów między inteligentami a robotnikami leżała przepaść.

Gdy rewolucja poczęła nie układać się w ramki pięknych, logicznych rojeń, kadeci byli zdruzgotani psychicznie. Ich wódz Milukow raz za razem powtarzał publicznie: „nie wiem”, „nie rozumiem”, by wreszcie we wszystkim węszyć nieczyste siły i niemieckie pieniądze.

Nie chcę stwarzać pesymistycznego poglądu na przyszłość. Przeciwnie, jestem optymistą. I historia też dostarcza odpowiedniej ilości optymistycznych przykładów. I nawet szukać nie trzeba daleko. Państwo polskie okresu międzywojennego nie stworzyło zbyt wielu wzorów godnych naśladowania i kontynuowania. To prawda. A przecież w szeregu momentów budowniczości Polski

34. Tu ewent. uwaga dla sowietologów: sentyment do kadetów w ZSSR nie tylko nie wygasł, lecz chyba jeszcze się poszerzył, jako że poszerzył się zakres inteligencji. Miałem wielokrotnie możliwość sprawdzenia, że ujawnienie przeze mnie sympatii do tej partii było dobrym wstępem do „rozkneblowania” moich rozmówców, trzydziestolatków i czterdziestolatków, z reguły członków KPZS.

stanęli na wysokości zadania i wykazali dojrzałość polityczną. Mam na myśli elastyczność w momencie powstawania państwa w 1918 roku, tę elastyczność, którą im po dzień dzisiejszy wypominają reżymowi profesorowie i która pomogła uniknąć drastycznych wstrząsów, które zniszczyły demokrację rosyjską.

Przykład zza miedzy: Gdy w tym samym czasie powstawała Republika Czechosłowacka, sytuacja nowego państwa nie była godna zazdrości: trzysta lat niewoli, kompromitacja niemal wszystkich autorytetów politycznych z powodu popierania Habsburgów, wielonarodowość i sojusz ze Słowakami, którzy przez wieki wchodzili w skład węgierskiego organizmu państwowego i których niewiele łączyło z Czechami, trudności gospodarcze, aprowizacyjne itd. I w tej sytuacji pod przewodnictwem intelektualisty, który nagle stał się wodzem, Tomasza Masaryka, skupiły się wszystkie partie polityczne, wyjąwszy lewicowych ekstremistów i przyjęły zaproponowaną przez Masaryka formułę: „porozumieliśmy się, że się porozumiemy”. To proste zdanie w istocie rzeczy było magiczną formułą, która pozwoliła Czechosłowacji przebrnąć przez kryzysy pierwszych siedmiu lat istnienia.

Nie kryję, że powyższe przykłady są również tezą i postulatem. Ciężko nam będzie bowiem kiedyś w przyszłości budować Polskę wolną i demokratyczną, jeśli teraz nie potrafimy ze sobą rozmawiać, jeśli udajemy, że się nawzajem nie widzimy, lub doprawdy się nie dostrzegamy, jeśli widzimy tylko swój nurt i swoją stronę alternatywy. Trudno powiedzieć, jaka tego przyczyna, czy to skutek „napromieniowania” sowiecką praktyką polityczną, czy nasiąknięcia atmosferą międzywojenną? A może brak dobrych tradycji politycznych w ogóle?

Józef LEWANDOWSKI

Szymon Tokarzewski

TOWARZYSZ DOSTOJEWSKIEGO NA KATORDZE

(Tokarzewski Szymon, działacz patriotyczny, * 1821, † 1890; za udział w spisku ks. Sciegiennego więziony przez 2 lata w Modlinie, skazany na 10 lat katorgi; po powrocie z Syberii 1857 pracował w Warszawie jako szewc; za działalność w 1863 skazany na 15 lat katorgi, wrócił do kraju 1883; napisał: „Siedem lat katorgi, pamiętniki 1846-57” (1907), „Ciernistym szlakiem” (1909), „Bez paszportu” (1910), „Pośród cywilnie umarłych” (1911) i in.).

Dostojewski w swoich „Zapiskach iz miortwawo doma” wspomina o Polakach, których spotkał w katordze. Jednym z nich był Szymon Tokarzewski. Jest faktem mało znanym, że Tokarzewski wydał swoje pamiętniki, które ukazały się w druku w Warszawie w 1907 roku pod tytułem „Siedem lat katorgi”, nakładem drukarni L. Bilińskiego i W. Maślankiewiczza, zaopatrzone w przedmowę Gazety Polskiej.

Przedrukujemy z tej książki — zachowując pisownię oryginału — przedmowę oraz rozdział poświęcony Dostojewskiemu w przekonaniu że ta relacja może być interesująca nie tylko dla historyków literatury.

SŁOWO O AUTORZE „PAMIĘTNIKÓW”

Pierwszego lipca 1900 r. zmarł w Warszawie Szymon Tokarzewski.

3 lipca Stanisław Hiszpański¹ zgłosił się do magistratu po chorągiew cechową, z którą cech szewcki zamierzał gremialnie wystąpić na pogrzebie zmarłego Szymona Tokarzewskiego.

Wydania cechowej chorągwi odmówiono.

Natomiast warszawska policja zmarłego uczciła po swojemu: na rogach ulic, któremi z kościoła św. Antoniego przeciągał kondukt żałobny, stali żandarmi konni, komisarz policji i rewirowi tuż obok wdowy postępowali za trumną...

Któż był ten człowiek, którego śmierć tak zaniepokoiła policję warszawską?...

Szymon Tokarzewski był „majstrem szewckim”. Jakkolwiek od r. 1864 warsztatu nie prowadził — wszelako tytułem „majstra szewckiego” zawsze się chlubił i szczylił, — albowiem zawód szewca obrał z przekonania, ażeby tem łatwiej siać ziarna narodowego uświadomienia wśród rzemieślników warszawskich.

Był jednym z tych szeregowców, w służbie Ojczyzny, z tych entuzjastów, którzy oddają Jej całą duszę, których życie całe jest męczeństwem... Syn ziemianina z ziemi Lubelskiej, w młodzieńcych swych latach Tokarzewski zetknął się z ks. Piotrem Sciegiennym, stał się wyznawcą jego patryotycznych i demokratycznych idei, a opuściwszy dom rodzinny zaciągnął się w szeregi spiskowców.

Sprawa naszego ludowego trybuna była pierwszym etapem w męczeństwie Szymona Tokarzewskiego.

Dwuletnie więzienie we Lwowie, cytadela, Modlin, katorga w Omsku — oto główne momenty z tej epoki życia Tokarzewskiego.

W r. 1857, po wstąpieniu na tron Cesarza Aleksandra II, wraca do kraju i zamierza osiąść na roli.

W Warszawie w domu Emilji Gosselin styka się z gronem rzemieślników, a widząc, że to są ludzie serc zacnych i gorących, postanawia zbliżyć się do nich, zespolić się z nimi uczuciami i czynem — wejść w ich sferę.

Tradycje Kilińskiego zdecydowały o wyborze zawodu — Szymon Tokarzewski zostaje szewcem.

Wkrótce skromny jego domek na rogu ul. Bielańskiej i Tłomackiego staje się ogniskiem, w którym zbierają się Rzemieślnicy ze Stanisławem Hiszpańskim na czele i Młodzież ze Szkoły Sztuk Pięknych, z Akademii medycznej, wreszcie znani literaci i działacze: Aleksander i Władysław Krajewscy, Ehrenberg, Tytus Chałubiński, Jeziorański, Traugutt, Toczyński i w. in. Przyszło powstanie...

1. Nieżyjący już majster szewcki, syn znanego działacza z lat sześćdziesiątych.

W roku 1863 Tokarzewski wywieziony został do Riazania, jednak po czterech miesiącach wrócił, aby wkrótce dostać się na „Pawiak”, a później znów do cytadeli.

W r. 1864 wywieziony został do Aleksandrowska nad Amurem. Następnie przebywał w Irkucku, później w Haliszu w Kostromskiej gubernii.

Wrócił do kraju r. 1883.

GAZETA POLSKA

D. 2 stycznia 1907 r.

TEODOR DOSTOJEWSKI

W styczniu 1850 r. przywieźli z Petersburga dwóch rosyjskich więźniów stanu.

Sergiusz, syn Teodora Durow i Teodor syn Michała Dostojewskij, obadwaj nadzwyczaj słabi, zdenerwowani, jodyną i merkurjuszem przeładowani, niby bańki aptekarskie, skazani byli na cztery lata robót ciężkich, a następnie do wojska.

Sergiusz Teodorowicz Durow, zaraz przy pierwszym zawarciu znajomości z nami oświadczył, że jego matka w prostej linii pochodziła od Bogdana Chmielnickiego, stryj zaś, był kędyś gubernatorem.

Powtarzał to wielokrotnie, przy każdej sposobności, albo i bez sposobności, jakgdyby ten swój rodowód chciał w nasze głowy wbić na wieki wieki. Durow dość pogodnie godził się z katorgą, pozował na uczonego i światowca, a namiętnie lubił opowiadać dykteryjki z życia swojego i znajomych swoich w Petersburgu. Miejsca kędy się sceny opowiadań Durowa odgrywały, były to najczęściej albo kawiarnie, albo traktyernie.

Czasem przecież sięgał wyżej, opowiadał różne wypadki z życia wielu dygnitarzy państwowych, z czego wnioskowaliśmy że Durow, w godzinach wolnych od służby w jakimś biurze, zbierał po mieście nowinki.

Zanudzał nas też opowiadaniem wciąż jednych i tych samych faktów, zdarzeń, scen, w których sam występował jako aktor główną odgrywający rolę. Przeważaliśmy Durowa „polituruowanym”, a to z następującej przyczyny:

— Byłem — opowiadał — na balu. Jestem, jak panowie widzicie, chłopcem niczego, a przytem moje pończochy jedwabne, mój frak paryzki, zwracały ogólną uwagę. Damy wprost pożerały mnie oczyma, a szczególnie jedna: Anna Dymitriewna to już, proszę mi wierzyć, na mnie jednego patrzy, ze mną jednym rozmawia i tańczy. Proszę mi wierzyć, *czastnoje słowo!* Zagrała muzyka, posadzka, pamiętam, ślizka była, jak zamarnięte jezioro,

ja sunę do Anny Dymitriewnej, ot! tak! (Durow daje kilka posuwistych kroków) sunie też Andrzej Mikołajewicz. Ja się kłaniam, ot! tak! (Durow robi przed nami pirueta) kłania się i Andrzej Mikołajewicz, ja wyciągam rękę do Anny Dymitriewny, i on też. Ha! myślę: nie tobie, Andrzeju Mikołajewiczu, nie tobie chudzino wyciągać rękę do jeneralskiej córki.

Znudzony, przerwałem zapytaniem:

— I cóżes pan uczynił?

— Rznąłem w mordę Andrzeja Mikołajewicza! — krzyknął Durow spoglądając na nas tryumfującym wzrokiem, jakgdyby za ten czyn oczekiwał od nas poklasku.

Oczywiście, taki epizod z balu nie mógł nam Polakom przypaść do gustu. Od tej pory nazwaliśmy Durowa „polituruowanym” albowiem jego towarzyska ogłada, jego elegancja, były tylko pozorną politurą, pod którą kryły się i dzikość i okrucieństwo tatarskie.

Pomimo że Durow był najczęściej i nudnym i śmiesznym, czasem można z nim było porozmawiać z przyjemnością, naturalnie nie bardzo się wynętrzając.

Ten drugi, Teodor syn Michała Dostojewskij ten okrzyczany powieściopisarz, autor „*Biednych ludzi*” ta sława stolicy północnej, od razu nam się wydało, że nie dorósł swej sławy. Już ciż talent powieściopisarski miał.

Ale mniejsza o powieści Dostojewskiego, mnie idzie o jego charakter.

Jakim sposobem ten człowiek stał się konspiratorem?... jakim sposobem brał udział w ruchu demokratycznym, on, pyszny nad pysznymi i to pyszny z tej racji, że do kasty uprzywilejowanej należy?... jakim sposobem ten człowiek mógł pragnąć usamowolnienia ludu, on, który tylko jedną kastę uznawał, jednej tylko kaście — szlachcie, przyznawał prawo przodowania narodowi zawsze i wszędzie?

„*Szlachectwo*” „*szlachcic*” „*szlachta, ja szlachcic*” „*my szlachta*” powtarzał ciągle, niby szpak, który tylko jeden wyraz powtarzać umie i lubi.

Ilekoć, zwracając się do nas Polaków, mawiał „*my szlachta*” ja przerywałem mu zawsze:

— Przepraszam pana, ja myślę, że w tym ostrogu niema szlachty, są tylko ludzie praw pozbawieni, są katorżnicy.

Wówczas pieniał się ze złości.

— A pan oczywiście rad jesteś z tego, żeś katorżnikiem, krzychał ze złością i ironią.

— Żem katorżnikiem, *takim*, jak jestem, tom rad — odpowiadałem spokojnie.

Więc jakim cudem Dostojewskij stał się konspiratorem?...

Pewno mimowoli dał się unieść prądowi chwili, jak mimowoli zdradzał się z żalem, że go fale konspiracji, aż do katorgi omskiej zaniósł.

Dostojewskij nienawidził Polaków, ponieważ z rysów i z nazwiska niestety! znać było pochodzenie polskie, mawiał, że gdyby wiedział iż w jego żyłach płynie chociaż jedna kropla krwi polskiej, kazałby ją natychmiast wypuścić.

Jakże boleśne było słuchać, gdy ten spiskowiec, ten skazaniec za wolność i postęp, wyznawał, że wówczas dopiero uczuje się szczęśliwym, kiedy wszystkie ludy przejdą pod panowanie Rosyi.

Nigdy nie mówił, że Ukraina, Wołyń, Podole, Litwa, wreszcie Polska cała, jest krajem zabranym, lecz utrzymywał, że te całe obszary ziemi są odwieczną własnością Rosyi, że ręka sprawiedliwości Bożej te prowincje, te kraje oddała pod berło cara dlatego, że one nie mogłyby istnieć samodzielnie, że na długo jeszcze pozostałyby w stanie ciemnoty, barbarzyństwa i nędzy.

Nadbałtyckie prowincje — zdaniem Dostojewskiego, to Ruś właściwa; Syberya i Kaukaz — podobnie.

Słuchając tych dowodzeń, nabieraliśmy przekonania, że Teodor Michajłowicz Dostojewskij, na pewnych punktach dotknięty jest umysłowem zboczeniem.

On zaś z upodobaniem wciąż te absurda powtarzał. Twierdził nawet że Konstantynopol dawno powinien należeć do Rosyi, jak niemniej cała Turcja europejska, która niedługo będzie stanowić kwiat rosyjskiego imperyum.

Raz Dostojewskij zadeklamował nam swój utwór: odę na uczczenie ewentualnego wkroczenia zwycięskiej armii rosyjskiej do Konstantynopola. Oda była istotnie ładną, żaden z nas przecież nie kwapił się z pochwałami, a ja spytałem:

— *A na wozwratnyj put² u was ody niet?*

Szalał z gniewu. Skakał mi do oczu, nazywając wprost nieukiem i barbarzyńcą, wrzeszczał tak straszliwie, że po całym ostrogu pośród brygadów rozszedł się pomruk:

— Polityczni przestępcy się biją.

Aby przerwać tę scenę gorszącą, wyszliśmy wszyscy z kazamaty na dziedziniec.

Według Dostojewskiego, na świecie jeden tylko istniał naród wielki, do misji wspaniałych przeznaczony naród rosyjski.

Francuzi, twierdził on, jeszcze trochę podobni są do ludzi, lecz Anglicy, Niemcy, Hiszpanie to są wprost karykatury.

Literatura innych narodów, w porównaniu z literaturą rosyjską — jest prostą parodią literatury.

2. A na uczczenie odwrotu, nie napisałeś pan ody?

Pamiętam, gdy powiedziałem, że u nas w r. 1844 ogłoszoną była prenumerata na tłumaczenie: „Żyda wiecznego tułacza” najpierw nie chciał wierzyć, a potem wprost zarzucił mi kłamstwo. Aż Durow wniósł się w to i upewnił go o prawdziwości mojego twierdzenia. Mimo to jeszcze nie dowierzał, gdyż, że się tak wyrażę, leżało to w jego krwi, aby każdy naród, nie mówiąc już o nienawistnych mu Polakach, obedrzeć ze wszystkiego, cokolwiek w tym narodzie było wielkie, piękne i szlachetne, pragnąłby zniszczyć, zetrzeć, zagładzić, aby paradoksalnie donieść wyższości Rosyan nad wszystkimi narodami całego świata.

A przytem jeszcze Dostojewskij, częstokroć stawał się nieznosnym, wprost niemożliwym przy dysputach.

Zarozumiały i brutalny, zmusił nas żeśmy z nim dysputować, a później nawet żeśmy z nim i rozmawiać i znać go nie chcieli.

I trzeba było:

... „kryć radość i gniewy

I być, jak otchłań, w myślach niedościgły.”

Może ta nierówność charakteru, ta wybuchliwość temperamentu u Dostojewskiego była chorobliwą, bo, jak już wspominałem, obadwaj ci petersburscy panowie byli bardzo zdenerwowani i chorzy...

Jakimże więc sposobem, wychowaniec korpusu kadetów, Teodor Michajłowicz Dostojewskij dostał się do katorgi, jako więzień stanu?...

Oto według własnych jego opowiadań czytywał ogromnie dużo. Bezwątpienia więc obrazy wielkiej rewolucji francuskiej rozplamiły jego wyobraźnię ale był to ogień słomiany; bezwątpienia w dziełach wielkich myślicieli, znalazł podniosłe idee, które przeniknęły do jego mózgu, które ogarnęły serce.

I dał się pociągnąć na drogę, z której pewno następnie pragnął jaknajprędzej zawrócić.

Kiedy ci dwaj ludzie przybyli do Omska i pod jednym ze mną zamieszkali dachem, zdawało się mnie że zobaczył dwa światła, które zabłyśły na chmurnym niebie późnocy.

Żłudzenie pierzchnęło wnet. Już mówiłem powyżej, żeśmy z Dostojewskim stosunki zerwali.

Po wyjściu z katorgi Dostojewskij, wysłany został na służbę wojskową do batalionu, konsystującego w Siemipałatyńsku. Tam, z okazji wojny krymskiej, napisał wiersze, w którym cesarza Mikołaja postawił ponad wszystkimi bogami Olimpu — chciał, aby ten wiersz był wydrukowany w gazetach³. Może pochlebstwem spodziewał się uzyskać zmniejszenie kary, a może jeszcze, za dytyramb — otrzymać sutą nagrodę.

3. Nie umiem powiedzieć czy ten wiersz był drukowany.

Przytoczone fakta usprawiedliwią sąd jaki my wszyscy, Polacy w katordze omskiej z Dostojewskim będący — wydaliśmy o nim, że jest człowiekiem słabego i poziomego charakteru. Ze nienawidził Polaków wybaczyć mu można — znosiliśmy wszak i wybaczały cięższe nienawiści, a przyjaźni pana Teodora Dostojewskiego nie usiłowaliśmy pozyskać, albowiem „wilk obłaskawiony i przyjaciel jednany, mały pożytek przynoszą”.

Kiedy agitowała się sprawa, w której brał udział Dostojewski, ja byłem już w więzieniu, w pochodzie do katorgi, a więc po za obrębem ucywilizowanego świata, gdzie ścierają się zdania, poglądy, gdzie wreszcie z samych faktów można sobie o sprawach jasne wytworzyć pojęcie.

Jakimi byli inni działacze w tej sprawie, nie wiem, ale to jest mi z pewnością wiadome, że w tej małej liczbie uczciwych i wykształconych Rosyan, z którymi się na Syberii stykałem, ta sprawa nie budziła ani sympatii, ani też zainteresowania.

Co innego Dekabryści...

O towarzyszach katorgi w fortecy omskiej, Polakach, Dostojewskij tak pisze we „Wspomnieniach z domu umarłych” ... oprócz tych trzech Rosyan, innych ze stanu szlacheckiego przebywało w moich czasach w ostrogu ośmiu ludzi. ... Najlepsi z nich byli to ludzie chorobliwie nastroszeni, odosabniający się i w najwyższym stopniu nietolerancyjni. Z dwoma przestałem potem rozmawiać... starzec Żochowski był niegdyś profesorem matematyki — starzec dobry, zacny, wielki dziwak i pomimo wykształcenia bardzo, jak mi się zdaje, ograniczony człowiek. Zupełnie inni byli Mirecki i Bogusławski. Z Mireckim odrazu ścisła zawarłem znajomość, nigdy się z nim nie kłóciłem, szanowałem go, ale pokochać go, przywiązać się do niego nigdy nie mogłem. Był to człowiek głęboko niedowierzający i rozdrażniony, ale umiejący doskonale panować nad sobą. Otóż ta zbyt wielka umiejętność panowania nad sobą, nie podobała mi się w nim... nadzwyczajna, poniekąd nawet jezuicka zręczność i ostrożność w obęjsiu z ludźmi zdradzała w nim głęboki, utajony sceptycyzm. A przecież była to dusza cierpiąca właśnie wskutek swej dwoistości; sceptycyzmu i głębokiej, niezachwianej wiary w pewne swoje ideały i ich ziszczanie... Bogusławski był chorowity, trochę z usposobieniem do suchot, nerwowy i drażliwy, ale w gruncie rzeczy najlepszy człowiek. Rozdrażnienie doprowadzało go niekiedy do nadzwyczajnej nietolerancji i kaprysów. Nie mogłem tego znosić i później rozstałem się z Bogusławskim. Tak się zdarzyło, że zerwałem stosunki z Bogusławskim, natychmiast musiałem zerwać znajomość i z Tokarzewskim, z tym samym młodzieńcem, o którym wspominałem w poprzednim rozdziale. Bardzo mi to było przykro. Tokarzewski, był dobrym, męznym krótko mówiąc: był dzielnym młodzieńcem. Przyczyną zerwania było to, że on tak kochał i cenił Bogusławskiego, że tych wszystkich, którzy choć cokolwiek stronili od Bogusławskiego, po czytywał prawie za swoich wrogów... Wszyscy Polacy w katordze omskiej, byli zresztą moralnie cierpiący, żółciowi, rozdrażnieni, niedowierzający... Rzecz jasna, że ga. otła ich tęsknota. Dla Czerkiesów, Tatarów dla Żydów byli łaskawi i uprzejmi, ale ze wstrętem unikali reszty katorżników. Tylko jeden starodubski starowieca zasłużył był sobie na ich pełny szacunek... Rzecz

zresztą godna uwagi, że nikt z katorżników przez cały czas mego przebywania w ostrogu, nie wytykał im, ani ich pochodzenia, ani wyznania, ani sposobu myślenia, co się zdarza u naszego ludu prostego, w stosunku do cudzoziemców, szczególnie Niemców. Zresztą, co się tyczy Niemców, to się z nich tylko śmieją; Niemiec dla rosyjskiego społeczeństwa przedstawia się, jako coś niezmiernie komicznego. Z naszymi Polakami, katorżnicy obchodzili się nawet z uszanowaniem, daleko lepiej niż z nami ze szlachty rosyjskiej i wcale ich „nie zaczepiali”. Ale ci, jak się zdaje, nie chcieli nawet widzieć tego i brać pod uwagę. (str. 204-206).

I ponadto:

..... spotkałem się z Tokarzewskim jeszcze bardzo młodym człowiekiem, świeżym, rumianym, silnym, śmiałym, który w drodze pół etapu niósł na ramionach upadającego ze zmęczenia Bogusławskiego, co się powtarzało na przestrzeni siedmiuset wiorst. Trzeba było widzieć jaka ich przyjaźń łączyła.
Dostojewski, „Wspomnienia z domu umarłych”, str. 120.

..... W sieniach przed kuchnią spotkał mnie Tokarzewski, młodzieniec silnego charakteru i wielkiego serca. Katorżnicy wyróżniali go z pomiędzy innych i po części nawet lubili. Był waleczny, odważny i silny i to się odbijało prawie w każdym jego ruchu. (str. 195).

Bem był to malarz pokojowy i to malarz nielada... razem z nim na robotę zaczęto posyłać i towarzyszyło jego... Z tych, co chodzili z nim ciągle, dwóch nauczyło się od niego tego samego rzemiosła i jeden z nich Tokarzewski, zaczął malować nie gorzej od Bema (str. 217).

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedynе pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec
UKAZUJĄCE SIĘ DWA RAZY TYGODNIOWO
RAZ W MIESIĄCU DODATEK LITERACKI

Redakcja, administracja, drukarnia:
6800 Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 309

Wiersze

Bogdan CZAYKOWSKI

MIEJSCE

Stałem twarzą w twarz
nieco z ukosa
usypany kopczyk
spajałem w szaniec warowny
po lewej stronie
kamienie
po prawej splekane ruiny
z śladami mozaik i farb

była to krecia praca
kopiec-obronno-zaczepny
jak lutowanie w piwnicy
patrzyłem zblakłymi oczami

i cóż widziałem — Goliata?
Bizancjum z złotymi rogami?
gromowładnego boga?

był usypany kopczyk
kamienie
splekane ruiny

ziemia się okręcała
i jakieś wielkie siły
dawno zaszły mnie
z flanki
postanowiłem postać
skoro świat się przekręca

LATO 1971

Krystynie i Andrzejowi Endelman

W czerwcu listopad.
Czereśnia czarne liście zrzuca
zanim dojrzała.
Grzech zrywać zielone owoce ptaki.
Są ciągle czary, cuda, zdarzenia.
Listopad miesza porządek natury.
Wystawił w gradowych chmurach góry.
Miotłę przywiat do ogrodu
z cudzych ogrodów.
Ogradzam siebie, jak w pajęczynie
wiatr mię przemienie.
Kolibr pamięta o kaprifolium.
Lipa się z dżdżu otrząsa, klon po niebie wałęsa
liściaty.
Suro, wytrzymaj łapy. Czas ofiar i libacji.
Listopad w czerwcu drąży jak w cudzie
Wolter. Wzniesmy gałązkę wina.
Wszystko się ciężkie zielone od kropel ziarnistych
zgina.
Jaga odpędza zdziczałe dzieci od dzikich konwalii.
Miotła w kącie zmoczona wysycha.
Można się przejechać nad morze i odróżnić nieboskłon
od falowyzu.
A nad mgłami góry sterczą z resztą śniegów
jakże białych
widocznie od słońca.

AKWARIUS

I

w tym momencie geograficznym
wagarów wschodu na zachód
zgliszcza północy dymią
słychać, plusk ryby
w czas soli czas stódkorodny
róże na morzu połyski delfina
wynoszę świecznik luster w procesji z płomykami
określam świetlne horyzonty
poprzez płynne żywioły

II

*nagi na wrytej poczwarze
 siec się pozwolę deszczowi
 z jezior siarczanych kąpieli
 padającemu w to miejsce
 po którym z korzeni żeber
 (jak flora arki Noego)
 łodyga listkiem do słońca
 jak dłoń w kształcie oka
 zgłiszcza powietrza ocieni*

*rybę żywiąc w przepływie
 w zodiaku rybitwy*

Bogdan CZAYKOWSKI

Archiwum polityczne

Zawieszenie doktryny Breżniewa

Artykuł niniejszy nie jest poświęcony sprawie Niemiec — lecz zacząć go wypada od Berlina. Układ berliński miał być podpisany w dniu 1 września br., jednak w ostatniej chwili wszystko odwołano. Powstały trudności w uzgodnieniu tekstu w języku niemieckim. Okazało się, że w języku rosyjskim istnieje tylko jedno określenie terminu „tranzyt” — natomiast w języku niemieckim istnieje kilka określeń tego pojęcia. 1 września podano również do wiadomości, że ambasador amerykański, który wraz ze swymi kolegami — ambasadorami sowieckim, francuskim i brytyjskim miał podpisać berliński dokument — cierpi na wysokie ciśnienie i lekarze zalecili mu wypoczynek. 2 września ukazały się w prasie bardzo pesymistyczne artykuły przetelefonowane z Berlina. „To byłoby zbyt piękne aby mogło być prawdziwe” — zawyrokował jeden z brytyjskich obserwatorów. Berlińczycy zachodni w rozmowach z dziennikarzami podkreślali, że na dnie duszy nigdy nie wierzyli, że układ dojdzie do skutku.

Nie podzielałem tego pesymizmu. Byłem pewien, że układ zostanie podpisany. Rosjanie negocjowali ów układ 17 miesięcy, osiągnęli wszystkie swoje cele — byłoby więc nonsensem gdyby w ostatniej chwili wyłamali. Byłem pewien, że Sowiety układ podpiszą — ponieważ Moskwa dokonała pewnego wyboru — o czym mowa będzie poniżej.

Ku radości jednych a ku zdumieniu innych — układ został uroczyście podpisany w dniu 3 września. Teksty uzgodniono a ambasador amerykański cudownie ozdrowiał. „Wszystko dobre co się dobrze kończy” — powiedział łamaną niemiecką ambasadorem sowiecki zgromadzonym dziennikarzom.

Dobiega kresu powojenne prowizorium. Sowiety będą jednak nadal obecne w Zachodnim Berlinie. Cytowany traktat gwarantuje im bowiem prawo otwarcia konsulatu generalnego. Nie mu-

szą zabiegać o pozwolenie rządu w Bonn, czy zezwolenie prezydenta miasta Berlina. Prawo do Generalnego Konsulatu w zachodnim Berlinie przysługuje Sowietom z mocy sygnowanego traktatu. W tej sprawie nic się nie zmienia, Agenci KGB i inni „spece” będą członkami generalnego konsulatu. Innymi słowy zmieni się tylko nazwa placówki sowieckiej.

W dniu 3 września br. zjednoczenie Niemiec oddaliło się w... siną dal. Podział Niemiec utracił cechę tymczasowości. Został *de facto* uznany i oficjalnie zarejestrowany w traktacie międzynarodowym. Droga do uznania NRD i do zabezpieczenia jej stałego miejsca w OZN została otwarta.

Granica na Odrze i Nysie od roku 1945 nie była nigdy bardziej pewna i nienaruszalna niż obecnie. Granica zachodnia Polski zostanie uznana i ratyfikowana przez rząd w Bonn. Owieczna antyniemiecka mobilizacja w Polsce utraciła realne podstawy. Należy wyciągnąć z tych faktów pewne wnioski — o czym będzie mowa w końcowej części tego artykułu.

Zostało również przygotowane polityczne przedpole do konferencji europejskiej — Wschód-Zachód.

Rosjanie dysponują tak znaczną przewagą militarną w Europie Środkowo-Wschodniej, że trudno zrozumieć dlaczego im tak zależy na owej mistycznej konferencji — o której (na rozkaz Moskwy) prasa krajów satelickich rozpisuje się od miesięcy.

Od strony europejskiego zachodu Sowietom nic nie zagraża — więc o co im chodzi?

Osobiście jestem pewien, że w grę wchodzi tylko jeden „drobny” szczegół. W trakcie rozmów na temat wzajemnej redukcji zbrojeń pomiędzy NATO a krajami Paktu Warszawskiego — Rosjanie z całą pewnością wysuną sprawę ewakuacji wojsk amerykańskich z kontynentu, ściślej mówiąc z Niemiec. Chwila po temu jest sposobna — ponieważ Amerykanie dążą do redukcji swych zamorskich garnizonów. Cóż w końcu znaczy kilka tysięcy amerykańskich żołnierzy? Jeżeli w zamian za ewakuację tych jednostek — Sowiety zaferują znaczną redukcję swoich wojsk w NRD i w innych krajach bloku wschodniego — propozycja wyda się wielu obserwatorom kusząca i korzystna. Rosjanie będą również argumentować, że skoro załatwiona jest sprawa Berlina i ratyfikowany pakt nie-agresji pomiędzy Bonn a Moskwą — wojska amerykańskie w Niemczech są zbytekiem z minionej epoki i powinny wrócić do Stanów Zjednoczonych. (Jak wiemy pakt niemiecko-sowiecki nie jest dotąd ratyfikowany — lecz w okresie projektowanej konferencji europejskiej będzie już po jego ratyfikacji).

Nie waham się twierdzić, że cała operacja pod nazwą konferencji europejskiej — ma na celu głównie i przede wszystkim pozbycie się wojsk amerykańskich z kontynentu.

Sprawa jest prosta. Dopóki mamy na kontynencie choćby minimalne zgrupowanie wojsk amerykańskich — dopóty każda akcja zbrojna w Europie Środkowej — przekształciłaby się natychmiast w wojnę sowiecko-amerykańską.

Lecz to jeszcze nie wszystko. Obecność na kontynencie wojsk amerykańskich gwarantuje skuteczność amerykańskiego parasola atomowego. Z chwilą gdy wojska amerykańskie zostaną w całości wyewakuowane z europejskiego kontynentu — parasol atomowy przestanie być „nieprzemakalny”. Wówczas jakkolwiek wojna w Europie — byłaby tylko wojną europejską — ponieważ żołnierze amerykańscy nie byłiby zaangażowani w walce, a obywatelom amerykańskim nic by nie zagrażało. W takich warunkach prezydent USA nie zdecydowałby się wydać rozkazu atomowego bombardowania Sowietów pragnąc uchronić miasto amerykańskie przed odwetem o nieobliczalnych skutkach. Inaczej mówiąc — celem Sowietów jest pozbawić Europę Zachodnią amerykańskiego parasola atomowego — a w każdym razie uczynić ten parasol mniej pewnym i skutecznym.

Plan europejski — tak jak widzą go Sowiety — obejmuje trzy fazy. 1) układ berliński z 3. IX. br.; 2) układ szczegółowy pomiędzy NRF a NRD; 3) traktat pomiędzy NATO a państwami Paktu Warszawskiego. Ów finalny traktat inkorporowałby zarówno układ berliński jak i umowy pomiędzy NRF a NRD. Niezależnie od tego ów traktat stanowiłby ukoronowanie europejskiej konferencji w sprawie bezpieczeństwa i ograniczenia zbrojeń.

W praktyce ów „wielki plan” stanowiłby przejście z powojennego prowizorium — do pokojowej normalizacji i stabilizacji. Podział Niemiec, granice, imperium sowieckie w Wschodniej Europie — to wszystko byłoby uznane i zabezpieczone w międzynarodowych układach. Sowiety zyskałyby wolną rękę w stosunku do Chin.

We wstępnej części tego artykułu zaznaczyłem, że Sowiety wkraczając na linię „wielkiego zamysłu” europejskiego i podpisując zgodnie z swą polityczną linią układ berliński — dokonały pewnego istotnego wyboru. By zdać sobie sprawę z politycznej treści owego wyboru — musimy ze sceny berlińskiej przenieść się na Bałkany.

Na ogół nie doceniamy prowokacji chińskiej na Bałkanach a w szczególności w Rumunii i w Jugosławii.

Rosjanie — by nie zamykać sobie drzwi — brudną robotę przeciw Rumunii i Jugosławii zlecają Węgrom, Polakom i Bułgarom. Z łamów *Żołnierza Wolności* i partyjnej prasy węgierskiej padł zarzut pod adresem Rumunów, że uprawiają politykę antysowiecką. To jest najcięższe oskarżenie jakie można wysunąć przeciwko „bratniej partii komunistycznej”. Zgodnie z doktryną Breżniewa — konsekwencją tego typu oskarżenia winna być interwencja państw socjalistycznych — czyli inwazja.

Szef politycznego wyszkolenia armii chińskiej stał na czele dziesięcio-osobowej delegacji, która w sierpniu br. odwiedziła Rumunię. Goście chińscy — w charakterze obserwatorów — wzięli udział w manewrach armii rumuńskiej, które odbyły się w okolicy Brasowa. Ambasador sowiecki kilkakrotnie w owym czasie odwiedził premiera rumuńskiego. Premier Ceausescu zwo-

łał posiedzenie KC, rady ministrów i rady państwa — i uzbrojony w uchwały owych trzech ciał — powtórzył jeszcze raz swoje niepodległościowe „credo”. Generał Li Te-cheng, szef delegacji chińskiej wymienił z rumuńskim szefem sztabu liczne polityczne toasty w czasie pożegnalnego bankietu. W owych toastach obaj generałowie mówili nie tylko o braterskich więzach łączących Rumunię i Chiny — lecz mówili również z naciskiem i bez obstępów o imperializmie sowieckim. Korespondenci zagraniczni podkreślili, że Rumuni w czasie pobytu delegacji chińskiej — po raz pierwszy używali publicznie terminu „imperialistyczny” w odniesieniu do Sowietów. Nawet Amerykanie starają się unikać tego terminu — wiedząc, że Moskwa wszelkie posądzenia o imperializm poczytuje za obelgę, którą posługują się tylko śmiertelni wrogowie Związku Sowieckiego, jak na przykład Chińczycy.

W pierwszych dniach września br. bawiła również delegacja chińska w Jugosławii. Przewodniczył jej minister przemysłu Czien Czi-kuang. Chińczycy zwiedzili międzynarodowe targi w Zagrzebiu a następnie powrócili do Belgradu. W stolicy Jugosławii — jakby na powitanie gości chińskich — ukazał się pięknie wydany przekład poematów Mao Tse-tunga.

Lecz oczywiście sytuacja Jugosławii jest zupełnie inna niż Rumunii. Jugosławia nie należy do Paktu Warszawskiego i głosi politykę nie zaangażowania. Warto może wspomnieć o charakterystycznej zmianie pewnego artykułu konstytucji Jugosławii. W razie ataku z zewnątrz na Jugosławię — rozkaz zaniechania zbrojnej obrony kraju byłby sprzeczny z konstytucją bez względu na to przez kogo byłby wydany. Obywatele jugosłowiańscy są zobowiązani przez konstytucję do ignorowania tego typu rozkazów czy zaleceń. To jest niewątpliwie interesująca reforma prawa konstytucyjnego — stanowiąca odpowiedź na doktrynę Breżniewa.

Teraz możemy odpowiedzieć na pytanie dotyczące wyboru — jaki zarysował się przed polityką sowiecką w sierpniu i we wrześniu br.

Sowiety, zgodnie z doktryną Breżniewa — mogły wkroczyć do Rumunii, zbrojną ręką zgnieść opór i w Bukareszcie osadzić rumuńskiego Husaka. Byłaby to lekcja dla państw satelickich — mająca na celu wbić wszystkim zainteresowanym w głowę, że doktryna Breżniewa nie jest frazesem, tylko konkretną polityką za którą stoi cała potęga Związku Sowieckiego. Narody satelickie przekonałyby się wówczas, że doktryna Breżniewa dotyczy nie tylko państw, które z góry rezygnują z oporu jak Czechosłowacja — lecz dotyczy również i tych, które zdecydowane są walczyć przeciwko Związkowi Sowieckiemu. Gdyby w Bukareszcie rządził rumuński Husak a w Rumunii stacjonowała kilkanaście dywizji sowieckich — pozycja Jugosławii uległaby wybitnemu osłabieniu.

I punkt najistotniejszy: Chińczycy przekonali się, że Sowiety są gotowe bronić zbrojnie swojej sfery wpływów — a

wszyscy potencjalni zwolennicy flirtów z Pekinem w orbicie sowieckiej przekonali się, że to jest gra wysoce niebezpieczna.

Lecz podejmując akcję militarną przeciwko Rumunii Rosjanie musieli by zrezygnować z wielkiego zamysłu europejskiego, którego początkiem jest pakt berliński a domniemanym zakończeniem „Konferencja Europejska”, ewakuacja jednostek amerykańskich z kontynentu i „podziurawienie” parasola atomowego nad Europą. Inwazja Rumunii — uniemożliwiłaby rządowi w Bonn ratyfikowanie układu rosyjsko-niemieckiego a *Ostpolitik* Kanclerza Brandta leżałaby w gruzach.

Od miesięcy Sowiety dyplomatyczno-szeptaną propagandą starają się przekonać Zachód, że Rosjanie są rozsądnie myślącymi Europejczykami, gotowymi zawsze do rozmów i kompromisowych układów. Natomiast Chińczycy są nieporozumiałymi Azjatami, opętanymi manią wielkości. Rosjanie liczą, że Chińczycy w czasie wizyty prez. Nixona — wysuną tak nierealnie wysokie żądania, że prezydent wróci z Pekinu wybitnie ostudzony.

Politycy, w przeciwieństwie do historyków — mają krótką pamięć. Praga wstrząsnęła światem. Blask żywej pochodni, którą był Jan Palach — nadał tragedii czechosłowackiej nadludzki, ponadeuropejski wymiar. Gesty o takiej intensywności — od średniowiecza nie dzieją się w Europie.

Minęło zaledwie trzy lata. Kanclerz Brandt jest na Krymie, były premier Harold Wilson jest w Moskwie, a wizyty Breżniewa zapowiedziane są w Paryżu, w Bonn, w Belgradzie. *Business as usual*.

Gdyby w sierpniu lub we wrześniu br. Rosjanie dokonali inwazji Rumunii tłumiąc krwawo opór Rumunów — nie ulega wątpliwości, że i ta zbrodnia poszłaby w zapomnienie. Lecz nawet najwięksi cynicy na Kremlu musieli sobie zdawać sprawę, że podejmując inwazję Rumunii — Rosja musiałaby odłożyć swój „plan europejski” na 10 lub 15 lat. Za 10 czy 15 lat — Chińczycy mogą mieć nie tylko bomby atomowe i *delivery system* lecz i potężnych sojuszników. Teoria o pokojowych, rozsądnych, europejskich Rosjanach i o nieporozumiałych, megalomańskich Chińczykach straciłaby na skutek inwazji Rumunii pokrycie w faktach.

Z powyższych przyczyn wybrano w Moskwie „plan europejski” poświęcając doktrynę Breżniewa.

Ktoś może zauważyć, że doktryna Breżniewa nie dotyczy Rumunii, ponieważ partia rumuńska jest daleka od jakiegokolwiek rewizjonizmu. Wszystko zależy od definicji rewizjonizmu. Z punktu widzenia sowieckiego rewizjonizmem jest każde poważniejsze odchylenie od linii politycznej Kremla. Nie może być bardziej jaskrawego i prokokacyjnego odchylenia od linii Moskwy jak fraternalizowanie się z chińskimi generałami i zarzucanie Sowietom imperializmu.

W ocenie Moskwy — nie można być dobrym komunistą i równocześnie bratać się z Chińczykami. Komunista bratający

się z Chińczykami — w oczach Kremla — jest złym komunistą zarówno w sensie politycznym jak i ideologicznym.

Doktrynę Breżniewa zawieszono na kołku, ponieważ istotą tej doktryny jest interwencja zbrojna. Dopóki Moskwa jest zdecydowana realizować swój plan europejski — interwencja zbrojna na naszym kontynencie jest nie do pomyślenia.

Jeszcze raz podkreślam, że do planu europejskiego Moskwa przywiązuje wielką wagę. Rosjanie pragną być zabezpieczeni od strony Zachodu, pragną zacieśnić i rozwinąć współpracę z Niemcami — co posiada bardzo istotne znaczenie dla Sowietów zarówno w czasie pokoju jak i w okresie ewentualnej wojny z Chinami. *Ostpolitik* jak dotąd formułowana jest w kontekście polityki zachodniej. Ale czy zawsze tak będzie? W mojej książce w języku niemieckim, wydanej w Berlinie przed 10 laty — napisałem, że klucze losu Niemiec leżą w Moskwie a nie w Waszyngtonie. Podtrzymuję nadal tę opinię. Moskwa ma daleko więcej do zaferowania Niemcom niż Ameryka.

Lecz to są sprawy, które wybiegają poza zakres niniejszego artykułu. Też wynikającą z mojej analizy jest pogląd, że doktryna Breżniewa została zamrożona, co stwarza wyjątkową koniunkturę nie tylko dla Rumunów lecz również dla Polaków czy Węgrów. Polacy w Kraju winni zdać sobie sprawę z faktu, że groźba sowieckiej interwencji zbrojnej zmalała o 80 %. Co to oznacza? Oznacza to, zakładając, iż w Polsce zaczynają się dziać rzeczy, które nie budziłyby entuzjazmu w Moskwie, że sowiecka interwencja zbrojna jest o 80 % mniej prawdopodobna dziś niż cztery lata temu.

Gdyby „wiosna w Pradze” wybuchła nie w roku 1968 lecz latem 1971 roku i gdyby na czele ruchu reformy stał człowiek lepiej panujący nad sytuacją niż Dubczek — do interwencji zbrojnej prawdopodobnie by nie doszło.

Koniunktura obecna nie będzie trwała wiecznie. Z chwilą gdy „pakiet europejski” obejmujący szereg pozycji — zostanie podpisany i ratyfikowany — koniunktura o której mówimy skończy się.

Polityka w znacznej mierze polega na umiejętnym wykorzystaniu okazji. Sukces wieńczy akcje nie tylko słuszną i rozsądną przemyślaną — lecz przede wszystkim podjętą we właściwym czasie. I odwrotnie — beznadziejność i marazm żywią się stęchłym chlebem zmarnowanych okazji.

Są dwie drogi, którymi przywódcy komunistyczni zdobywają poparcie społeczne. Można krzyknąć: „jesteśmy, jako Rumuni — narodem łańskim, pochodzącym od Rzymian a hordy barbarzyńskich Słowian zagrażają naszej niepodległości”. Można również krzyknąć: „jesteśmy Słowianami a hordy barbarzyńskich Germanów chcą nam odebrać piastowskie ziemie”.

Lecz można również podjąć, przy sprzyjającej koniunkturze program reform społecznych i gospodarczych — podejmując cichą lecz nieubłaganą walkę przeciw neo-stalinizmowi i totalizmowi.

Zagadnieniem współczesnej Polski nie są doradcy sowieccy czy groźba sowieckiej inwazji, lecz totaliści własnego chowu. Oczywiście gdyby Polacy wyszli tłumnie na ulice miast i zaczęli strzelać do milicji i agentów Bezpieki, gdyby puścili z dymem ambasadę sowiecką itp., itd. — w takiej sytuacji nastąpiłaby interwencja.

Jeżeli Polacy są zdolni tylko do postaw skrajnych — to znaczy albo do biernego znoszenia obroży — albo do spontanicznego, powstańczego zrywu — wówczas należałoby stwierdzić, że koniunktura spowodowana zawieszeniem doktryny Breżniewa Polski nie dotyczy.

Polityka nie zna całkowitych, maksymalnych rozwiązań. Sprawa północnej Irlandii, czy sprawa konfliktu izraelsko-arabskiego, to są problemy, które rozwiązane być mogą tylko poprzez kompromis — to znaczy częściowo.

Dla Polski wtłoczonej pomiędzy potężną Rosję i potężne Niemcy — nie ma całkowitych rozwiązań. Istnieje natomiast gama rozwiązań częściowych, które stopniowo, spokojnie realizowane mogłyby przekształcić społeczne i gospodarcze oblicze Polski. Podkreślam jeszcze raz: naszym głównym problemem nie są w tej chwili ani Rosjanie ani Niemcy — tylko Polacy.

Juliusz MIEROSZEWSKI

PS. W dniu w którym powyższy artykuł był gotowy do wysyłki (24 września br.) wybuchła w Anglii afera szpiegowska, która spowodowała wydalenie 105 dyplomatów sowieckich i członków różnych sowieckich misji. Zdetonował tę bombę wysoki oficer KGB, który wybrał wolność — wnosząc w posagu szczegółowe *dossier* dotyczące roboty szpiegowskiej w Anglii i w innych krajach NATO. Szpieczy sowieccy jak wynika z owych dokumentów — mieli nie tylko zdobywać informacje wojskowe i przemysłowe lecz również dokonywać aktów sabotażu. To jest punkt, który stanowi nowość w sowieckiej strategii. Wykradanie informacji wojskowych i przemysłowych jest „chlebem codziennym” wszystkich wywiadów świata. Natomiast sabotaż to nie jest wywiad tylko wojna. Ograniczona w zasięgu i w metodzie, lecz nie mniej wojna.

Trudno przewidzieć w tej chwili jaka będzie reakcja Sowietów na tę „odkrywkę”. Wnioskując z początkowych reakcji rządu i opinii brytyjskiej — wolno mieć nadzieję, że skandal 105 szpiegów podziela jak kubeł lodowatej wody wylany na głowy przywódców NATO i ich politycznych szefów. Konferencja europejska dotycząca redukcji zbrojeń i bezpieczeństwa — będzie celem znacznie trudniejszym do osiągnięcia niż sobie to w Moskwie wyobrażano.

W państwie totalnym, gdzie wszystko i wszyscy są kontrolowani przez tajną policję — wiecznie żywy jest problem: kto kontroluje kontrolerów?

Kłęska i kompromitacja jaką poniosły Sowiety w rezultacie „skandalu 105-ciu” — została zadana Moskwie przez jednego z kontrolerów, przez wysokiego oficera KGB. Gdzież jest pewność, że za miesiąc czy za rok — podobnie nie postąpi dostojnik KGB w Waszyngtonie, w Paryżu czy w Tokio?

Tam, gdzie parlament i jego specjalne komisje nie kontrolują kontrolerów — tam w gruncie rzeczy nie istnieje kontrola na najwyższym szczeblu, a gdzie nie ma kontroli — nie ma i bezpieczeństwa.

J. M.

Widziane z Brukseli

„Bons baisers de Russie...”

Motto

„... Smersz jest to oficjalna organizacja zabijania powołana przez rząd sowiecki. Operuje ona wewnątrz kraju i za granicą. W 1955 roku zatrudniała łącznie 40.000 kobiet i mężczyzn. Smersz to skrót słów „smiert’ szpionam”. Dowództwo Smersza mieści się w ogromnym i odrażającym nowoczesnym budynku pod numerem 13 przy szerokiej i smutnej Sretenskiej Ulicy w Moskwie. Mijając dwóch uzbrojonych w pistolety maszynowe wartowników przechodnie spuszcza oczy, a jeżeli mogą to uczynić bez ostentacji, wtedy przechodzą na drugą stronę ulicy. Kierownictwo Smersza pracuje na drugim piętrze... Szefem Smersza jest generał armii Zabojsznikow, znany pod kryptonimem „G”... Twarz wąska i kanciasta, oczy brązowe, wypukłe i okrągłe jak kula, otoczone od dołu przez fałdy skóry, od góry — przez gęste czarne brwi, błyszcząca biała skóra wygolonej czaszki, usta szerokie i okrutne. Ogólne wrażenie — człowiek nieustępliwy, niebezpiecznie pewny siebie”.

„Towarzysze — powiedział generał — w ciągu trzech miesięcy musimy przeprowadzić na terytorium wroga błyskotliwą akcję terrorystyczną... Jeżeli nie potrafimy i nie zapewnimy świetnego zwycięstwa naszym służbom wywiadowczym, wtedy możemy spodziewać się poważnych nieprzyjemności...”.

To co wyżej stanowi cytat z książki pt. „Bons Baisers de Russie („From Russia with love”) — James Bond 007” pióra wieszczą Iana Fleminga. To co nastąpi stanowi natomiast krótki bryk do afery znanej ogólnie pod tytułem „105 szpiegów sowieckich opuszcza Anglię”. Całość ma nas przekonać o sensie czytania dzieł klasyków, o tym że życie bogatsze jest od literatury, oraz o tym że rok 1971 nie przyniesie gen. armii Zabojsznikowowi upragnionego sukcesu i że służby wywiadowcze ZSSR mogą istotnie spodziewać się poważnych nieprzyjemności.

Czebotariew, gdzie wy?!

Był pogodny niedzielny wieczór październikowy w Brukseli. Ciepło, że najstarsi Flamandowie nie pamiętają takiej jesieni. Turystów sporo, a na murku Pałacu na Starym Mieście wielu młodych długowłosych spokojnie ciągnących swoje *jointy*. Nuda i cisza panowały w komisariacie policji śródmiejskiej dzielnicy miasta, kiedy wkroczyło nagle kilku szalenie elegancko odzianych dżentelmenów, którzy oświadczyli, że a) są dyplomatami z ambasady ZSSR w Brukseli, b) chcą zawiadomić władze o zaginięciu jednego z ich kolegów i prosić policję o pomoc w poszukiwaniach, oraz c) zawiadomić o kradzieży jednego z samochodów ambasady.

Oszołomiony policjant ledwo mógł notować, tak wielu szczegółami zasypali go wieczorni goście. Zdążył tylko spisać protokół i nadać tzw. centralny biuletyn sygnalizacyjny, jaki policja brukselska sporządza dla siebie i dla Interpolu, kiedy chodzi o „zaginięcia, niezidentyfikowane zwłoki oraz amnezjaków”. W tym wypadku chodzi chyba o kategorię pierwszą, przy czym — ponieważ nie chodzi o kategorię trzecią — należy wyrazić nadzieję, że Czebotariewowi udało się uniknąć kategorii drugiej. Biuletyn sygnalizacyjny głosi mianowicie, że „wyszedł z domu i nie wrócił Czebotariew Anatol, ur. w Moskwie w 1933 r., urzędnik misji handlowej ZSSR w Brukseli. Rysopis zaginionego: 1,65, otyły, blondyn o początkach łysiny, twarz okrągła, porusza się samochodem marki Skaldia, koloru niebieskiego nr 391 B 1. W razie odnalezienia zaginionego nie należy go niepokoić a zawiadomić natychmiast brygadę śledczą policji w Brukseli...”.

Dyplomaci zaakceptowali tekst komunikatu i szybko wyszli, wskutek czego policjant nie zdążył zapytać co takiego zaszło, czyli jakie są powody tak gruntownej zmiany postępowania ambasady ZSSR. W przeszłości bowiem, choć zdarzały się wśród dyplomacji Kraju Rad „tajemnicze zaginięcia, niezidentyfikowane zwłoki i amnezjacy”, to nigdy jeszcze ambasada, z własnej i nieprzymuszonej woli, nie zgłaszała tego policji, nigdy nie podawała żadnych szczegółów i nie wysyłała całego komando gadatliwych dyplomatów. Wprost przeciwnie — twardo odmawiała wszelkich informacji, a wścibskich dziennikarzy z miejscowej sprzedajnej prasy wyrzucała za drzwi.

Z relacji ambasady wynikało więc, że tow. Czebotariew opuścił żonę, dziecko i misję handlową w niedzielę w południe udając się, w ramach prawa do wypoczynku, na krótką przejażdżkę samochodową. Jak dodali wylewni dyplomaci, Anatol zabrał wszystkie dokumenty tożsamości i sporą sumę środków obiegowych w dewizach zagranicznych. Dlaczego tow. Anatol wyjechał na spacer sam a nie z ukochaną rodziną, dlaczego tak obficie zaoptował się w dokumenty i dewizy, skoro miał niedługo wrócić i skąd jego, nieobecni przy wyjeździe, koledzy to wszystko tak detalicznie wiedzieli, nie dowiemy się już chyba, bo niedomyślny policjant nie czytywał Bonda i nie zapytał, a dyplomaci co czy-

tali Bonda sami od siebie tego nie wyjaśnili. Odpowiedzi nie przyniósł także samochód typu Skaldia czyli Moskwićz, który niedługo potem odnaleziono. Stał przez kilka dni na parkingu w pewnej knajpie w porcie Zeebrugge, skąd kilka statków oraz wiele jachtów odpływa codziennie do Anglii. Samochód był zresztą zamknięty, więc naturalnie policja belgijska go nie otworzyła, nie wypada przecież, tylko oddała ambasadzie ZSSR. Znowu ktoś nie czytał Bonda...

Choć samochód był zamknięty, to otworzyło się przed nami życie samego Anatola. Okazało się mianowicie, że Czebotarijew korzystał z ogromnej swobody podróżowania i z koniecznych do tego środków, że jak każdy człowiek sowiecki lubił zjeść i wypić, że lubił wesołe towarzystwo... Mimo tych skłonności miał Czebotarijew w policji belgijskiej kartotekę czystą jak łąza. Policja odnotowała tylko kilka jego podróży w okolice miejscowości Gasteau, gdzie wysoko cenił pewną knajpę, znaną mniej z kuchni a bardziej z tego, że znajduje się w bezpośredniej bliskości naczelnego dowództwa wojsk Paktu Atlantyckiego. Znowu ktoś nie czytał Bonda...

Nie ulega bowiem kwestii, że tow. Czebotarijew jest, albo był, młodszym kolegą Mr. Bonda. Jak wynika z obliczeń skrupulatnych dziennikarzy belgijskich Anatol jest jednym ze 113 dyplomatów i urzędników sowieckich akredytowanych w Brukseli, z których lekko licząc ponad 60% należy albo do KGB, czyli do siatki szpiegowskiej cywilnej, albo do GRU czyli do takiej samej — wojskowej. Dlaczego akurat 60%, a nie np. (według moich obliczeń) 86,75%, tego nie wiem. Belgowie natomiast wiedzą, że kraj ich stał się wyjątkowo popularny w ZSSR począwszy od roku 1967, tzn. od chwili kiedy gen. De Gaulle wyeksmitował NATO. Jeżeli do tej daty nie zanotowano żadnej poważniejszej afery szpiegowskiej w Belgii, to w samym tylko roku atlantyckiej przeprowadzki sześciu panów z sowieckiej dyplomacji, prasy, handlu, turystyki i Aeroflotu (bez żadnej dyskryminacji) musiało nagle opuścić Belgię. Pomiędzy afery z satelitami, gdzie PRL była oficjalnie reprezentowana, i dodajmy, że w 1970 roku opuścił Belgię pewien inżynier, nazwiskiem Sawicz, który rzekomo sprzedawał rosyjskie ciężarówki. W ciągu kilku lat ożywionej działalności sprzedawał on tych ciężarówek zero (słownie ani jednej), natomiast bardzo chciał kupować informacje.

A *propos* samochodów, Belgowie zupełnie nie rozumieją sensu utrzymywania ogromnej firmy sprzedającej Moskwićze i Wołgi, których tutaj nikt, albo prawie nikt — i słusznie — nie kupuje. Dziennikarze odkryli, że sam budynek firmy „Skaldia” kosztował ponad milion dolarów i pytają kto za to płaci? Oni też chyba nie czytali Bonda. Gdyby czytali to skojarzyliby — na pewno niesłusznie — koszt budynku z jego usytuowaniem. Leży on mianowicie między lotniskiem brukselskim a kompleksem gmachów mieszczących biura politycznego kierownictwa NATO. Fachowcy interpelowani przez prasę mają podzielone zdania. Jedni twierdzą, że ze „Skaldii” można odcyfrować nawet treść dokumen-

tów leżących na biurkach urzędników NATO. Inni, że to lipa, i że nawet 8-metrowy maszt anteny radiowej na gmachu „Skaldii” służy jedynie do łapania radia Erywań. W każdym razie znamienne jest, że były belgijski dyrektor „Skaldii” zrezygnował z pracy, kiedy okazało się, że Rosjanie zażądali aby wystawiał wnioski o wizy dla fachowców, którzy nie mieli pojęcia o sprzedaży samochodów. On jeden, zdaje się, czytał Bonda...

W trakcie tych „dziennikarskich zwiadów” wyszły na jaw inne interesujące szczegóły. Okazało się więc, że po pierwsze tow. Czebotarijew nie zniknął sam, ale że wyjechało bez pożegnania jeszcze kilka innych osób, w tym pewien pan z Aeroflotu i inny z TASS'a i to nie w nieznaną, a do Moskwy, czyli — jak mówią moje dzieci — „wszystko normalka, 6 na 9” i po drugie, że Anatol jeździł kilkakrotnie do Anglii i był w przyjaźni z niejakim Lialinem, a Oleg mu było, też urzędnikiem, też sowieckim, też z misji handlowej, który wybrawszy z końcem września wolność w Anglii dał sygnał do wysadzenia w powietrze całej, albo prawie całej, sowieckiej siatki szpiegowskiej w Anglii.

W ten sposób czytelnicy Bonda triumfują. Oni bowiem od początku wiedzieli: a) że afera angielska nie może nie mieć powiązania z Belgią, gdzie mieszczą się tak ulubione przez Kreml instytucje jak np. NATO, Wspólny Rynek wraz z Euroatomem itp.; b) że zaskakująca paplanina z reguły milczących jak grób dyplomatów sowieckich — zgodnie z procedurą wypróbowaną już skutecznie w Anglii przy okazji Lialina — ma uprzedzić kogo trzeba, że Czebotarijew z pewnych przyczyn winien być uznany za „zaginionego, niezidentyfikowanego zwłoki lub amnezjaka”; c) że samochód jest w Zeebrugge, albowiem tow. Czebotarijew udał się do Anglii na spotkanie z kolegą Lialinem. Albo też, że Czebotarijew wcale się tam nie udał, tylko komuś zależy na tym, aby innym się tak zdawało i niedługo wyrzucą go rwące fale Skaldii, albo uprawia już swój ogródek na dalekiej Syberii.

Rozwiązanie tej zagadki przekracza nasze możliwości, więc poczekajmy aż as wywiadu, kpt. Czechowicz, wypełni misję, zostawmy sprawę otwartą do chwili wypłynięcia niezidentyfikowanego amnezjaka Czebotariiewa. Sami zaś udajemy się do Anglii.

Kariera do tyłu

Stosunki Anglii z wywiadem sowieckim są stare i już prawie przyjacielskie. Przecież pierwsza w historii generalna wyspa, odbyła się właśnie w Londynie jeszcze w roku 1927, kiedy to młode państwo sowieckie kładło dopiero podwaliny pod wspaniały gmach KGB, NKWD, GRU i innych jeszcze inicjałów. 5 maja 1927 policja brytyjska musiała użyć pneumatycznych świdrów aby otworzyć kasę pancerną sowieckiego towarzystwa handlowego w Londynie, „Arcos”. Poszukiwanego tajnego *dossier*, które znikło z brytyjskiego ministerstwa wojny, co prawda nie znaleziono, ale cały szereg innych dokumentów wyraźnie wskazywał

na niehandlową treść operacji „Arcosu”. W związku z tym odkryciem cały w komplecie personel ambasady ZSSR został załadowany na *ferry-boat* i via Francja, wysiedlony z Wyspy.

W 1971 roku sytuacja jest zgoła inna. Dyplomaci ZSSR udali się do domu nie via Francja a bezpośrednio, na pokładzie luksusowego statku „Baltica” i wyjechał nie cały personel, a tylko 20 %, co i tak daje ładną grupkę 105 osób plus rodziny, zwierzęta domowe i samochody, w czym ani jeden marki „Skaldia”.

Jednym z 80 % pozostałych jest właśnie Oleg Lialin. Skromny ten urzędnik misji handlowej zrobił w ciągu kilku dni zawrotną karierę. Niestety do tyłu. „Piękno Olo” spił się mianowicie — co mu się zresztą często zdarzało — ale tym razem — czysty przypadek — policja londyńska capnęła go kiedy bladym sierpniowym świtem zygakiem przemierzał ulice *City*. Kiedy w kilka dni później ten „Casanova dla ubogich” i *play-boy* kulturalowy — jak go przedstawiała *a posteriori* ambasada ZSSR — wybrał wolność, i kiedy jeszcze kilka dni później rząd brytyjski wyrzucił 105 dyplomatów i urzędników sowieckich — obie te sprawy powiązano, a Oleg stał się gwiazdą. Tylko, że szybko spadał.

Pierwszego dnia był generałem z jedną gwiazdką i nr 2 całego KGB. Drugiego dnia kontrolował już tylko KGB w Europie. Trzeciego dnia nie był generałem, a jedynie kontrolował KGB w Anglii. Potem już poszło szybko. Oleg został zaledwie kapitanem (jak warszawski kapuś-parchatek), niewiele wie, nic nie kontroluje, a dowództwo operacji oddano, o wstydzie, kobiecie. Niejaka Irina Tiepliakowa, piękna blondyna, 31 lat, wymiary nie znane, sekretarka Lialina, wybrała także wolność. I wtedy okazało się, że Irina słuchała Olega tylko w biurze i w łóżku, natomiast w konkretnej robocie Oleg słuchał Iriny. Dodajmy jeszcze, że w wolnych od szpiegowania chwilach Lialin kupował bieliznę damską dla ślicznotek z Kremla, a Irina prawdopodobnie przemierzała ją przed podpisaniem transakcji. Oboje żyją obecnie pełnią szczęścia w pewnej ukrytej willi pod Londynem. Rząd JKMości, jak zwykle pełen taktu, aby nie mącić nirwany wciągnął na listę „105” również i męża Iriny. Z żoną Oluchny nie było kłopotów, bo i tak przebywała ona w Moskwie, jako że służbowe obowiązki męża nie pozwalały mu na zajmowanie się domem i dziećmi.

I na tym właściwie kończy się romansowa część naszej historii. W istocie ucieczka Olega i Iriny przyspieszyła może i ubarwiła operację „105”, ale nie miała żadnego merytorycznego znaczenia. Sprawa bowiem — jak ją nazwał pewien francuski fachowiec — „szpiegowania ponad wszelkie rozsądne granice” dojrzała od dawna.

„Nie ufajmy Rosjanom”

W 1944 roku pewien skromny poseł, w obliczu narastającego ślepego uczucia wobec ówczesnych sojuszników wołał w Izbie

Gmin: „Dżentelmeni, nie ufajmy Rosjanom!”. 26 lat później ten sam poseł jako sir Alec Douglas Home, minister Spraw Zagranicznych Anglii, wysłał dwa listy do Gromyki, tłumacząc mu po dobru i po złości, że nie należy przekraczać miary i że czas ograniczyć rozmiary szpiegowstwa. Odpowiedzią było wzgardliwe milczenie Moskwy, czego Anglicy bardzo nie lubią. Kiedy zamiast odpowiedzi Rosjanie wysłali do Londynu jeszcze kilku uczniów Berii, Anglicy postanowili zadziałać. Korzystając z podniecenia sprawą Lialina, który spadł jak z nieba — chyba że ktoś mu w tym pomógł — rząd postanowił sprzedać całą aferę swojej z reguły sceptycznej opinii publicznej. Moskwa zaś usłyszała: 105 wont do domu, na przyszłość proszę uważać, chcemy współistnienia ale nie z KGB. Zaczynamy od zera, ale są przynajmniej szanse na zdrowy układ stosunków.

Świat wstrzymał oddech w oczekiwaniu na reakcję Kremla. Nastroje nie były wesołe. Niektóre inscenizacje nie wrożyły zabawy. Breżniew np. od razu na lotnisku, prosto z samolotu, którym wrócił z niewesołej podróży do Jugosławii, spotkał się z Kosyginem i Podgornym, aby naradzić się nad sprawą „105”, tak jakby nie mogli poczekać do kontemplacji wieczornych na Kremlu. Gromyko spotkał się z sir Aleciem w Nowym Jorku, ale bez skutku i to tak dalece, że odwołany został tradycyjny obiad, wydawany dla wielkiej czwórki przez U Tanta, i ministrowie musieli pójść spać na głodno.

Wreszcie, kiedy cała setka wygnańców stanęła już na lądzie ojczystym, zagrzemiał Kreml.

„Jestem przy deserze...”

Był znowu wieczór, nie brukselski a moskiewski. Ambasador brytyjski sir Killick spożywał właśnie swój powszedni *diner*, kiedy sekretarz oznajmił: „Pilny telefon do pana, sir”. Ambasador otarł usta i zapytał: „A o co chodzi?”.

„Jest Pan proszony natychmiast do MSZ”.

„Proszę odpowiedzieć, że jestem przy stole, czekam na deser i będę dopiero za pół godziny”.

I tak się stało. O godz. 20,30 wiceminister Kozyriew, zły bo głodny, przyjął sir Killaicka i oświadczył, że 18 Anglików zostaje wydalonych z ZSSR, że nie jest możliwa wizyta w ZSSR zarówno min. Douglasa Home jak i Amery'ego (od ochrony przyrody) i że zawiesza się działalność komisji mieszanych brytyjsko-sowieckich. Kozyriew dodał, że wszystkiemu winien jest Albion, który wyrządził szkodę sprawie pokoju na świecie i że od niego zależy, aby wszystko wróciło do normy.

No i na tym koniec. Okazało się, że w słowach Kozyriewa więcej było żalu niż gniewu, zaś w decyzjach sowieckich więcej fikcji niż represji. Z 18-tu wydalonych, tylko czterech to dyplomaci, 10-ciu w ogóle nie przebywało w ZSSR, niektórzy z nich nie mieli zamiaru starać się o wizę powrotną. Data przyjazdu

Douglas Home'a nie była jeszcze ustalona, a przyjazd Amery'ego w ogóle nie był przewidziany. Wreszcie, zdaniem fachowców, z komisjami czy bez, handel i tak jest w stagnacji i nie ma mowy o dalszym spadku, bo to nie leży w interesie ZSSR.

Czytelnicy Bonda nie dziwili się tej umiarkowanej reakcji Moskwy, współczuli nawet Gromyce i jego przełożonym. Rząd sowiecki był bowiem znowu w sytuacji naprawdę niewesołej. Z jednej strony takie mocarstwo jak ZSSR nie może sobie pozwolić na bezkarne wydalanie setki swoich przedstawicieli mimo, — a może właśnie dlatego — że Kreml wiedział, iż chodzi naprawdę o szpiegów. Z drugiej strony rząd sowiecki nie mógł poważnie ukarać bezczelnych Anglików, np. najechać ich lub zerwać stosunki, bo Anglia nie Czechosłowacja ani nie Izrael, i takie postępowanie mogłoby poważnie zaszkodzić polityce usypiania Zachodu i zwołaniu konferencji europejskiej, na której Rosjanie chcą załatwić częściową choćby eksmisję USA z Europy. W 1960 roku — po wyspie z U-2 i strąceniu Powersa — Chruszczow mógł spokojnie storpedować paryską konferencję wielkiej czwórki, jako że było mu to na rękę, bo niewiele miał do ofiarowania, a był pod ostrym naciskiem Chin i „twardych” u siebie w domu. W 1971 roku sytuacja przedstawia się odwrotnie. To ZSSR chce konferencji, boi się Chińczyków, czeka na Nixona.

Dlatego całość zakończyła się wesołym prawie oberkiem, odwrotnie do pesymistycznych przewidywań kolonii zachodniej w Moskwie, która przez 15 dni grała w totka liczbami wydalonych Anglików, idącymi w dziesiątki osób.

Armia cichego frontu

Obustronne wyciszenie afery angielskiej, nie oznacza, że szpie-dzy zmieniają zawód i przechodzą naprawdę do handlu bielizną. *New York Times* zbadał sytuację w 20 stolicach Zachodu. Oblicza on, że na świecie działa armia 25.000 szpiegów i agentów sowieckich i krajów satelickich, jako że ta właśnie dziedzina jest znakomicie zintegrowana i skutecznie koordynowana z Moskwy. *Times* podaje także długą listę nazwisk dyplomatów wydalonych z USA. Z rozędu albo z rozważgi *N. Y. Times* dołączył do listy pewnego pana, nazwiskiem Pawliczenko, który nie tylko nie jest wydalony, ale jest nawet wicedyrektorem jednego z departamentów ONZ. W tym charakterze p. Pawliczenko dużo jeździ po świecie, obsługuje rozmaite konferencje, specjalną uwagę poświęcając spotkaniom Pugwash, jednak wyniki jego obserwacji rzadziej trafiają do ONZ, a częściej do KGB. P. Pawliczenko (35.000 dolarów rocznie z naszej wspólnej kasy) ogłosił, przy zażenowanym milczeniu ONZ, ostre *dementi*. I na tym koniec, albowiem *N. Y. Times* nie może udowodnić, że p. P. pracuje dla KGB, a p. P. nie może udowodnić, że nie pracuje.

Na szczęście nie wszystkie informacje *N. Y. Times*'a są rów-

nie dwuznaczne. Nie podlega na przykład kwestii lista dyplomatów wydalonych obecnie z Anglii, którzy przedtem, w czasie pracy na terenie USA, znani już byli jako zwyczajni albo nadzwyczajni szpiegowie sowieccy. Liczbę szpiegów we Francji *New York Times* oblicza na ok. sześciuset z 1.000 dyplomatów i urzędników ZSSR w Paryżu. Były szef kontrwywiadu francuskiego dodał, że połowa z tych sześciuset to oficerowie operacyjni a połowa — logistyczni i uzupełnił obraz smutną kalkulacją, że każdy z operacyjnych ma do dyspozycji 10 agentów, czyli razem 3.000 sztuk. Otóż jednego działającego agenta musi obsługiwać czy inwigilować 3-ch pracowników kontrwywiadu, a w chwilach operacji lub *flagrant délit* nawet do setki. Niestety biedne państwa Zachodu nie mogą sobie na takie luksusy pozwolić. Jest to możliwe tylko w USA, no i na Wschodzie, gdzie wywiad spełnia sporo politycznych funkcji wewnętrznych.

Oczywiście, w przypadku ZSSR cyfry przekroczyły wszelkie rozumne granice. Można by spytać więc na co Rosjanom tak szalenie rozbudowany aparat wywiadowczy, tak szalone ilości kapitanów Czechowiczów, Lialinów, Czebotariewów i Irenek? Po co zbierają zupełnie śmieszne czasem informacje, od szybkości statku aż po wiek jego kapitana? Po co kompromitują się, zdobywając w pocie szpiegowskiego czoła informacje osiągalne nie raz poprzez prasę czy radio? Po co tak ciężka biurokracja w KGB, GPU, itp. tak bardzo sprzeczna z bardzo niebiurokratycznym charakterem aparatu szpiegowskiego?

Nie wchodząc w zawile tłumaczenia można, jak się wydaje, przypisać ten stan maniakalnemu wręcz strachowi przed zaskoczeniem. Strach przed nagłą napaścią wrogów rewolucji cechował od początku państwo sowieckie, a profilaktyka w tej dziedzinie kosztowała już bardzo wiele istnień ludzkich. To co było strachem urosło do manii prześladowczej po tym, jak przez zaskoczenie ZSSR mało się nie rozleciał w 1941 roku. To przez brak zaufania do informacji szpiegów: Sorge'go, Czerwonej Orkiestry i innych, Stalin dał się zaskoczyć swemu sojusznikowi Hitlerowi. Od tego czasu nikt już w ZSSR nie wątpi w wagę, znaczenie, wartość i priorytet informacji szpiegowskiej. Stąd właśnie kolosalne rozdęcie aparatu, stąd ogromna nadbudowa biurokratyczna i stąd periodyczne samounicestwienie się, polegające — zgodnie z prawem Parkinsona — na pracy w obiegu zamkniętym, na szpiegowaniu się wzajemnym w łonie aparatu. I stąd periodyczne załamywanie się szpiegów, ich ucieczki na konsumpcyjny Zachód, bowiem w warunkach masówki rekrutacja kadr też musi być zawodna i ułatwiać werbunek ludzi, którym koszula *non-iron* przesłania wielkość idei.

Zasada pokrywania działalności szpiegowskiej immunitetem dyplomatycznym musiała w tych warunkach przekroczyć wszelkie proporcje. Jak oświadczył szef kontrwywiadu francuskiego w TV, w styczniu br. — każda ambasada wschodnia zatrudnia coraz więcej dyplomatów ze szkół dywersji, a coraz mniej dyplomatów z prawdziwego zdarzenia. Kiedy wyszła na Zachodzie

książka zawierająca notatki Penkowskiego, większość czytelników wrzuciła ramionami. Penkowski, pułkownik KGB, był chyba najwyższą postawioną osobistością zwerbowaną przez zachodni wywiad. Przekazał do Anglii ok. 10.000 dokumentów, niektóre wprost kapitalnej wartości. A robił to dla idei, co naturalnie zwiększa wiarygodność jego „notesu”. Otóż Penkowski sporządził listę instytucji zatrudniających wyłącznie albo częściowo agentów wywiadu. Na liście tej znalazło się wszystko, co ma luźny choćby związek z zagranicą, od MSZ począwszy a na „towarzystwach przyjaźni sowiecko-zagranicznych skończywszy. (Pewien znajomy — o kilkuletnim stażu w łagrze — werbowany do takiego towarzystwa w Warszawie oświadczył, iż zapisałby się, ale do towarzystwa nie przyjaźni, a najwyższej dobrej znajomości ze Związkiem Sowieckim...). Penkowski dodał, że według jego obliczeń ok. dwie trzecie personelu placówek zagranicznych: MSZ, prasy, handlu, turystyki, komunikacji itp. pracuje wprost i bezpośrednio dla wywiadu. W czym zresztą czytelnicy Bonda, zwłaszcza z krajów wschodnich, nie mogą się dopatrzeć żadnej rewelacji.

Dlaczego teraz...?

Pozostaje na koniec zastanowić się dlaczego Anglicy postanowili akurat teraz i z takim hałasem przeprowadzić tę operację? Jest kilka możliwych wersji. Przede wszystkim, Anglicy mogli uznać, że — *toute proportion gardée* — tak jak w 1962 roku Kennedy uznał, że Chruszczow instalując rakiety na Kubie przekroczył wszelkie granice i że trzeba powiedzieć „*chwatit!*”, tak i Heath mógł uznać, że pajęczyna wywiadu sowieckiego przekroczyła granice sensu i stanowi naprawdę zagrożenie dla stabilności Anglii. Po drugie — konserwatyści chcieli być w ten sposób załatwić stare porachunki z wywiadem sowieckim. To przecież Mac-Millan i Eden dali się napuścić i wbrew licznym Kassandrom wybrnili Philby'ego z podejrzeń o szpiegostwo. A tymczasem tercet Burgess, McLean i Philby ma być odpowiedzialny za cały szereg porażek Zachodu oraz wyborczych i prestiżowych porażek konserwatystów. To ta trójka miała poinformować Kreml o rozkazie dla Mac Arthura nie przekraczania rzeki Yalu, czyli granicy chińsko-koreańskiej i to oni mieli spowodować fiasko desantu w Albanii w 1951 roku. Łatwo sobie wyobrazić sytuację na Bałkanach, gdyby obalono Hodżę po zerwaniu Tity ze Stalinem. I wreszcie Anglicy, odsunięci przez Rosjan i zapomnieni przez Pompidou i Brandta w ofensywie odprężeniowej i we flircie z Moskwą, chcieli się przypomnieć i wykazać, że są na pierwszej linii cichego frontu i że bez nich niewiele da się w Europie załatwić.

Tak więc od małych agentów przeszliśmy do wielkiej polityki. Wielkiej, albowiem po raz pierwszy w historii nieustannych walk, jakie w podziemiach i kulisach toczą ze sobą wszystkie wywiady świata, wielkie państwo uderzyło nie w osobę szpiega, a nawet

nie w siatkę szpiegowską, a w sam system, to znaczy w zasadę przesadnego ukrywania szpiegostwa za aksamitną kurtyną działalności dyplomatycznej.

Według fachowców, na odtworzenie substancji utraconej w operacji oczyszczającej w Anglii, Moskwa potrzebuje ok. 3 lat. Anglicy mają nadzieję, że sierotki po Berii (niesłusznie zastąpionego w encyklopedii przez „Behringa cieśninę”) zrozumieją aluzję.

A wtedy reszta będzie milczeniem.

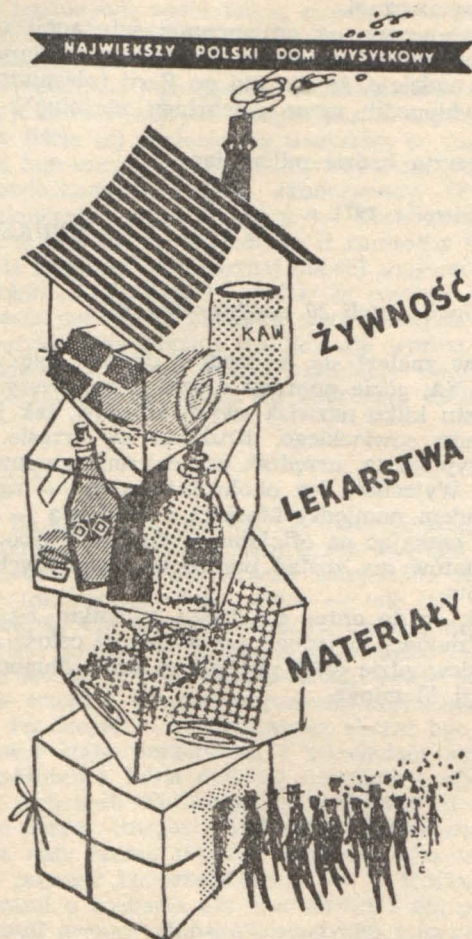
Pisane 13 października 1971 r.

BRUKSELczyk

Z ostatniej chwili, czyli 20 października 1971

Czebotariew znalazł się, wyszedł z domu i nie wrócił, gdyż udał się do USA, gdzie poprosił o azyl, załączony do podania listę trzydziestu kilku nazwisk swych kolegów, tak jak i on oficerów wywiadu sowieckiego. Bruksela się trzęsie. Co chwila znika jakiś dyplomata, urzędnik czy dziennikarz sowiecki (wraz z małżonką). Wyjechało już około 20-tu woluc — zgodnie z niepisany układem pomiędzy Moskwą a Brukselą — zniknąć bez skandalu nie czekając na oficjalne wydalenie. Tylko 6-ciu fałszywych dyptomatów ma zostać publicznie wydalonych dla zachowania pozorów.

Aczkolwiek co do anten na dachu budynku „Skaldii” zdania są ciągle podzielone, to jednak już widać, że całość powiadania pt. „Czebotariew gdzie wy?” pobiłaby o wiele długości wszystkie twory fantazji Fleminga.



TAZAB
22 ROLAND GARDENS LONDON SW 7

Oddział w Stanach Zjednoczonych:
TAZAB OF LONDON
16 STUYVESANT ST., NEW YORK, N.Y. 10003
Telefon: ALgonquin 4-4116

Sąsiedzi

Spis ludności w Z.S.S.R. w 1970 r.

Ukazały się już dwa sprawozdania Głównego Urzędu Statystycznego przy Radzie Ministrów ZSSR z wynikami spisu ludności z 15 stycznia 1970, ponadto opublikowano odnośne sprawozdania centralnych zarządów statystycznych przy radach ministrów 15 republik związkowych. Wprawdzie brak jest jeszcze szeregu danych, np. dotyczących składu narodowościowego ludności miejskiej, bądź szczegółowych informacji na temat struktury zawodowej ludności całego Związku oraz poszczególnych republik, jednak przedłożony dotychczas materiał jest bardzo obszerny i umożliwia wyciągnięcie wielu wniosków przez porównanie najnowszych danych z wynikami spisu z roku 1959. Dostrzegalne są wyraźne tendencje rozwojowe.

Trzeba przyznać, że uczyniono ze strony oficjalnej wszystko, aby spis przebiegał w sposób najbardziej dokładny i prawidłowy. Zorganizowano specjalne kursy dla osób przeprowadzających ankietę, pouczano obywateli o tym, jak ważne jest udzielanie prawdziwych odpowiedzi, starano się eliminować wszelkie wpływy, które mogłyby zniekształcić wyniki spisu. Oczywiście podobne cele nie są w pełni osiągalne, szczególnie w takim ustroju jak sowiecki, gdzie ludność przyuczana jest do bezkrytycznego podporządkowania się życzeniom władzy. W odróżnieniu jednak od poprzednich spisów, kiedy to założeniem z góry było wykazanie „osiągnięć” we wszystkich dziedzinach, szczególnie w gospodarczej i kulturalnej, tym razem dominowało dążenie do uzyskania możliwie dokładnych informacji, które pozwoliłyby na szczegółowe wypracowanie następnej pięcioletki oraz bieżących planów gospodarczych.

Poniższa analiza ogranicza się do przedstawienia niektórych punktów ciężkości, jej głównym celem jest pokazanie pewnych tendencji rozwojowych i związanych z nimi problemów.

Dynamika rozwoju ludności

Zacznijmy od dynamiki rozwoju ludności, ponieważ zarysowuje się tu jeden z problemów decydujących o przyszłości państwa sowieckiego. Istnieje mianowicie, i stale powiększa się, dysproporcja między przyrostem naturalnym żyjących w Sowietach narodów słowiańskich oraz narodów środkowo-azjatyckich.

Jak wynika z porównania odnośnych danych, tempo przyrostu ludności trzech narodów słowiańskich: Rosjan, Ukraińców i Białorusinów — liczących razem prawie 179 milionów i stanowiących większość ludności ZSSR — ulega raptownemu obniżeniu, podczas gdy narody środkowo-azjatyckie: Uzbeki, Tadżycy, Kazachowie, Turkmeni i Kirgizi rozmnażają się nieporównanie szybciej. Liczba Tadżyków, Uzbeków i Turkmenów powiększyła się w ciągu 11 lat o ponad 50%. Trzy wymienione wyżej narody słowiańskie stanowią trzy czwarte całej ludności, jednak w przyroście od roku 1959 partycypują tylko w 57,4% (19,54 mln.). Pięć narodów środkowej Azji liczy wspólnie 19,6 mln., co stanowi tylko 8% ogółu ludności, natomiast ich przyrost wynosi 6,6 mln. stanowi prawie 20% ogólnego przyrostu ludności w Sowietach. Wszystko wskazuje na to, że owa, tak skrajnie różniąca się, dynamika rozwoju ludności będzie w przyszłości dalej się powiększać. Eksperci zajęli się tą sprawą już w pierwszych komentarzach, otwarcie wyrażając zaniepokojenie jej rozwojem. Niektórzy komentatorzy widzą w tym „sukces polityki narodowościowej oraz wszechstronnego rozwoju gospodarki, kultury i dobrobytu ludności” (np.: artykuł z-cy kierownika zarządu dla spisu ludności, G. Maksimowa, zamieszczony w czasopiśmie *Agitator* nr 10, 1971).

W *Izwiestiach* natomiast można było przeczytać wypowiedź prof. A. Bojarskiego, dyr. Instytutu Badawczego centralnego zarządu statystycznego, który stwierdził, że czynnikiem hamującym rozwój ludności jest urbanizacja. Jest to stwierdzenie zupełnie słuszne, ale ten problem nie został właściwie postawiony. Chodzi mianowicie o to, że w środkowej Azji na wsi sztucznie utrzymuje się przestarzałe struktury społeczne, tam też żyje przeważająca większość ludności autochtonnej. Natomiast w miastach przewagę mają Rosjanie. Obok tych agrarnych struktur poważną rolę odgrywają zakorzenione tradycje islamu. W rezultacie powstała sytuacja z pewnością nie zamierzona przez reżym, ale będąca rezultatem jego polityki kolonialnej.

Urbanizacja odgrywa bez wątpienia dużą rolę w tych republikach i pośród tych narodowości, których przyrost naturalny wynosi mniej niż przeciętna dla całego Związku sowieckiego. Podobnie jak w innych krajach uprzemysłowionych, także pośród młodzieży sowieckiej rozpowszechniony jest pogląd, że rodzice nie powinni mieć więcej jak dwoje dzieci, jeśli chcą im zapewnić należyte wychowanie i najlepsze wykształcenie.

Demografowie obliczyli, że kryzys ludnościowy w republikach o niskim przyroście naturalnym może być przewyciężony tylko

wówczas, jeśli przeciętna liczba dzieci przypadająca na rodzinę w europejskiej części wynosić będzie 3-3,5. To pozwoliłoby na przewyciężenie „zagrożenia” ze strony narodów środkowej Azji. Rozważa się przyznawanie dla rodzin mających dużo dzieci pomocy w dziedzinie finansowej, mieszkaniowej itd. Te środki mają zapewnić dużym rodzinom taki sam standard życiowy, co rodzinom z 1 dzieckiem. Skuteczność akcji pomocy jest raczej wątpliwa, mentalności nie da się zmienić tak łatwo, jak to sobie wyobraża biurokracja partyjna.

Struktura wieku

Liczba osób w wieku produkcyjnym wynosi obecnie w Sowietach 130,5 mln. w porównaniu do 119,8 mln. z roku 1959. Oznacza to przyrost o 9%. Procentowy udział ludzi w wieku produkcyjnym w porównaniu do całej ludności spadł z 57,4% do 54%.

Ze zmian w strukturze wieku, które zaszły między obu ostatnimi spisami dwie są ważne i charakterystyczne. W słowiańskich republikach obniżył się znacznie odsetek dzieci w wieku poniżej 4 lat. W republikach środkowo-azjatyckich odsetek tej grupy wieku uległ tylko nieznacznie obniżeniu, przy czym uwzględnić tu trzeba, że w tych republikach żyje sporo Rosjan i Ukraińców.

Druga charakterystyczna zmiana dotyczy ważnej z punktu widzenia gospodarki narodowej grupy wieku 20-24 lat oraz 25-29 lat. Pierwsza zmalała z 20,3 mln. do 17,1 mln., druga z 18,1 mln. do 13,7 mln. Te cyfry są odbiciem negatywnego wpływu lat wojennych i wczesnych powojennych. Stan liczebny grupy 25-29-letków wynosi niespełna dwie trzecie następnej grupy wieku: 30-34-letków (21,1 mln.).

W grupie dzieci do 4 lat wyższy stan od przeciętnej ogólnosowieckiej mają Uzbekistan, Kazachstan, Gruzja, Azerbejdżan, Kirgizja, Tadżykistan, Armenia i Turkmenistan. Republika Rosyjska i Ukraina są natomiast odległe od stanu przeciętnego, nie tak daleko, ale również poniżej przeciętnej znajduje się Białoruś, Łotwa i Estonia są w sytuacji najgorszej.

W grupie 20-24 lat tylko trzy republiki: Estonia, RFSSR i Kazachstan wykazują stan wyższy od przeciętnego. Wreszcie w grupie 25-29-letków odsetek wyższy od przeciętnego wykazują Ukraina, Kazachstan, Uzbekistan, Litwa, Mołdawia, Łotwa i Estonia.

W ocenie powyższych cyfr należy być nader ostrożnym. Poświęcono tu uwagę grupom wieku 20-24 lat oraz 25-29 lat ponieważ rola tych roczników na rynku pracy w okresie najbliższej pięcioletki będzie szczególnie ważna. Trudności wynikających z niskiej liczebności tych roczników nie będzie można usunąć przez mechaniczne sterowanie procesami migracyjnymi. Niekorzystna struktura wieku staje się politycznym problemem o pierwszorzędym znaczeniu. Dla odwrócenia niebezpieczeństw grożących gospodarce konieczne są reformy, konieczna jest racjonalizacja i modernizacja procesów gospodarczych, zwiększenie wy-

dajności pracy. Ponieważ dotychczas nie brakowało rąk do pracy można było sobie pozwolić na stosowanie ekstensywnych form gospodarki. Obecnie staje koniecznością zwrot do metod intensywnych, znacznie bardziej produkcyjnych.

Powstałe problemy dadzą się zobrazować na przykładzie ukraińskim. Ekspert od spraw rezerwy siły roboczej, W. I. Shokun, wypowiedział się na ten temat w nrze 6 pisma *Radianska szkoła* (1971) i stwierdził, że w najbliższych 8-10 latach liczba osób w wieku produkcyjnym będzie stale się zmniejszać. W latach 1981-85 wkraczają do procesu produkcyjnego roczniki 1964-1968, liczebnie bardzo słabe. Rezerwy siły roboczej (osoby pracujące w gospodarstwie domowym i innych ubocznych działach prywatnej gospodarki) będą wówczas już wyczerpane.

W centrach przemysłowych już dziś odczuwa się brak rąk do pracy. Nie licząc uczniów i studentów, 90 % osób w wieku produkcyjnym pracuje już w uspołecznionych działach gospodarki, istniejące jeszcze rezerwy stopniały w ostatnich 10 latach do 1/6. Szybko obniża się także napływ ludności wiejskiej, werbowanej przez ORG-NABOR. W latach 1960-70 udział tej grupy ludności w ogólnej liczbie nowozatrudnionych spadł z 44,5 do 35 %.

Stan wykształcenia

Wyniki spisu wykazują dalszy wzrost poziomu wykształcenia ludności we wszystkich republikach sowieckich, jakkolwiek można tu zaobserwować pewne różnice. Analfabetyzm oficjalnie nie istnieje, w roku 1970 blisko połowa obywateli sowieckich (483 na 1.000 osób w wieku powyżej 10 lat) pobierała bądź miała ukończone wykształcenie w zakresie szkoły średniej lub wyższej. W roku 1959 odnośna cyfra wynosiła 361 na tysiąc.

Pomiędzy poszczególnymi republikami widoczne są znaczne różnice (382 dla Litwy i 554 dla Gruzji). Czołowe miejsce Gruzji stało się już tradycją, wysoki odsetek ludzi ze średnim i wyższym wykształceniem wykazuje Estonia i Łotwa, Ukraińcy są w nieco lepszej sytuacji niż Rosjanie. W republikach środkowo-azjatyckich niewątpliwie są znaczne osiągnięcia w dziedzinie wykształcenia, ale dystans dzielący je od jego regionów uprzemysłowionych jest ciągle jeszcze znaczny. Nie opublikowano jeszcze danych na temat stanu wykształcenia w poszczególnych grupach narodowościowych, należy jednak oczekiwać że dystans dzielący narody środkowej Azji od narodowości bardziej w dziedzinie wykształcenia zaawansowanych okaże się jeszcze większy niż to wynika z cyfr spisu, zważywszy że poziom wykształcenia żyjących tam Rosjan jest znacznie wyższy niż u autochtonów.

Rozmiary rusyfikacji

W pierwszym komentarzu, poświęconym spisowi, sławiono „postępowy rozwój”, wyrażający się w tym, że stale rośnie liczba

nie-Rosjan podających język rosyjski jako język ojczysty, oraz w tym, że poszczególne grupy narodowościowe wykazują straty, z których profitują Rosjanie. Chodzi tu o tzw. „asymilację”. Słowem tym posługuje się biurokracja partyjna jako parawanem, mającym zasłonić prawdziwą sytuację, jaka istnieje w stosunkach między Rosjanami a innymi grupami narodowościowymi w Sowietach. Wyniki ostatniego spisu są w tej dziedzinie nader wymowne.

Decydującym momentem przeprowadzanej tu analizy jest rozwój liczebny grupy nie-Rosjan, którzy zrezygnowali z własnej mowy ojczystej na korzyść rosyjskiej (w roku 1959 — 10 mln.; w roku 1970 — 12,8 mln.).

Ludzie ci deklarują przynależność do swej odziedziczonej narodowości i w mechanizmie rusyfikacji przypada im jednak ważna rola. W ich rezygnacji z własnej mowy ojczystej odgrywają rolę różne momenty, jak np. brak przedszkoli prowadzonych w języku narodowym, trudności na drodze do kariery i wreszcie potężny nacisk, wynikający z tego, że w miastach, w urzędach, w najprzeróżniejszych instytucjach dominują Rosjanie, nie władający mową autochtonów. Przeważająca większość tych, którzy porzucili własny język porzuca później również własną narodowość.

Ukraina jest jedyną republiką, w której w okresie między obu spisami (1959-1970) wyraźnie pogorszyła się sytuacja języka dominującej narodowości. 3 miliony Ukraińców (w roku 1959 były to 2 miliony) podało język rosyjski jako ojczysty — niewątpliwie sukces polityki rusyfikacji. Nawiasem mówiąc im silniejszy jest nacisk rusyfikacyjny — tym większy opór stawia inteligencja danego narodu. Nieznaczne przesunięcia na niekorzyść języka dominującej narodowości zanotować można w Gruzji, Mołdawii, Łotwie, Turkmenii i Estonii. Zmiany te są jednak tak małe, że trudno mówić tu o sukcesie polityki rusyfikacyjnej.

Nieco inaczej wygląda sytuacja w innych republikach, gdzie mamy do czynienia bądź ze stabilizacją istniejącej sytuacji, bądź z wyraźnymi przesunięciami na korzyść języków dominujących w danych republikach związkowych.

Niepowodzenia polityki rusyfikacyjnej wyrażają się także w tym, że w wielu republikach odsetek osób z dominującej narodowości, które podały język rosyjski jako ojczysty wynosi znacznie mniej niż 1 %. Odnośne cyfry: Gruzja — 0,5 % Litwa — 0,8 %, Kirgizja — 0,3 %, Tadżykistan — 0,7 %, Armenia — 0,2 %, Turkmenia — 0,5 % i Estonia — 0,7 %.

Pomijając Ukrainę stwierdzić należy korzystną sytuację nierosyjskich języków ojczystych. W roku 1959 główne narodowości w poszczególnych republikach związkowych liczyły 62,1 mln., w tym 2,6 mln. podało jako język ojczysty — rosyjski. W roku 1970 liczebność głównych narodowości wzrosła do 74 mln., w tym 3,6 mln. osób deklarujących język rosyjski jako ojczysty. Jeśli z zestawienia tego wyłączyć Ukrainę — dochodzimy do stwierdzenia, że liczba tych, którzy w pozostałych 13 republikach podali język

rosyjski jako ojczysty pozostała niezmienną, mimo że ogólny stan liczebny głównych narodowości w 13 republikach uległ znacznemu zwiększeniu. Dążenia rusyfikacyjne nie przyniosły więc rządzącej biurokracji partyjnej spodziewanych efektów.

Liczba mniejszości narodowych w Federacji Rosyjskiej wynosiła w 1970 roku — 26,1 mln. Ponad 1/5 — 5,4 mln. — podała język rosyjski jako ojczysty. Odsetek osób tej kategorii jest na Ukrainie i w Kazachstanie jeszcze wyższy.

Sytuacja niektórych mniejszości narodowych w Federacji Rosyjskiej jest jednak gorsza, niż wynika z podanych cyfr. Trzeba bowiem zważyć, że na terenie tej republiki szereg mniejszości tworzy zwarte grupy o wysokiej kulturze narodowej. Ich przedstawiciele w ogromnej większości podają własny język narodowy jako ojczysty (Dagiestańcy — 98,9 %, Maryjczycy — 91,9 %, Czeceńcy — 99,3 %, Kazachowie — 93,3 %, Tatarzy — 90,5 %).

Łatwiejszym obiektem rusyfikacji są mniejszości narodowe żyjące w innych republikach związkowych, Ukrainie, Białoruskiej i innych. Dotyczy to także niewielkich grup mniejszościowych, które wystawione są na szczególnie nacisk aparatu kulturalnego, administracyjnego i gospodarczego, w którym dominują Rosjanie. Od czasu przeprowadzonej przez Chruszczowa w roku 1959 reformy szkolnictwa, podlegają te narodowości silnemu procesowi rusyfikacji, działającemu poprzez szkołę. „Na żądanie rodziców” dzieci pobierają naukę w języku rosyjskim.

W republikach rosyjskiej, ukraińskiej i białoruskiej żyje głównie część Żydów, tam też nastąpiło znaczne zmniejszenie się liczby osób narodowości żydowskiej, jak również tych Żydów, którzy deklarują własny język narodowy jako ojczysty. W innych republikach spis wykazał pewną stabilizację, niekiedy nawet wzrost liczby Żydów. W dziedzinie językowej postępuje jednak proces rezygnacji z deklarowania własnego języka narodowego jako ojczystego. Jedyny wyjątek stanowi tu Gruzja.

Wynaradowanie się Żydów jest rezultatem braku własnych instytucji kulturalnych (np. szkół), zmasowanego nacisku biurokracji partyjnej, który zmierza do asymilacji oraz większego nasilenia zarządzeń dyskryminacyjnych. Wynaradowaniem zagrożona jest szczególnie inteligencja żydowska.

Większość Polaków na terenie ZSSR żyje w republikach białoruskiej, ukraińskiej, litewskiej i rosyjskiej. Na przykładzie ludności polskiej szczególnie wyraźnie wychodzi na jaw mechanizm zakamuflowanych represji, które przynoszą w następstwie rusyfikację w sensie kulturalnym bądź narodowym. Brak niestety danych na temat odsetka Polaków, którzy na Białorusi podali własny język narodowy jako ojczysty. Odnośna cyfra dla Ukrainy wynosiła 14,9 %, Kazachstanu — 17,7 %, Federacji Rosyjskiej — 19,4 %, zaś dla Litwy 92,4 %! Ta niezwykła różnica jest łatwa do wyjaśnienia. Polacy żyjący na Litwie posiadają autonomię kulturalną, mają szkoły z wykładowym językiem polskim, gazety i czasopisma, wydawnictwa książkowe, teatry i inne instytucje kulturalne. Stosunki między Polską a Litwą układają się na płasz-

czyźnie „internacjonalizmu proletariackiego”. W innych republikach tego wszystkiego brak. Więzy historyczne łączące Polaków z Ukraińcami i Białorusinami są niemniej mocne, a może nawet mocniejsze niż powiązania polsko-litewskie. Odpowiedzialność za dyskryminacyjną politykę wobec Polaków ponosi nie tylko kierownictwo ogólnosowieckie, ale także partyjna biurokracja Ukrainy i Białorusi. Rusyfikacja jest nie do pogodzenia z wszelkim prawem człowieka ponadto zaś przynosi szkodę poszczególnym narodom sowieckim wzmocniając pozycję Rosjan w republikach związkowych. Kierownictwo ogólnosowieckie oraz szwiniści w poszczególnych republikach (z szefem partii ukraińskiej, Szelestem na czele) daleko odeszli od zasad, które obowiązywały w polityce narodowościowej w pierwszych latach powojennych. Z prawdziwym podziwem czyta się dzisiaj raport z roku 1927, z którego wynika jak ówczesne kierownictwo partyjne — mimo że dysponowało bardzo skromnymi środkami — starało się, aby każda mniejszość narodowa na Ukrainie posiadała własne szkoły z narodowym językiem wykładowym, a także przedszkola oraz instytucje kulturalne jak wydawnictwa, księżki, teatry itp.

Liczba Rosjan żyjących poza własną republiką zwiększyła się więc w ciągu ostatnich 11 lat o ponad 1/4. Nie da się tego wytłumaczyć naturalnym przyrostem ludności. Pomiędzy obu ostatnimi spisami przetoczyła się wielka fala migracji rosyjskiej głównie na Ukrainę, do Azji Środkowej i do bałtyckich republik, Łotwy i Estonii. Najniższy odsetek Rosjan wykazuje Armenia, w Gruzji liczba Rosjan uległa nawet zmniejszeniu, w Azerbejdżanie miał miejsce nieznaczny tylko wzrost. Zaskoczeniem jest wzrost liczebny Rosjan na Ukrainie o ponad 2 miliony. Migracja Rosjan kierowała się prawie wyłącznie do głównych centrów gospodarczych Ukrainy. Odsetek Rosjan wynosi w Woroszyłowgradzie — 41,7 %, w Donbasie — 40,6 %, w Zaporozżu — 29,0 %, na obszarze Odessy — 24,2 %, na obszarze Charkowa — 29 %, w Kijowie — 22,9 %.

Te ukraińskie centra gospodarcze, które posiadają znaczenie ogólnosowieckie kierowane są *de facto* bezpośrednio z Moskwy, ponieważ większość zakładów i duża część zarządów budowlanych podlega kompetencji ministerstw ogólnosowieckich (*sojuznyje*). Także o polityce personalnej decyduje centrala moskiewska. Istnieje wprawdzie instrukcja, że należy zatrudniać przede wszystkim miejscowe siły fachowe, ale przepis ten pozostaje na papierze.

Podobnie układa się sytuacja w środkowej Azji. W Kazachstanie Rosjanie stanowią 42,8 %, w Kirgizji — 29,2 % ogółu ludności. Jak już stwierdziliśmy na wstępie brak jeszcze danych spisowych na temat składu narodowościowego ludności miejskiej, należy jednak oczekiwać potwierdzenia dotychczasowej wyraźnej tendencji, że Rosjanie osiedlają się prawie wyłącznie w miastach.

Jeśli Litwa nie stała się celem masowej migracji rosyjskiej,

należy to wyjaśnić tym, że w obszarze bałtyckim tylko Łotwa i Estonia posiadają ważne znaczenie strategiczne dla Sowietów. Litwa zaś jest krajem słabo uprzemysłowionym, jej znaczenie strategiczne obniża fakt, że sąsiaduje z zasiedlonym wyłącznie przez Rosjan okresem kaliningradzkim.

Zwiększona migracja Rosjan na tereny wymienione poprzednio nie jest w żadnym wypadku uzasadniona względami gospodarczymi. Azja środkowa, a także i Ukraina, posiadają jeszcze dostateczną ilość rąk do pracy, nie wyłączając fachowców. Do niedawna obszary te miały nawet wyraźną nadwyżkę siły roboczej.

Rezultatem kolonialnej polityki prowadzonej przez Breżniewa jest fakt, że w Federacyjnej Republice Rosyjskiej — nie tylko na jej krańcach wschodnich, ale nawet w Moskwie i Leningradzie — panuje katastrofalny brak rąk do pracy.

Pozostaje postawić sobie pytanie, komu służy i przynosi pożytek ten szowinistyczny kurs, kto przeprowadza w ten sposób swoje określone plany. Z pewnością nie leży on w interesie narodu rosyjskiego, którego część postępuje — jak wskazuje na to literatura podziemna — odrzuca zdecydowanie szowinizm i popiera dążenia wolnościowe narodów nie-rosyjskich. Z całą pewnością nie leży również taka polityka w interesie narodów nie-rosyjskich. Niech odpowiedzią na postawione tu pytanie będzie cytat z manifestu rosyjskich faszystów „Słowo nacji”, który ukazał się w roku ub. nakładem Samizdatu i dotarł na Zachód:

„Jak wiadomo istnieje na Ukrainie silny ruch nacjonalistyczny. Postawił on sobie nierealne cele. Jeśli istotnie postawiona zostanie kiedyś sprawa niepodległości Ukrainy, niezbędne będzie przeprowadzenie rewizji jej obecnych granic. Ukraina powinna oddać terytorium: a) Krymu, b) obszary Charkowa, Doniecka, Lugańska i Zaporoża, na których przeważa rosyjska ludność, c) tereny Odessy, Mikołajewa, Chersonia, Dniepropietrowska i Sum, których ludność jest w dostatecznej mierze zrusyfikowana...”

Faszyści popełnili pewien mały „błąd”. Podają oni cyfrę Rosjan żyjących na Ukrainie na 7 mln. W rzeczywistości wynosi ona już 9 mln.



Wyniki spisu ludności z 1970 roku ukazują dokładnie jak dalece społeczeństwo sowieckie jest niedoskonałe, gdzie znajdują się główne centra kryzysu, jakie są wewnętrzne problemy, które powinny być rozwiązane w latach siedemdziesiątych. Przypomnijmy raz jeszcze strukturę wieku ludności, gdyż będzie ona odegrywać istotną rolę w najbliższych dziesięciu latach życia wewnętrznego Związku Sowieckiego. W życie społeczne i gospodarcze będą wtedy każdego roku wchodziły roczniki coraz mniej liczne. Oznacza to, że będzie coraz mniej rąk do pracy i że rezerwy kadr będą coraz mniejsze. Problem ten można rozwiązać jedynie przez reformy, racjonalizację i modernizację nie tylko samej gospodar-

ki lecz całego życia społecznego. Można tu stwierdzić, że cały rozwój społeczny jest sprzeczny z politycznymi założeniami Breżniewa. Pokolenie odpowiedzialne obecnie za losy Związku Sowieckiego, ze względu na swoją konserwatywną mentalność i przestarzałe poglądy na przyszłość socjalizmu, nie chce prawdziwych reform. I to właśnie stanowi jeden z najpoważniejszych problemów dla przyszłości Związku.

Następna trudność wynika z polityki narodowościowej. Jak widać z naszej analizy najsilniej poddany rusyfikacji jest naród ukraiński. Na samej Ukrainie nie tylko pogorszyła się sytuacja zasięgu mowy ukraińskiej, lecz także wzrosła bezpośrednia kolonizacja rosyjska, zwłaszcza w ważniejszych ośrodkach przemysłowych. Nie należy jednak poddawać się pesymizmowi, gdyż równolegle do wzrostu natężenia rusyfikacji, ukraiński ruch oporu, głównie wśród inteligencji, pokazał w ostatnich jedenastu latach swe narodowe oblicze i jest silniejszy niż kiedykolwiek.

Z niniejszej analizy wynika też jasno gdzie znajduje się kluczowy punkt sowieckiej polityki narodowościowej. Stosując powszechnie znane zasady kolonializmu, biurokracja sowiecka penetruje przede wszystkim grupy narodowościowe pozbawione praw na odcinku kulturalnym. Polacy, Żydzi, Niemcy, Ukraińcy żyjący poza Ukrainą tak samo jak Białorusini oraz przedstawiciele innych głównych narodowych republik zmuszeni do opuszczenia swej ojczyzny, nie posiadają szkół, gazet, wydawnictw i podlegają procesowi tzw. „obiektywnej” rusyfikacji.

Zadaniem Polaków i przedstawicieli innych narodów, mających emigrantów na Zachodzie, jest zwrócenie uwagi opinii publicznej na mechanizm wynaradawiania i rusyfikacji. Pewne rozwiązanie tych problemów byłoby możliwe, gdyby rządy PRL i innych Demokracji Ludowych zaczęły domagać się prawa opieki nad swymi rodakami, żyjącymi w Związku Sowieckim. Ale, jak powiedzieliśmy, jest to, przynajmniej w chwili obecnej utopia.

Borys LEWICKYJ

Stosunki kulturalne polsko-czesko-słowackie

Czechosłowacko-polskie stosunki kulturalne obchodziły razem z tysiącleciem polskiego państwa oraz kościoła tysiącletni jubileusz. Do połowy XVII wieku czeska kultura jest stroną bogatszą, prawie bez wyjątku dającą. Od tego czasu polska kultura uczestniczy we wzajemnej wymianie coraz aktywniej, aby na początku XIX wieku przejąć pozycję dającą. Do dziś zainteresowanie kulturą polską oraz językiem polskim jest w Czechosło-

wacji znacznie silniejsze niż zainteresowanie kulturą Czechów i Słowaków i ich językami w Polsce.

Od dawna Czechosłowacja zajmuje trzecie miejsce — po ZSSR oraz niemieckim obszarze językowym — w liczbie tłumaczeń z polskiego, jak również w ilości importowanych polskich książek i czasopism. Czechosłowacja jest chyba jedynym krajem na świecie, który przetłumaczył niemal bez reszty klasyków polskiej poezji i prozy; często są to tłumaczenia pióra wybitnych czeskich i słowackich literatów.

Powojenny okres wzajemnych stosunków kulturalnych czechosłowacko-polskich możemy podzielić na cztery okresy, przy czym poszczególne daty są równocześnie ważnymi datami w historii politycznej obu krajów.

Pierwszy okres, to lata 1945-1948: od zakończenia drugiej wojny światowej do tzw. wypadków lutowych w Czechosłowacji (oraz do ostatecznego wyeliminowania czynników niekomunistycznych z życia politycznego we wszystkich krajach demokracji ludowej).

Drugi okres — lata 1949-1956 — zakończony jest powstaniem na Węgrzech, tzw. polskim październikiem, strajkami w Pilźnie i znamiennym II zjazdem Związku Pisarzy Czechosłowackich w kwietniu 1956 roku.

Trzeci okres, to lata 1957-1968; wydarzenia w sierpniu 1968 w Czechosłowacji są jego finałem.

Wreszcie czwarty okres zaczął się w roku 1968 i trwa dalej.

W okresie 1945-1948 do pierwszych kontaktów kulturalnych doszło w roku 1946, kiedy to ukazało się w Czechosłowacji tłumaczenie *Anhellego* Juliusza Słowackiego. (Jest rzeczą niemal symboliczną, że również po pierwszej wojnie światowej, w roku 1919, rozpoczęto w Czechosłowacji tłumaczenia z literatury polskiej wydaniem *Anhellego*). Dalej ukazały się *Dziewczęta z Nowolipek* Gojawiczyńskiej oraz drugie wydanie *Cudzoziemki* Kuncewiczowej. Po słowacku ukazała się *Granica* Nałkowskiej oraz książki W. Wasilewskiej, J. Grabowskiego, F. A. Ossendowskiego oraz W. Żelichowskiej.

W Polsce w 1946 roku wydano — zupełnie przypadkowo — tylko jedną czeską książkę, *Turystę mimo woli* A. Hoffmeistera.

W październiku 1946 przyjechała do Czechosłowacji pierwsza delegacja polskich pisarzy (J. Andrzejewski, P. Gojawiczyńska, Z. Nałkowska, J. Przyboś, J. Wiktor). Czesi i Słowacy rewizytowali Polaków w maju 1947 (R. Brtań, P. Bunczak, F. Halas, A. C. Nor, M. Pujmanova, V. Rzezacz). Był to okres, kiedy takie wizyty nie stały się jeszcze częścią rytuału. Świadczy o tym m.in. głęboka przyjaźń między F. Halasem a K. I. Gałczyńskim, która

zawiązała się w roku 1946 w Warszawie i umocniła się w 1949, w czasie wizyty Gałczyńskiego w Pradze (Gałczyński odwiedził wtedy grób swej matki oraz napisał kilka znanych wierszy o Pradze). Z tych pierwszych wizyt pozostały również niektóre prace literackie, jak np. Z. Nałkowskiej, M. Pujmanowej, A. C. Norra i innych.

Do pierwszych prac naukowych z polską tematyką, które ukazały się po roku 1945 w Czechosłowacji, należy monografia K. Krejczego *B. Paprocki z Hlohol* (1946; przygotowana do druku w 1941), oraz trzeci tom pracy M. Szyjkowskiego *Polska udział w czeskim narodnim obrozeni — romantismus* (1946; Polski udział w czeskim odrodzeniu narodowym — romantyzm).

Również w Polsce zaczynają się w 1946 roku ukazywać naukowe oraz popularne prace o Czechosłowacji. Wśród pierwszych była praca S. Urbańczyka *Z dawnych stosunków językowych polsko-czeskich*.

Już w sierpniu 1945 założono w Pradze Społeczność pro kulturalni a gospodarske styky s Polskem (Towarzystwo dla kulturalnych oraz gospodarczych stosunków z Polską), które w roku 1946 działało już w 12 miastach (Praha, Brno, Ostrawa, Zlin, Hradec Kralove, Kolin, Plzeň, Karlovy Vary, Kladno, Czeske Budějovice, Olomouc, Trzinec). Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Czechosłowackiej powstało w Warszawie w lutym 1946; działało w Warszawie, Krakowie, Katowicach i Poznaniu.

Jesienią 1946 pokazano w niektórych polskich miastach wystawę *Czechosłowacja 1938-1945*; już przedtem widziała Czechosłowacja polską wystawę *Warszawa oskarża*.

W następnych latach ukazały się w czeskich i słowackich tłumaczeniach wybitne dzieła literatury polskiej. Były to przede wszystkim nowe, doskonałe tłumaczenia czeskiego poety F. Halasa, który wydał *Dziady*, *Sonety krymskie*, *Farysa* oraz *Grażynę*. Wyszły również *Księgi narodu polskiego*. Znowu ukazały się tłumaczenia dzieł Sienkiewicza oraz Kraszewskiego. W odróżnieniu od lat po pierwszej wojnie światowej, kiedy to mało tłumaczono współczesną literaturę polską, ukazują się teraz bardzo szybko tłumaczenia najnowszych polskich książek. Wychodzi więc *Popiół i diament* Andrzejewskiego, *Miasto niepokonane* Brandysa, *Jeziro bodeńskie* Dygata, *Krata* Gojawiczyńskiej, *Dymy nad Birkenau* Szmaglewskiej, *Rzeczywistość* Putramenta, dalej książki Boguszewskiej, Wiktora, Brzechwy, Kruczkowskiego, Malewskiej, Meissnera, Kuncewiczowej, Nałkowskiej, Morstina, Szelburg-Zarembiny, Zawieyskiego, Wasilewskiej i in. Ukazują się również tłumaczenia starszych autorów, m.in. Ossendowskiego.

Nową polską poezję mogli czescy czytelnicy poznać z antologii Jana Pilarza *Pochodne* (1947; Pochodnie) oraz z wyboru wierszy L. Staffa (przetłumaczył J. Zavada).

W Polsce wydano wtedy szereg pozycji ze starszej czeskiej literatury, wznowienie niektórych przedwojennych tłumaczeń książek Czapka, oraz kilka pozycji z najnowszej literatury czeskiej.

W dniu 4 lipca 1947 zawarto czechosłowacko-polskie porozumienie kulturalne (w maju tegoż roku zawarto umowę o współpracy między radiem czechosłowackim i polskim). Od stycznia 1948 radio praskie nadawało kurs języka polskiego, zaś radio polskie kurs języka czeskiego. Jednocześnie otwarto ośrodki kultury w obu stolicach. W roku 1947 (14. XI. - 21. XI.) odbywał się w Czechosłowacji pierwszy „Tydzień Przyjaźni Czechosłowacko-Polskiej”, który później stał się stałą instytucją. Analogiczne akcje odbywały się w Polsce.

Wszystkie te oficjalnie zaplanowane oraz organizowane imprezy stały się, niestety, bardzo szybko martwymi, bardzo podobnymi do imprez „przyjaźni z ZSSR”.

W tych latach doszło do pierwszych większych wystaw prac plastycznych.

Bezpośrednie kontakty teatralne rozpoczął Teatr Wojska Polskiego z Łodzi w roku 1947, kiedy to dał w 13 miastach czechosłowackich 17 przedstawień sztuki W. Bogusławskiego „Krakowiacy i Górale”.

W marcu 1947 doszło do pierwszej współpracy czechosłowackiej i polskiej kinematografii, kiedy to Polacy zaczęli w Pradze nakręcanie filmu *Ulica graniczna*.

W latach 1947 i 1948 ukazały się dalsze dzieła naukowe, poświęcone sprawom stosunków czechosłowacko-polskich. Na pierwszym miejscu trzeba wymienić polską książkę (pisaną w czasie wojny) *Polska-Czechy, dziesięć wieków sąsiedztwa* pióra T. Lehra-Spławińskiego, K. Piwarskiego i Z. Wojciechowskiego, dalej w Polsce wydaną pracę M. Szyjkowskiego *Polski romantyzm w czeskim życiu duchowym* (1947), w Czechosłowacji pracę V. Zaczka *Czesi a Polacy roku 1848* (Czesi i Polacy w roku 1848) oraz książki J. Macurka, zwłaszcza jego *Dejiny polskeho naroda* (1948; Historia narodu polskiego). W Polsce wydano kilka książek o Słowacji, np. G. Taraby *Zarys literatury słowackiej do roku 1918* (1948), pracę M. Korowicza *Zarys dziejów Słowacji* (1948), J. Reychmana *Literatura słowacka w latach 1939-1945* oraz tegoż autora *Sto lat polsko-słowackich związków literackich* (1948). Dalej wydano popularne prace, jak np. *Życie gospodarcze w Czechosłowacji po drugiej wojnie światowej* (1947), broszurę Korowicza *Dzisiejsza Czechosłowacja* (1948) i in.

Z tego okresu pochodzą pierwsze monotematyczne numery różnych czasopism, poświęcone kulturze sąsiedniego kraju (np. czechosłowackie numery czasopism *Twórczość*, *Przegląd Artystyczny*, *Kamena* itd.).

Pierwsze filmy czechosłowackie wyświetlano w Polsce jesienią 1947 roku, pierwsze filmy polskie dostały się na ekrany w Czechosłowacji o rok później.

W roku 1946 odnowiono wydawanie czasopism *Slovansky prehled* w Czechosłowacji oraz *Życie Słowiańskie* w Polsce. Biblioteki, zwłaszcza naukowe — wśród nich na pierwszym miejscu praska *Slovanska knihovna* — zaczęły uzupełniać swoje księgo-

zbiory (np. *Slovanska knihovna* miała w roku 1965 przeszło 60 tysięcy polskich tomów).

Odnowiono studia polonistyczne w Pradze i Brnie, nowo utworzono ośrodki polonistyczne w Ołomuńcu i Bratysławie. W Polsce odnowiono bohemistykę (później założono również słowakistykę) w Warszawie i Krakowie. Później założono ośrodki bohemistyczne również w innych miastach.

Z placówek naukowych wznowił swoją działalność *Slovansky ustav* (Instytut Słowiański) w Pradze oraz *Instytut Zachodni* w Poznaniu.

Jednakże już w roku 1946 zaczynają się pojawiać negatywne tendencje, które zwłaszcza w latach 1949-1956 zaważyły na wzajemnych stosunkach. W obu krajach zaczyna się widoczna hierarchizacja stosunków zagranicznych w dziedzinie kultury: na pierwszym, bezkonkurencyjnym, miejscu są stosunki z ZSSR, na drugim miejscu stosunki z krajami demokracji ludowej, na trzecim miejscu stosunki z „postępowymi” artystami zachodnich krajów. To prowadzi do manifestacyjnego charakteru różnych imprez; wzrastająca niechęć społeczeństwa obu krajów do takiego rodzaju akcji nieuchronnie prowadzi do małego zainteresowania.

W następnym okresie, w latach 1949-1956, wzajemne stosunki nadal ilościowo szybko wzrastały. Jednocześnie coraz silniej przejawiał się nacisk czynników partyjnych oraz państwowych, żeby tłumacze, wydawcy itd. koncentrowali swoją uwagę na dziełach, które rzekomo obrazują szczęśliwą socjalistyczną teraźniejszość obu krajów. Obustronnie sporządzano listy dzieł, które trzeba przetłumaczyć, inscenizować, wystawić itd. Statystyki mogą więc podać imponujące cyfry, ale wiadomo było, że za nimi kryją się nieraz niesprzedane tony książek oraz nieudane przedstawienia i wystawy.

Ale trzeba byłoby jeszcze statystycznie pokazać, ilu czytelników rzeczywiście przeczytało poszczególne książki. Dotychczas zawsze podawano tylko wysokości nakładów, nigdzie jednak nie powiedziano, ile egzemplarzy rzeczywiście dotarło do rąk czytelników i ile ich zostało nie sprzedanych w magazynach lub nieczytanych na półkach bibliotecznych. Obfite dotacje państwowe stały się w końcu hamulcem stosunków kulturalnych. Jeżeli przed wojną wydawano z powodów komercyjnych również tłumaczenia dzieł słabych, to teraz często tłumaczono według sztywnego planu, przy czym aktualne potrzeby polityczne odgrywały rolę decydującą. Słabe dzieła zniechęcały czytelników, którzy powoli dochodzili do przekonania, że w sąsiednim kraju właściwie nie ma literatury na poziomie. Podobna sytuacja panowała również w innych dziedzinach.

Moglibyśmy pisać o imponujących liczbach polonistów, bo

hemistów i słowaków, którzy rokrocznie opuszczali czeskosłowackie i polskie uniwersytety. Za tymi liczbami kryły się także często rozczarowania absolwentów, którzy nie mogli (i do dziś nie mogą) znaleźć pracy w swoim zawodzie. Przy tym na stanowiskach decydujących o dalszym rozwoju wzajemnych stosunków kulturalnych, siedzą ludzie nie tylko nie znający języka danego kraju, ale nie mający absolutnie żadnej kwalifikacji do tego rodzaju pracy.

Najboleśniej odczuwano brak możliwości osobistego poznania sąsiedniego kraju. To dotyczyło nie tylko szerokich warstw społeczeństwa, ale również kół artystycznych i zwłaszcza naukowych, nie mówiąc już o studentach. Przez granicę przejeżdżali tylko sportowcy, różnego rodzaju działacze i urzędnicy oraz mała grupka wypróbowanych artystów. Nic dziwnego, że obraz sąsiedniego kraju pozostawał dla większości ludzi tak samo niejasny, jak np. Chin.

Sytuacja we wzajemnych stosunkach kulturalnych utkwiała na martwym punkcie — zresztą jak i we wszystkich dziedzinach życia społecznego. I właśnie wtedy, około roku 1956, zaczął się w obu krajach proces, dążący do zmiany. W Polsce był on silniejszy i od samego początku śledzono go w niektórych kołach inteligencji czeskosłowackiej bardzo uważnie.

Trzeci okres: lata 1957-1968

„Odwilż” w Polsce miała charakter bardziej wybuchowy niż w Czechosłowacji. Przyczyn było dużo i niesposób tutaj zajmować się całą skomplikowaną tematyką różnic rozwojowych w obu krajach. Przypomnijmy tylko, że sytuacja gospodarcza była wtedy w Czechosłowacji znacznie lepsza niż w Polsce. Wielką rolę odegrał zapewne również ostry kryzys partii w Polsce, którego nie było w takim stopniu w Czechosłowacji. Tym niemniej rozwój wypadków w Czechosłowacji (strajki w Pilźnie) oraz napięcie w sferze kultury (burzliwy II zjazd Związku Pisarzy Czechosłowackich w kwietniu 1956) wskazywały na to, że Czechosłowacja idzie — z pewnym opóźnieniem — w tym samym kierunku, co Polska i Węgry. Polski październik, a zwłaszcza powstanie na Węgrzech, zniszczyły nadzieje Czechów i Słowaków (przynajmniej ich inteligencji) na bardziej liberalny kurs w ich kraju. Konserwatywne kierownictwo partii czeskosłowackiej natychmiast zahamowało coraz szybszy pęd do demokratyzacji i zaczęło restalinizację. Stalinizm w osłabionej postaci trwał w Czechosłowacji do roku 1958. W latach 1958-1963 życie liberalizuje się powoli, ale nieustannie. Koło roku 1963 dochodzi do paradoksu: w Polsce zaczyna się coraz szybszy odwrót od liberalizmu, Czechosłowacja liberalizację przyśpiesza, przy czym szybko wyprzedza Polskę. W końcu „praska wiosna” w roku 1968 przyniosła liberalizm dotychczas nieznanym w kraju komunistycznym, za który trzeba było zapłacić sierpniem 1968 roku.

Cały ten okres jedenastu lat był jak dotychczas najbardziej

owocny w dziedzinie powojennych czeskosłowacko-polskich stosunków kulturalnych.

W Czechosłowacji nadal wychodziły tłumaczenia wybitnych dzieł literatury minionych czasów, ale po pewnym czasie punkt ciężkości przesuwa się z powrotem w dziedzinę tłumaczeń z polskiej literatury współczesnej. Wielką popularność zdobywają prace St. Lema, A. i Cz. Centkiewiczów oraz A. Fiedlera. Fala popularności M. Hłaski doszła również do Czechosłowacji. Niebawym powodzeniem cieszy się Sł. Mrozek.

Od roku 1956 do końca tego okresu wychodziło w Pradze świetnie redagowane czasopismo *Svetova literatura*, nie mające konkurencji w innych krajach komunistycznych (chyba najbardziej zbliżone było do niego podobne czasopismo węgierskie). To czasopismo, mające dziesiątki tysięcy czytelników, stało się trybuną młodej polskiej prozy i poezji w Czechosłowacji.

W Polsce rozwój tłumaczenia z literatury czeskiej i słowackiej postępuje dosyć powoli. Trwa zainteresowanie Czapkiem, pojawiają się tłumaczenia starszych autorów — Zeyera, J. Sz. Baara, K. V. Raisa.

Koło roku 1958 zaczyna się w Polsce przejawiać zainteresowanie współczesną literaturą czeską i słowacką. Wtedy wychodzi kilka książek Aszkenazego, dzieła Fryda, Styblowej, E. Valenty, Lustiga, Oczenaszka, Paszka, Bernaszkowej, Kożika. Później przychodzi fala sukcesów dzieł B. Hrabala, M. Kundery, J. Muchi, V. Parala, F. Hrubina. Z literatury słowackiej wychodzą książki Karvasza, Heczki, Volanskiej, Błażkowej, Minacza, Mnackzi, Bednara, Novomeskiego i in.

gorzej jest z tłumaczeniami poezji.

W dziedzinie teatru: na początku tego okresu teatry czeskosłowackie grają polskie sztuki „z problemem”, jak np. *Ostry dyżur* Lutowskiego albo *Zwykłą sprawę* Tarna. Jednocześnie gra się bezpretensjonalne sztuki Jurandota oraz dwójki autorskiej Skowronski-Słotwiński. Później przychodzi kolej na dramaty Brandstaettera, pojawiają się sztuki Mroźka, Broszkiewicza i in.

W teatrach polskich grają dramaty Czapka, sztukę Kohouta *Taka miłość*; poza tym wystawiono sztukę Voskovca i Wericha *Niebo na ziemi* w Kielcach (1959) oraz *Sierpniową niedzielę* Hrubina w Gdańsku (1959).

Te wymienne występy i nawiązane współpracy spełniły jednak tylko częściowo swe zadanie. Nie pomogły mianowicie wywalczyć drogi nowemu repertuarowi teatralnemu — pokazywały z reguły inscenizacje obcych sztuk lub sztuk klasycznego repertuaru własnego narodu.

W dziedzinie muzyki oprócz tradycyjnego programu zaczęły się pojawiać coraz częściej nowe nazwiska kompozytorów młodego pokolenia. Zwłaszcza udział nowych dzieł kompozytorów czeskich i słowackich na Warszawskiej Jesieni oraz polskich (np. Pendereckiego) na Praskiej Wiosnie otwierały nowe możliwości. Aktywne były Towarzystwo im. Chopina w Czechosłowacji oraz Towarzystwo im. B. Smetany w Polsce.

Do negatywnych zjawisk należy to, że były okresy, w których wyświetlanie polskich filmów należało do rzadkości w Czechosłowacji, tak samo jak później z wielkim opóźnieniem dostawały się czechosłowackie filmy na ekrany w Polsce.

Telewizja nie szukała zbyt drogi do zacieśnienia współpracy. Tylko częściowo udane były kwizy „Co wiemy o Czechosłowacji” oraz „Co wiemy o Polsce”.

Od roku 1956 doszło do liberalizacji ruchu turystycznego oraz do utworzenia tzw. turystycznej strefy przygranicznej w niektórych rejonach wspólnej granicy.

Wśród prac naukowych tego okresu trzeba wymienić na pierwszym miejscu dwutomowe dzieło *Czesi a Polacy w minulości* (1964; Czesi i Polacy w przeszłości) oraz wcześniejszą podobną książkę słowacką *Poliaci a my* (Polacy a my).

Ale nawet w najbardziej owocnym okresie wzajemnych powojennych stosunków kulturalnych istniały pewne chroniczne schorzenia. Polska nie dotrzymywała kroku w przyswajaniu osiągnięć kultur czeskiej i słowackiej, chociaż właśnie w tym okresie — przede wszystkim w ostatnich latach — kultura czechosłowacka zdobyła sobie uznanie na całym świecie. Dług wobec kultury słowackiej narastał jeszcze szybciej. Literatura polskiej emigracji pozostała dla czytelników czechosłowackich absolutnie nieznaną.



Ostatni, czwarty okres, zaczął się w sierpniu 1968 — i trwa nadal. Wcale nie najgorzej rozwijające się stosunki kulturalne między obu krajami zostały w wielu dziedzinach przerwane wydarzeniami w sierpniu 1968.

Nie znaczy to oczywiście, że wszystkie dziedziny życia kulturalnego zostały sparaliżowane. Przynajmniej wydawanie tłumaczeń z polskiego nie doznało przerwy, chociaż zmniejszyła się ilość wydawanych dzieł. W roku 1969 ukazały się w czeskich tłumaczeniach książki takich autorów, jak np. Filipowicz, Lem, Dobraczyński. Wychodzą *Rozmowy z diabłem* Kołakowskiego, drugie wydanie *Ludzi stamtąd* Dąbrowskiej. Najważniejszym wydarzeniem jest wydanie nowego tłumaczenia *Pana Tadeusza* pióra Ericha Sojki. Poprzednie tłumaczenie Eliszki Krasnohorskiej z roku 1882 było już częściowo przestarzałe. Nie słabnącym za interesowaniem cieszyły się utwory Sienkiewicza.

W Polsce w tym samym roku wychodzą utwory M. Holuba, B. Hrabala, V. Parala i in., antologia nowel słowackich *Królewskie wolne miasto* oraz wybór wierszy młodych czeskich i słowackich poetów *Drzewo rośnie zielono*. Jacek Baluch wydał książkę *Poetyzm. Propozycja czeskiej awangardy lat dwudziestych*, Roman Heck i Marian Orzechowski *Historię Czechosłowacji*. Przetłumaczono również książkę F. Beera *Słowacja na przełomie* o powstaniu słowackim w roku 1944.

Również rok 1970 przyniósł szereg tłumaczeń.

Plany wydawnicze na rok 1971 zapowiedziały w Czechosłowa-

cji stosunkowo mało nowych poloników — wśród nich najważniejszą pozycją będzie bodajże wybór wierszy B. Leśmiana. W Polsce oprócz kilku tłumaczeń — w tym także wznowień — ukaże się książka K. Krejczego *Wybrane studia slawistyczne* oraz praca Zdzisława Niedzieli *Współczesna literatura czeska*.

Miejmy nadzieję, że rozwój wzajemnych stosunków będzie znów wzrastał. Nie ulega wątpliwości, że sierpień 1968 był dla Czechów i Słowaków wielkim wstrząsem również w dziedzinie stosunków kulturalnych czechosłowacko-polskich. Udział Polski w tych wydarzeniach na pewno nie sprzyja tym stosunkom. Do tego dochodzi stale pogarszający się stan całego życia kulturalnego w Czechosłowacji. Dużo pisarzy (jak również i polonistów) czechosłowackich znalazło się na emigracji. Inni nie mogą publikować, gdyż „skompromitowali” się aktywnym udziałem w tzw. praskiej wiosnie.

Również w Polsce jest teraz w dziedzinie stosunków kulturalnych z Czechosłowacją sytuacja bardzo trudna — specjalnie o ile chodzi o wciąż nieugiętych pisarzy czeskich (słowaccy już skapitulowali). Nie wiadomo więc, kogo właściwie można tłumaczyć. W dziedzinie slawistyki brak partnerów czechosłowackich do współpracy, gdyż zostali wyrzuceni ze swych posad lub emigrowali. Nowych albo w ogóle nie ma, albo ich poziom jest opłakany.

Za wcześniej jeszcze na danie ogólnej nawet charakterystyki tego czwartego okresu wzajemnych stosunków.



Gdy spojrzymy na ten przegląd kulturalnych stosunków czechosłowacko-polskich w latach 1945-1970 — który jest z konieczności niepełny — widzimy, że rozwój tych stosunków był hamowany w zasadzie w dwojaki sposób: a) przez czynniki tzw. natury wyższej, b) przez niedocenywanie twórczości kulturalnej sąsiedniego kraju w kołach inteligencji twórczej, wydawców i krytyków — i co za tym idzie, w całym społeczeństwie.

Pierwszą przyczynę trudno zlikwidować, przynajmniej w najbliższym czasie. Cenzura, sztywne plany wydawnicze, ideologiczne ustawianie — są to czynniki, które w Polsce i w Czechosłowacji stanowią część składową systemu politycznego. Tylko w okresach względnej liberalizacji ulegają one osłabieniu.

Druga przeszkoda, która istnieje od dawna, jest do przezwyciężenia. Nie można mieć złudzeń, że pójdzie to łatwo i szybko. Ta przeszkoda należy do patologii psychologii społecznej. Jest ściśle związana z zazdrością, która prawie zawsze wybucha w jednym z tych dwu krajów, kiedy drugi odnosi międzynarodowe sukcesy — polityczne, gospodarcze, sportowe czy artystyczne. Wtedy to lekceważy się podobne sukcesy sąsiadów i nie waha się nawet przed ich ośmieszeniem. Do prymitywnych docinków na temat języka dochodzą „obiektywne” rozważania na temat rzeczywistych czy urojonych przywar narodowych drugiego na-

rodu. Ostatnim etapem jest wypominanie sąsiadom rzeczywistych czy wymyślonych krzywd, których dopuścili się w ciągu tysiącletniego sąsiedztwa na narodzie oskarżycieli. Nie trzeba chyba przypominać, komu to wszystko idzie na rękę.

Zarówno w Polsce jak i w Czechosłowacji są ludzie, którzy znają ten stan rzeczy. Bardzo chcieliby go zmienić i wiedzą, że stosunkowo najłatwiej zacząć od współpracy kulturalnej. Trzeba jednak nareszcie spokojnie i rzeczowo zacząć o tych rzeczach mówić. Jeżeli nie uda się zlikwidować lekceważenia oraz obojętności w kołach inteligencji obu krajów, to jaką mamy nadzieję, że uda nam się rozwiązać w przyszłości jakże trudniejsze problemy polityczne czy gospodarcze? Autor tego artykułu chciałby osiągnąć tylko jedyny cel: przerwać milczenie, które na ten temat wciąż panuje.

Karel KLATOVSKY

W sowieckiej prasie

Trzy wiersze petitem w dolnym rogu gazety. „KC KPZS i Rada Ministrów ZSSR zawiadamiają z głębokim żalem, że 11 września 1971 roku po długiej i ciężkiej chorobie zmarł, w wieku lat 78, N. S. Chruszczow, były pierwszy sekretarz KC KPZS i prezes Rady Ministrów ZSSR, emeryt partyjny”.

Zmarł Nikita Chruszczow. *De mortuis aut bene, aut nihil*. Tak się stało, że cała prasa zachodnia poświęciła zmarłemu setki tysięcy stron, ozdobionych portretami niezbyt fotogenicznego „Pinia z Kalinowki”¹. Zachód wspominał człowieka, który zajął tron stalinowski — *bene*.

W ojczyźnie zmarłego ograniczono się do trzech wierszy, które ponadto ukazały się w trzy dni po śmierci Chruszczowa.

Tym razem w ocenie zmarłego zgadzali się rządzący i społeczeństwo.

1. Jeszcze przed rewolucją ukazała się w Rosji powieść pisarza ukraińskiego, Władymira Winniczenki, której jednym z bohaterów był Żyd — Pinia. Akcja toczy się w więzieniu. W celi siedzą więźniowie polityczni: anarhiści, zamachowcy itp. oraz biedny Żyd Pinia, którego wszyscy uważają za niedołęgę i tchórza i z którym nikt się nie liczy. Więźniowie przygotowują ucieczkę i w tym celu robią podkop, którym chcą wyjść na wolność. Kiedy podkop był już gotowy zaczynają się między sobą sprzeczać kto z nich pójdzie pierwszy, żeby przekonać się co ich czeka po wyjściu. Nikt nie chce zdobyć się na ten, bądź co bądź, bohaterski wyczyn. I wtedy, niespodziewanie, zgłasza się jako ochotnik Żyd-Pinia.

Chruszczowowi bardzo się ta opowieść podobała i kiedy jeden z dziennikarzy zagranicznych zapytał go, jak to się stało, że właśnie, on a nie kto inny, został następcą Stalina, odpowiedział: „Bo ja jestem ten Pinia, tyle że z Kalinowki”.

czeństwo. Śmierć Chruszczowa została przyjęta apatycznie i obojętnie. Zeszedł ze sceny, nie spełniwszy niczych nadziei.

W swoich wspomnieniach o dniach lutowej rewolucji Gorkij pisze o spotkaniach z jakimś przedstawicielem społeczeństwa, ubolewającym z powodu upadku monarchii, ale niezbyt żałującym zrzuczonego z tronu Mikołaja Romanowa. „Car rosyjski — tłumaczył — powinien być groźny, okrutny! Groźny nawet z wyglądu, nie tylko z charakteru...”

Widział pan portret Iwana Groźnego malarza Wasniecowa? Oto car dla narodu rosyjskiego. Pamięta pan — oczko ma trochę zezujące? To carskie oko. Wszystkowiedzące oko. Taki car wszystko widzi i nie wierzy nikomu. Sam!... Zaraz się przy nim wyprostowujesz i całego siebie obmacujesz, czy wszystko na tobie zapięte? Car mocarstwa...”

Car Nikita nie był podobny do tego groźnego władcy, o którym tak marzylielsko mówił rosyjski monarchista.

Choć nie był podobny do „groźnego cara”, Chruszczow bardzo szybko zasmakował we władzy i zaczął nabierać niektórych cech charakteru swego poprzednika. W jednym z numerów tajnego, pisanego na maszynie dziennika, rozpowszechnianego w Związku Sowieckim przez „Samizdat”, a mającego tytuł „Dziennik polityczny”, opublikowano opowiadanie Mikojana o przyczynach upadku Chruszczowa (jest to streszczenie wystąpienia Mikojana na zebraniu partyjnym w moskiewskiej fabryce „Czerwony proletariat”, które miało miejsce w dwa miesiące po pałacowym przewrocie na Kremlu).

„Drażliwość, niecierpliwość w stosunku do krytyki — mówił Mikojan — te cechy jego charakteru nie podobały się nawet tym towarzyszom, których wyniósł na kierownicze stanowiska...”

Nie mógł pracować na jednym miejscu więcej niż trzy godziny. Ciągle go coś gdzieś ciągnęło. We wszystkich swoich poczynaniach był skłonny do improwizacji, do rozstrzygania spraw w pośpiechu...

Kiedy w rolnictwie zaczęło się źle dziać, gdy pojawiły się poważne trudności, Chruszczow nie badając głębokich, obiektywnych przyczyn, wszedł na drogę karania ludzi, zdejmowania ich ze stanowisk, choć przyczyny trudności nie leżały w ludziach...

Chruszczow cierpiał na chorobę organizacji, łaknął ciągłych reorganizacji”.

Na Zachodzie widziano w Chruszczowie człowieka, który zde-maskował kult Stalina, stronnika „budowania mostów”, który miał szusy — w rodzaju Berlina, czy Kuby — ale który koniec końców pragnął pokoju.

W Związku Sowieckim w Chruszczowie widziano człowieka, który zbyt wczesnie i zbyt brutalnie wyjawiał „tajemnice Kremla”, człowieka, który zrujnował rolnictwo, znajdujące się i przed nim w stanie godnym pożałowania, który obniżył stopę życiową społeczeństwa — i który do tego wszystkiego pobudzał do śmiechu.

Interesującym stwierdzeniem jest to, że Mikojan wymienia

jako główną przyczyną obalenia Chruszczowa jego „chorobę organizacji; pragnienie reorganizacji”.

Do dnia 14 października 1964 roku na koncie Nikity Siergiejewicza nagromadziło się więc niemało grzechów — grzechów — w rozumieniu jego kolegów z politbiura. Byłoby błędem szukanie jakiejś przyczyny jego upadku. Jeśli by jednak trzeba było koniecznie wymienić choćby jedną, to wymieniałbym decyzję o podzieleniu aparatu partyjnego na dwie części — rolniczą i przemysłową, powziętą na prawie dwa lata przed ostatnim chruszczowowskim plenum KC.

Decyzja ta, podjęta na początku 1962 roku, wchodziła w życie powoli z ogromną trudnością pokonując zawzięty opór aparatczyków. Skutki jakie mogłaby przynieść ta chruszczowska reorganizacja, tworząca faktycznie dwie partie, byłyby prawdopodobnie ważniejsze od skutków jego przemówienia na XX zjeździe.

Już na pierwszym plenum KC, które zebrało się po usunięciu Chruszczowa, decyzja o podziale aparatu partyjnego została anulowana.

Jednakowoż wszyscy a także i historia sądzą nie według zamiarów czy pomysłów, ale według konkretnych wyników. W historii pozostanie przemówienie Chruszczowa na XX zjeździe. Przemówienie, którego rezultatem były Węgry 1956, Poznań 1956. Rezultaty, z których nie prędko zdamy sobie sprawę.



„Znany charakter pisma”. Tak zatytułowano w *Izwiestiach* wywiad z Kim Philby. Rzeczywiście niezmiernie znany charakter pisma.

Wywiad z Philby jest owocem angielskiego skandalu, jedną z form odpowiedzi na wydalenie 105-ciu sowieckich „dyplomatów”.

Zwraca uwagę fakt, że posunięcia rządu angielskiego nie wywołały nieprzychylnych reakcji w prasie sowieckiej. Powiedziałbym nawet, że odwrotnie. Czytając materiały opublikowane „w odpowiedzi” na deportację szpiegów z Wielkiej Brytanii można zauważyć nawet pewne zadowolenie. Ma się rozumieć nie z samego faktu deportacji, ale dlatego że dała ona jeszcze jedną możliwość wzmocnienia propagandy, prowadzonej z rosnącym natężeniem już przeszło od roku.

Bodaj nigdy jeszcze — poza rokiem 1937 — prasa i literatura sowiecka nie poświęcały tyle miejsca zagadnieniu czujności i działalności szpiegowskiej wywiadów zachodnich oraz heroicznej akcji sowieckich wywiadowców, ratujących pokój w całym świecie. Nigdy dotąd na stronicach prasy nie występowało tylu współpracowników KGB w mundurach i po cywilnemu. Jest jednak wyraźna różnica między „czekistowską literaturą” lat 1937, a rokiem 1971-szym. Obecnie ma ona charakter totalny.

„Czekistów” interesuje wszystko: zagadnienia wychowania,

problemy ideologiczne, gospodarka narodowa i ma się rozumieć polityka zagraniczna.

Zacznijmy od polityki zagranicznej, gdyż jej właśnie poświęcony jest wywiad z Philby'm — ostatni w czasie dokument, obrazujący rosnący wpływ KGB na poczynania ZSSR w wielu zagadnieniach międzynarodowych.

Mniej więcej połowa artykułu demaskuje „dywersyjną działalność angielskich służb specjalnych” przeciw Związkowi Sowieckiemu. Obficie cytując tajne dyrektywy z referencjami odońnych dokumentów, Philby opowiada szczegółowo jak funkcjonuje *Intelligence Service*, zajmująca się — jak twierdzi były odpowiedzialny współpracownik angielskiego wywiadu — również „terrorem, dywersją i sabotażem”.

Ciekawsza jest jednak druga część wywiadu: odpowiedzi Philby'ego na „naprowadzające” zapytania „dziennikarzy” (W. Barsova i G. Korotkova).

Pierwsze pytanie poświęcone jest nowej „polityce wschodniej” Brandta.

Działalność *Intelligence Service*, odpowiada Philby, „zdąży do tego, by w oczach Zachodu, a przede wszystkim Stanów Zjednoczonych, Anglii i Francji, przedstawić politykę rządu Brandta jako całkowicie sprzeczną z interesami Zachodu i narodu niemieckiego”.

Drugie pytanie dotyczy „wschodniej”, ściślej blisko-wschodniej, polityki Związku Sowieckiego.

Działalność *Intelligence Service* w tym rejonie jest skierowana „w pierwszym rzędzie w kierunku naderwania jedności narodów arabskich, kompromitowania tych *leader'ów* arabskich, którzy walczą o narodową niezależność... jednym z głównych zadań, które postawiło sobie *Intelligence Service*, jest organizowanie i realizowanie psychologicznych akcji pod sztandarem antysowieckiego”.

A więc wszystko jest jasne. Wszystkie nieprzyjemności, wszystkie niepowodzenia polityki zagranicznej są rezultatem „dywersyjnej” działalności. Możliwe, że ortodoksyjni marksiści nie zgodziliby się od razu z takim podejściem w polityce. Ale to jest już ich sprawa...

W jeszcze bardziej jasnej formie pojęcie polityki zagranicznej jako gry wywiadów, jest przedstawione w „dokumentalnej powieści” I. Bielajewa „Z kuchennych schodów”, drukowanej w odcinkach w miesięczniku *Znamia*. Akcja tej powieści rozgrywa się w przededniu wojny arabsko-izraelskiej, w roku 1967. A wojna jest przedstawiona jako rezultat działalności wywiadu izraelskiego, który sprytnie sprowokował miłujących pokój arabskich mężów stanu, w pierwszym rzędzie Nasera.

Powieść jest interesująca nie tylko z powodu czekistowskiej koncepcji historii, ale i dlatego, że jest odzwierciedleniem nowych tendencji polityki sowieckiej na Bliskim Wschodzie i poglądów przeciętnego czekisty na świat arabski. W powieści jest bardzo wyraźne „kokietowanie” Izraela, podkreślanie zasady, że

„nikomu nie będzie dozwolone zniszczenie państwa izraelskiego, stworzonego wspólnym wysiłkiem wielu państw”. Gdyby nie perfidny wywiad izraelski, okropny „Mossad”, rządzący krajem, to Izrael nie byłby bynajmniej taki zły — mówi między wierszami autor powieści. Możliwe, że na skutek zawodowej solidarności Bielajew przedstawia w sympatycznych tonach znakomitego szpiega izraelskiego, Eli Kohena, powieszono w Syrii. Eli Kohen jest również przedstawiony jako ofiara „Mossada”.

Zapoznając się z obfitą „czekistowską literaturą” nie można nie dojść do przekonania, że stałe podkreślanie znaczenia i potęgi wywiadów w „silnych” państwach, takich jak Stany Zjednoczone czy Izrael, ma swoje specjalne znaczenie. I czuje się pewną tęsknotę i zawiść w artykule P. Bunakowa (pismo *Kommunist*) „O dywersyjnej działalności imperialistycznych wywiadów”, gdy pisze on: „W Stanach Zjednoczonych, na przykład, jedynie Pentagon może równać się z organami wywiadu, jeśli idzie o wpływ na całość życia państwowego”.

Odnosi się wrażenie, że nie do amerykańskiego adresata kieruje Bunakow krytyczne uwagi, zamieszczone w raporcie komisji, inspirowanej przez amerykański wywiad. Autorzy tego raportu — pisze Bunakow — poddali krytyce „zbyt ostrożne stanowisko”, które czasami zajmują amerykańscy dyplomaci, przynosząc „szkodę zdecydowanym i aktualnym akcjom wywiadu”. Komisja — podkreśla Bunakow — wezwała odpowiedzialne instancje do przejawiania większej „śmiałości, uporu i agresywności, wykorzystując wszystkie możliwości służby dyplomatycznej dla potrzeb wywiadu”.

Warto podkreślić, że artykuł w *Komuniście* ukazał się na kilka miesięcy przed masową deportacją z Anglii zdemaskowanych sowieckich agentów, ale już po interwencjach angielskiego ministerstwa Spraw Zagranicznych, które wielokrotnie interweniowało w Moskwie w sprawie rozmiarów, jakie przybrała w Wielkiej Brytanii sowiecka działalność wywiadowcza.

Można więc z dużą dozą prawdopodobieństwa założyć, że spór między wywiadem i dyplomacją toczył się nie tylko w Waszyngtonie.

Trzecie pytanie zadane Kim Philby'emu dotyczy problemu, zdałoby się drugorzędnego: turystyki. W działalności KGB ten problem niewątpliwie zajmuje czołowe miejsce. Stykamy się z nim we wszystkich odmianach „czekistowskiej” literatury.

Philby mówi: „W związku z masowym rozwojem turystyki w Związku Sowieckim w początku lat sześćdziesiątych, szef *Intelligence Service* wydał specjalną dyrektywę celem wykorzystania turystyki dla zbierania szpiegowskich informacji i przeprowadzania politycznych i ideologicznych dywersji w ZSSR”.

Organ KC KPZS *Agitator* pisze: „Dla rozpowszechnienia materiałów propagandowych zagraniczne, antysowieckie organizacje angażują wyjeżdżających do ZSSR turystów, handlowców, uczestników wystaw”.

Organ KC KPZS *Kommunist* twierdzi: „Szpiegowską i dywer-

syjną działalność ideologiczną przeciwko naszej ojczyźnie prowadzą wywiady imperialistyczne również przy pomocy swoich agentów, przyjeżdżających do Związku Sowieckiego w charakterze turystów, członków delegacji i specjalistów”.

Wreszcie w „artystycznym utworze”, w powieści „Sprawa DOB — I”, napisanej przez trzech czekistów w mundurach, tj. przez kadrowych pracowników wywiadu, czytamy: „Imperialistyczne wywiady przysyłają do naszego kraju agentów pod płaszczykiem turystów, studentów, przemysłowców, członków korpusu dyplomatycznego, zaś ci ze swej strony szukają wśród obywateli sowieckich ludzi chwiejnych, starają się nawiązać z nimi korespondencję, wydostać od nich wywiadowczą informację”.

W tych monotonnych i dosłownych powtarzaniach jednego i tego samego można bez trudu znaleźć dwie koncepcje: wszyscy przyjeżdżający do Związku Sowieckiego są niebezpieczni, wszyscy są szpiegami, ale — i to jest myśl druga — jeszcze bardziej są oni niebezpieczni jako rozsądniczy zarazy ideologicznej. Stąd wynika jedyny wniosek: KGB powinna stać na straży nie tylko państwowych tajemnic, ale i państwowej ideologii.

„Komitet Bezpieczeństwa Państwowego — czytamy w *Agitatorze*, — prowadzi zdecydowaną walkę z ideologicznymi dywersjami imperializmu. Sowieccy czekiści wykrywają, łamią i uniemożliwiają zamysły imperialistycznych wywiadów i zagranicznych ośrodków antysowieckich, skierowane na podważenie ideologicznych podstaw ustroju sowieckiego, na osłabienie moralno-politycznej jedności narodu sowieckiego”.

O tym jak jest prowadzona ta walka o czystość ideologii, mówi „w artystycznej formie” wspomniana powyżej powieść „Sprawa DOB — I”. Waga tego „literackiego” dzieła polega na się rozumieć nie na tym, że dowiadujemy się „ze źródła” jak prowadzi się obserwację „podejrzanych”, jak wysyła się do środowisk akademickich agentów jako poetów. Znaczenie książki polega na tym, że przedstawia ona rozmiary tego, co kulturalni autorzy powieści nazywają „świerzbem frondy”, rozmiary buntowniczych nastrojów wśród młodzieży i uczonych.

Student Władik „przyjechał prosto z Instytutu. I z ożywieniem opowiadał o jakimś wybitnym uczonej matematyku. W „kuluarach studenckich” mówi się o nim jako o „burzycielu zasad, buntowniku”.

— Z czego on jest niezadowolony? — zapytał Bacharew (agent KGB).

Władik popatrzył zdziwiony na Mikołaja, jakby ten zadał mu niezmiernie głupie pytanie.

— Z oporu materii...

— Przepraszam, nie zrozumiałem. Czy to kalambur?

— Nie, profesor uważa, że śruba jest przykręcona zbyt mocno, bez uwzględnienia granic wytrzymałości. Profesor — zwolennik pewnej demokratyzacji życia... należy zwolnić śrubę”.

Czekiści-pisarze bynajmniej nie zamierzają umniejszać fer-

mentu w społeczeństwie sowieckim, raczej na odwrót. Jako że, jeśli nie ma niebezpieczeństwa, to po co jest stróż?

Michel Tatu w *Le Monde* określił niedawno KGB jako *le bras séculier* KPZS. Sądząc po działalności KGB w ostatnich czasach nie można wykluczyć i tego, że niektórzy z jego kierowników już zaczynają odczuwać „powołanie kapłańskie”.

Powracając do historii z wydalonymi z Anglii szpiegami, miesięcznik *Mołodaja Gwardia* w numerze wrześniowym rozpoczął druk kolejnego czekistowskiego utworu „Spekmandirowka”. Mówi się w nim o działalności w Anglii sowieckiego szpiega, Gordona Lonsdale, to jest pułkownika bezpieczeństwa Georgija Łonowa.



Rozpoczynając ten przegląd od Chruszczowa chciałbym go zakończyć anegdotą o jego następcy — Breżniewie. Wydaje mi się, że ta anegdota świadczy o tym, że dziesięcioletnie „panowanie” Nikity wycisnęło swoje piętno na stylu nie tylko pracy, ale i zachowania się sowieckich przywódców.

Niemieccy dziennikarze, asystujący przy spotkaniu Breżniew-Brandt w Oreandie, opowiadają, że w pewnej pięknej chwili kanclerz i generalny sekretarz zaczęli opowiadać sobie dowcipy. Jest jasne, że socjalista i komunista mogą opowiadać sobie jedynie kawały antysowieckie.

Brandt przypomniał starą odpowiedź radia Erywań o różnicy między kapitalizmem, a socjalizmem. Breżniew, nie chcąc pozostać dłużnym, opowiedział nową anegdotę, przy czym — jak opowiadają świadkowie — odgrywał jej bohaterów. W ukraińskim kołchozie zwołano zebranie partyjne. Sekretarz jacejki opowiada jak będzie się żyło w komunizmie: każdego dnia jedzenia do syta. Wszyscy będą mieli dach nad głową, materiał na spodnie i spódnice. Raz na rok wszyscy otrzymają po parze nowych butów. I wtedy nagle rozlega się głos jakiejś staruszki: zupełnie tak jak było za cara!



Był czas, kiedy taka anegdota „kosztowała” 10 lat pozbawienia wolności.

Adam KRUCZEK

Przegląd niemiecki

Rząd socjalistów i liberałów w Niemczech Zachodnich wszedł w drugą połowę swej czteroletniej kadencji. Trzy decyzje, o międzynarodowym znaczeniu, nadal stanowią główną treść jego działalności: rewaluacja D-Marki, podpisanie paktu o nierozprze-

strzenianiu broni nuklearnych i zapoczątkowanie tzw. nowej *Ostpolitik*.

Owczesna rewaluacja D-Marki, ustalająca kurs dolara na 3,63 DM., druga w kolejności, gdyż jeszcze poprzedni rząd obniżył wartość dolara z 4,20 do 4 MD., nie była przyczyną, lecz symptomem nadchodzącego światowego kryzysu walutowego. Jeżeli w niedalekiej przyszłości znajdzie się rozwiązanie tego kryzysu, będzie ono wymagało czynnego współdziałania Niemiec Zachodnich. Dlatego sprawy finansowe i gospodarcze pozostaną i w drugiej połowie legislatury obecnego rządu pierwszoplanowym zagadnieniem. Dlatego też zapewne kanclerz Brandt powierzył dwa resorty — skarbu i gospodarki — jednemu ministrowi, prof. Schilierowi.

Podpisanie układu o nierozprzestrzenianiu broni atomowych było wstępem do tzw. nowej *Ostpolitik*, czyli próby ruszenia z martwego punktu polityki wschodnio-europejskiej Niemiec Zachodnich, która to polityka była i pozostaje problemem nie dającym się wyodrębnić ani z globalnego spłotu przeciwieństw Wschód-Zachód, ani z zagadnień jednoczącej się Europy.

Ta nowa polityka wschodnia przyniosła w ubiegłym roku podpisanie układów w Moskwie i w Warszawie, a ostatnio układ czterech ambasadorków mocarstw okupujących Berlin. Na temat wartości tych układów oraz celów, treści, taktyki i skutków całej *Ostpolitik* rządu, istnieją na Zachodzie duże rozbieżności w ocenach. W samych Niemczech różnice poglądów stają się narzędziem opozycji w próbach obalenia rządu i rozpoczynają już teraz — na dwa lata przed wyborami we wrześniu 1973 roku — walkę przedwyborczą o niezwyklej zawziętości i nieustępliwości obu stron.

Opozycyjna obecnie Unia chadecka — złożona ze 193 posłów ogólnoniemieckiej *Christlich Demokratische Union* CDU, z 49 posłów bawarskiej *Christlich Soziale Union* CSU, oraz z 3 frondystów liberalnych, którzy przeweksłowali Republikę Federalną — sprawując rządu od utworzenia Republiki Federalnej do jesieni 1969 roku, nie liczyła się z ewentualnością znalezienia się w opozycji. Gdy to nastąpiło Unia była całkowicie nieprzygotowana do nowej roli, zarówno psychicznie, jak i organizacyjnie i finansowo.

Bawarska CSU, będąc przede wszystkim lokalną partią, posiadającą od lat większość w Krajowym Sejmie Bawarskim, a więc i zaplecze materialne, lżej odczuła przejście do opozycji w parlamencie federalnym. Natomiast dla ogólnoniemieckiej CDU, która była raczej związkiem wyborczym niż partią (dziś posiada około 350 tysięcy członków przy spodziewanych w 1973 roku 41 milionach wyborców), znalezienie się w opozycji stanowiło szok psychiczny oraz katastrofę organizacyjną, administracyjną i finansową.

Po dwudziestu latach sprawowania władzy w państwie od fundamentów budowanym na powojennych gruzach, w społeczeństwie politycznie wyjałowionym trzynastoletnią dyktaturą,

wojną i czteroletnią okupacją zwycięzców, CDU siłą rzeczy utożsamiało się z funkcją rządu i wytworzyło samopoczucie „partii kanclerskiej”. Znajdując się u władzy, kierownictwo Unii CDU-CSU przy czynnościach partyjnych korzystało z aparatu i lokali biurowej państwowej, nie obciążając z tego tytułu kas partyjnych i nie stwarzając Centrali Partyjnej we własnych budynkach, niezależnych od zmienności rządów.

Socjaliści posiadają taką centralę w Bonn od czasu gdy ta zaciszna siedziba uniwersytecka nad Renem nagle stała się stolicą Niemiec — tj. Republiki Federalnej. Obecnie także CDU wykańcza w Bonn wielki własny gmach, *Konrad Adenauer Haus*, wybudowany kosztem dwudziestu milionów marek, mający pomieścić wszystkie agendy partyjne CDU. Ale finanse partyjne, według doniesień prasowych, wyglądają niezbyt korzystnie: dwaście milionów marek długów, powstałych z zaległości kosztów wyborów w 1969 roku i budowy gmachu.

Podstawą dochodów każdej partii, reprezentowanej w parlamencie federalnym, są dotacje państwowe, na które budżet przeznaczają sumy odpowiadające dwu i pół markom „od wyborcy”. W obecnej legislaturze budżet przeznaczają na to 96,6 milionów marek, a w latach 1973-77 przewiduje się wzrost tej sumy do c-a 103 milionów. Sumy te rozdzielane są między partie proporcjonalnie do otrzymanych głosów w ostatnich wyborach.

W CDU powszechne jest przekonanie że państwowe finansowanie systemu partyjnego w formie proporcjonalnej dotacji, najlepiej zapewnia niezależność od zmiennych i nieobliczalnych datków dobrowolnych, a także od wpływów wywieranych przez ofiarodawców. Socjaldemokracja podziela tę zasadę, jednak opiera się przeciw podniesieniu ustawowej stawki z dwu i pół na trzy i pół marki, czego Unia bardzo pragnie i chciałaby przerwować.

Trudna sytuacja finansowa nie jest najłagodniejszą pozycją CDU. Słabszymi są: niedociągnięcia organizacyjne partii; rozbieżności koncepcyjne w planowaniu; brak doświadczenia w roli opozycji parlamentarnej; tradycja opatrnościowych kanclerzy, wybieranych przez akłamację, kierujących polityką rządu lecz mało, lub wcale, nie interesujących się działaniem partyjnej maszyny.

Dwa lata opozycyjnej działalności Unia CDU-CSU strawiła głównie na próbach obalenia rządu Brandt-Scheel, nie szczędząc wysiłków na rozbić partii liberałów. Przyniosło to nawet pewien skutek. Wyłuskano z FDP trzech posłów, przez co zmniejszono parlamentarną przewagę rządu z 12 do 6 głosów. Ale patrząc w dalszą przyszłość, liberałowie zyskali przez to spoistość wewnętrzną i znacznie poprawili szanse sukcesu w wyborach 1973 roku, natomiast opozycja powiększyła się wprawdzie o trzech kłopotliwych posłów, lecz celu zasadniczego — obalenia rządu — nie osiągnęła.

Niemniej czasu i energii zużyła CDU na rozgrywki wewnętrzne o kandydaturę na nowego prezesa partii i na ewentualnego kanclerza. Po zgłoszeniu rezygnacji przez dotychczasowego pre-

zesa partii, K. G. Kiesingera, wyłoniły się dwie koncepcje. Jedną głosił przewodniczący frakcji parlamentarnej CDU-CSU, Rainer Barzel, drugą — premier rządu krajowego w Moguncji (*Rheinland-Pfalz*), Helmut Kohl.

Według Barzla prezes CDU winien być jednocześnie kandydatem na kanclerza. Kohl twierdzi, że nie należy łączyć w jednej osobie tych dwóch czynności. W dniach 4 i 5 października rb. odbył się w Saarbrücken ogólnoniemiecki zjazd 522 delegatów CDU. Przy wyborach nowych władz zgłoszono dwie kandydatury na stanowisko prezesa partii: Rainer Barzel i Helmut Kohl. Obydwaj w przemowach przedwyborczych uzasadniali swoje tezy.

Wynik wyborów: 344 głosy otrzymał Barzel, 174 — Kohl. Czwartym z rządu prezesem partii, po Adenauerze, Erhardzie i Kiesingerze, został Rainer Barzel. Kiesingera mianowano — obok Erharda — honorowym prezesem. Kohl został jednym z wiceprezesów. Na generalnego sekretarza CDU powołano, na wniosek Barzla, 45-letniego Konrada Kraske.

Po wyborach nastąpiły zwykłe mowy ustępujących i nowych dostojników partyjnych. Kohl deklarował lojalną współpracę. Barzel najwięcej wysiłku włożył w wywołanie wrażenia wśród delegatów, że słuchają wysoce oświeconego i zrównoważonego męża stanu, że w swej przyszłej działalności zdoła on się wykaazać; powstrzymał się od głębszych wynurzeń programowych, jedynie pod adresem obecnego rządu zastosował mocne akcenty dezaprobaty, dość wyraźnie obliczone na szerszy oddźwięk propagandowy.

Oddźwięki zjazdu w Saarbrücken są bardzo stonowane. Oczywiście, rzecznik socjalistów, w odpowiedzi na mowę nowego prezesa CDU, musi odpowiednio reagować, nazywając ataki na rząd niepoważnymi. Liberałowie wnioskują, że właściwym i jedynym zwycięzcą rozgrywki w Saarbrücken był bawarski Franz Josef Strauss, prezes CSU. „Szary człowiek” na ogół jeszcze się nie zainteresował tym bądź co bądź ważnym zjazdem.

Wydaje się, że waga wyników tego zjazdu nie polega na personalnych zmianach w kierownictwie, lecz na zapoczątkowaniu nowej ery w CDU, która z opatrnościowo-patriarchalnego zrzeszenia, zafascynowanego postacią Konrada Adenauera, staje się unowocześnioną zwykłą partią polityczną.

CDU łącznie z bawarską CSU od lat zbierały powyżej 40% federalnych głosów wyborczych, a podczas jednej legislatury, za czasów Adenauera, osiągnęły nawet większość absolutną w parlamencie. Socjaliści, SPD, również mogą liczyć na więcej niż 40% wyborców. Przeważnie, jeżeli w następnych wyborach uda się liberałom przebrnąć pięcioprocentową klauzulę wyborczą, mogą stać się, podobnie jak w 1969 roku, niewielkim lecz decydującym elementem w utworzeniu nowego rządu.

I socjaliści i liberałowie wiedzą, że do pozostania przy władzy w następnej legislaturze mogą dojść tylko przez utrzymanie pomyslnego koniunktury gospodarczej i przez osiągnięcie choćby

niewielkich sukcesów ich tzw. *Ostpolitik*. Wie o tym, oczywiście, także i opozycja. Stąd tyle wrzawy wokół polityki wschodniej.

Mylą się zapewne ci, którzy sądzą że Brandt-Scheel kapitulują wobec Moskwy, że wznawiają Rapallo, czy też popełniają inne grzechy śmiertelne wobec zachodnich aliantów, wierząc naiwnie w intencje Moskwy. Kim są władcy Kremla, czym jest polityka sowiecka, wiedzą doskonale i Brandt i Scheel, a zwłaszcza mentor SPD, były komunista, Herbert Wehner. Ale ta trójka równie dobrze wie, że Zachód jeszcze jest bardzo daleki od innej reakcji niż ta jaką stosował piętnaście lat temu wobec Poznania i Budapesztu, dziesięć lat temu wobec muru berlińskiego, a trzy lata temu wobec Pragi.

Dlatego trójka ta nawet drobne ułatwienia w życiu Berlina i w kontaktach ze Wschodnimi Niemcami, czy jakieś odprężenie w stosunkach z Polską i z Czechosłowacją, traktuje już jako osiągnięcie, o które warto się kusić.

Podpisany latem ubiegłego roku układ między Bonn a Warszawą dotychczas nie jest ratyfikowany i może długo jeszcze trzeba będzie na to czekać. Jednak skutki układu już są widoczne.

Przede wszystkim, formalne uznanie przez legalny rząd Republiki Federalnej polskiej granicy zachodniej, choć nie ratyfikowane, usuwa zasadniczą trudność wszelkich rozmów między obu narodami. Tej korzystnej zmiany w stosunkach niemiecko-polskich nie pomniejsza świadomość, że Związek Sowiecki wciąż jeszcze dysponuje możliwościami manipulowania granicami Polski według swego widzi mi się.

Dalej. Z Polski przyjeżdżają transporty Niemców i osób pochodzenia niemieckiego — dotychczas są to już dziesiątki tysięcy osób. Jest to bardzo ciekawy rezultat układu warszawskiego, wart dokładnej analizy z wielu punktów widzenia. Kontakty oficjalne i prywatne między Bonn i Warszawą ożywiły się znacznie. Wzmogło się w Niemczech przychylnie zainteresowanie naszymi sprawami. W Polsce przycichła antyniemiecka propaganda. Jednocześnie wzrosło nieoczekiwane w Polsce zainteresowanie nauką języka niemieckiego. Tych skutków układu nie można oceniać ujemnie.

Układ warszawski został wynegocjowany i podpisany przez rząd socjalistów i liberałów. Można snuć duże wątpliwości czy na taki krok — niewątpliwie otwierający nowy rozdział historii stosunków niemiecko-polskich — zdobyłby się rząd chadecji, do dziś liczącej w swych szeregach spory odsetek tradycjonistów wielko-niemieckich i pewną ilość nieprzejednanych nacjonalistów.

S. W. KOZŁOWSKI

Monachium, 8 października 1971

Ze świata

Eksperyment chilijski

Ex Chile lux?

Na szarym końcu świata leży dziwaczny kraj: wąski a długi na ponad 4.000 km, a więc najdłuższy na świecie, ma kształt wyszczerbionej szabli tureckiej, której ostrzem jest wybrzeże Pacyfiku, a grzbietem łańcuch andyjski.

Choć dziesięć milionów Chile nie posiadało dotychczas żadnej wagi politycznej na arenie światowej, tryumf doktora Allende, kandydata tak zwanej *Unidad Popular* (Jedności Ludowej) w ostatnich wyborach (wrzesień 1970) na stanowisko prezydenta, skoncentrował na tym kraju uwagę całej prasy światowej, która poświęca mu od tego czasu sporo miejsca.

Przyczyną tego zainteresowania jest fakt, że po raz pierwszy w historii Zachodu doszedł tu do władzy — i to w wolnych i uczciwych wyborach — rząd prawie marksistowski, którego program, ogłoszony na długo przed wyborami, przewiduje m.in. upaństwowienie, w drodze długoterminowych odszkodowań, wielkich kopalń miedzi i rudy żelaznej, banków, wielkich przedsiębiorstw o charakterze monopolistycznym, handlu zagranicznego, drastyczną reformę rolną, etc. etc., przy równoczesnym zachowaniu wszelkich swobód demokratycznych, co w sumie miałyby utworzyć drogę do „socjalizmu o ludzkim obliczu”. Nie dziwi więc, że tego rodzaju zdarzenie wywołać musiało nie tylko zainteresowanie prasy światowej, ale rozbudziło na nowo nadzieje milionów ludzi postępowych, spragnionych jakiejś nowej skutecznej recepty na Utopię, i rozczarowanych zarówno stosunkami panującymi w Związku Sowieckim i demokracjach ludowych, jak sytuacją i perspektywami w krajach kapitalistycznych. Można co prawda przypomnieć, że w niektórych krajach kapitalistycznych od dawna przeprowadzono te reformy, ale uczyniono to stopniowo, w ciągu kilku dziesięcioleci.

Przeciętny Europejczyk na ogół wie mało o krajach południo-

wo-amerykańskich, a wiedza przeciętnego Polaka o Chile ogranicza się do paru truizmów o trzęsieniach ziemi, bogactwach mineralnych i o ważnej roli odegranej w Chile przez Ignacego Domeykę. Nagminna i karygodna skłonność do uogólniania sprawia, że dla przeciętnego Europejczyka wszystkie kraje łaćnińsko-amerykańskie są zacofane, półdzikie i nader skłonne do rewolucji pałacowych, przewrotów i dyktatur wojskowych.

W odniesieniu do Chile, uchodzącego słusznie za kraj „Anglików południowej Ameryki”, schemat powyższy jest całkowicie błędny. Ktokolwiek zada sobie nieco trudu, by zapoznać się z historią tego kraju, stwierdzi z niemałym zdumieniem, że prawie od zarania swej niepodległości Chile rządziło się ewoluującym stopniowo wielopartyjnym systemem demokratycznym; w ciągu 160 lat istnienia naliczyć tam można na palcach jednej ręki ilość gwałtownych przewrotów, przy czym jeden tylko z prezydentów został obalony, zaś żaden nie padł ofiarą zamachu. Takim rekordem praworządności mało krajów na świecie może się poszczycić.

Wedle wiarygodnych statystyk procent analfabetów w Chile należy do najniższych, a ilość studentów uniwersyteckich i konsumpcja książek *per capita* do najwyższych, w całej Ameryce łaćnińskiej.

Chociaż panuje tu system prezydencki, łączący funkcje głowy państwa z funkcjami premiera, władza prezydenta jest poważnie ograniczona uprawnieniami obu izb ustawodawczych, zdolnych storpedować każdą inicjatywę rządu. Parlamentaryzm ma w Chile solidną tradycję, a poziom debat, szczególnie w senacie, jest bardzo wysoki i świadczy o dobrym przygotowaniu i kulturze senatorów.

Wolność prasy chilijskiej jest tradycyjnie i praktycznie nieograniczona, a poziom gazet należy do najwyższych w Ameryce łaćnińskiej. Pewien dziwoląg tego kraju stanowi dziennik *La Nación*, będący *ex definitione*, statutowo, organem rządu, i to *każdego rządu*, gdyż z każdą zmianą prezydenta następuje zmiana naczelnego redaktora oraz redaktorów politycznych.

Kler chilijski odznacza się wyjątkową tolerancją i postawą na wskroś postępową. Tutejsze uniwersytety katolickie nie stosują od dawna żadnej dyskryminacji religijnej ani ideologicznej wobec profesorów i studentów, są natomiast od kilku lat ośrodkami prądów radykalnych.

Wojsko, choć zorganizowane i umundurowane na modłę niemiecką, jest instytucją apolityczną, czysto zawodową i w porównaniu z innymi krajami wyjątkowo skromną i dyskretną. Ten szczęśliwy kraj nie brał od stu lat udziału w żadnej wojnie, a w poprzednich zawsze wygrywał.

Widz tutejszej telewizji może co dzień prawie słuchać improwizowanych na gorąco polemik między trzema zazwyczaj, za każdym razem innymi przywódcami zwalczających się stronnictw, lub być świadkiem ostrych „przesłuchań”, którym dziennikarze

rozmaitych tendencji poddają ministrów czy polityków. Sprawia to, że najwyżsi dygnitarze są tu dla wszystkich postaciami że tak powiem namacalnymi, znanymi z bliska, i zupełnie pozbawionymi aureoli niedostępności i przesadnego autorytetu.

Dodajmy wreszcie, że w Chile nie tylko nie ma ksenofobii, ale cudzoziemiec, szczególnie Europejczyk, cieszy się na ogół większym zaufaniem i kredytem niż rodowity Chilijsczyk. Dzieje się tak zapewne dlatego, że cudzoziemcy (Anglicy, Niemcy, Hiszpanie, Amerykanie i Arabowie) przyczynili się najbardziej do uprzemysłowienia kraju i w porównaniu z leniwą, rozrzutną i zachowawczą pseudo-arystokracją obszarniczą stanowili element dynamiczny i postępowy.

Jak dotąd, wymieniałem same zalety. Zobaczmy teraz jak wyglądają „minusy” tego kraju.

A więc w pierwszym rzędzie duża zależność polityczna i gospodarcza od Stanów Zjednoczonych, które od lat ciągnęły z Chile zyski, grubo przekraczające poczynione tu inwestycje. Pożyczki i kredyty ze strony USA uwarunkowane były z reguły importem produktów amerykańskich, często znacznie droższych niż europejskie.

Po wtóre, bardzo niesprawiedliwy i chaotyczny podział dochodu narodowego. Kontrast między luksusem dość dużej grupy uprzywilejowanej a nędzą mas chłopskich, robotniczych a nawet niższych warstw biurokracji jest tu bez porównania większy niż na przykład w sąsiedniej, tradycyjnie autokratycznej Argentynie, nie mówiąc oczywiście o krajach europejskich. Aby dać wyobrażenie o niebywałej rozpiętości skali uposażeń wystarczy powiedzieć, że najniższe pobory funkcjonariusza państwowego są *dwa-dzieścia razy* niższe od najwyższych poborów, przysługujących ministrom, posłom i senatorom, przy czym skala ta została wprowadzona dopiero przez obecny rząd, gdyż poprzednio dysproporcja była jeszcze większa. W sferze inicjatywy prywatnej kontrast jest o wiele drastyczniejszy: najniższa dniówka robotnicza wynosi równowartość jednego dolara, podczas gdy gaże miesięczne niektórych dyrektorów przedsiębiorstw przekraczają trzy lub cztery tysiące dolarów. Dotychczasowy *establishment* był wyraźnie nastawiony na maksymalne przywileje dla obszarnika, przemysłowca, kupca i finansisty. System ten sprzyjał rozwojowi dość licznej klasy średniej, pozostawiając masy chłopskie i robotnicze w stanie „samowystarczalnej wegetacji”. W takich warunkach nie mógł wytworzyć się tu jakiś ogólny dobrobyt narodu, jak np. w Argentynie, gdzie skromne auto jest dostępne dla przeciętnego robotnika. Istnieją wprawdzie wyjątki. Np. górnik w kopalniach miedzi zarabia około 10 dolarów dziennie, ale górnicy stanowią zaledwie kilka procent pracującej ludności.

Chile posiada bardzo piękny (na papierze) system ubezpieczeń i świadczeń społecznych. Np. przedsiębiorca wpłaca z tego tytułu co miesiąc sumę odpowiadającą połowie poborów robotnika i urzędnika, ale płace są bardzo niskie a panująca tu od lat najwyższa na świecie inflacja dewaluuje po krótkim czasie na-

gromadzone w ten sposób fundusze. Robotnicy emerytowani wegetują na głodowych pensjach, wynoszących nie rzadko równowartość pięciu do dziesięciu dolarów. Natomiast wysocy urzędnicy państwowi, posłowie, senatorowie, bankowcy i inne grupy elitarne korzystają z przywilejów, chroniących ich emerytury od skutków dewaluacji.

Innym zjawiskiem wymagającym pilnego uzdrowienia jest chorobliwy przerost zatrudnień usługowych (w handlu, pośrednictwie, biurokracji, etc.) oraz rosnący i masowy napływ do miast biedoty wiejskiej, szukającej pracy w przemyśle, który nie jest w stanie większości zaabsorbować. Miasta chilijskie opasane są tysiącami *slums'ów*, zamieszkałych przez wegetującą ludność.

Duży przyrost naturalny, któremu nie towarzyszy odpowiedni rozwój przemysłu, powoduje rosnący deficyt mieszkaniowy, bezrobocie i, co gorsza, tak zwaną „ucieczkę mózgów”, czyli emigrację młodych lekarzy, inżynierów i techników, nie znajdujących w kraju zachęcających możliwości zarobkowych, i to mimo iż kraj potrzebuje obiektywnie jeszcze większej ilości specjalistów, niż ta jaką wypuszczają obecnie tutejsze uczelnie.

Przyczyną tego błędnego koła jest prawdopodobnie egoizm i krótkowzroczność tutejszej klasy posiadającej, która mimo kolosalnych bogactw naturalnych tego kraju, mogących zapewnić dobrobyt całej ludności, stworzyła fałszywą i nierealną hierarchię walorów społecznych, dającą dotychczas absolutny primat posiadaczom pieniędzy i środków produkcji. Opisana powyżej demokracja formalna jest prawdopodobnie też wynikiem krótkowzroczności tutejszej oligarchii, która reagowała zazwyczaj na presję „z dołu” ustępstwami bardziej politycznymi niż materialnymi, a kiedy musiała już iść na ustępstwa materialne, znajdowała w inflacji skuteczną receptę na neutralizację tych ustępstw.

Przypomnieć warto, że Chile od dawna przestało być krajem rolniczo-górnictwem, i że w ciągu ostatnich trzydziestu lat przekształciło się w kraj górniczo-przemysłowy. 70 % ludności żyje w miastach (około jedna trzecia w samej stolicy).

Ewolucja historyczna tutejszych stronnictw wykazuje na ogół dość regularny proces przesuwania się punktu ciężkości „z prawa na lewo”. Po długim okresie paternalistycznych rządów partii konserwatywnej i liberalnej zaczyna stopniowo, z końcem ubiegłego stulecia, wzrastać drobnomieszczańska i częściowo robotnicza Partia Radykalna, wzorowana na francuskiej, a więc zdecydowanie antyklerykalna i masoniska. Dochodzi ona wreszcie do władzy w roku 1938, dając krajowi trzech kolejnych prezydentów, pod których rządami kraj zaczął się szybko uprzemysławiać. Równocześnie zaczyna się wzrost dwóch partii: socjalistycznej oraz komunistycznej. Przypomnieć należy, iż właśnie w roku 1938 objął władzę w Chile rząd Frontu Ludowego o podobnym składzie jak obecny, z tą jednak różnicą, że trzonem koalicji była wówczas potężna Partia Radykalna, podczas gdy obecnie

obie partie marksistowskie stanowią w łonie Jedności Ludowej absolutną większość.

„Zużycie” i utrata popularności Partii Radykalnej po trzech kadencjach prezydenckich sprawiła, że w następnych wyborach (1952) zwyciężył stary ex-dyktator generał Ibañez. Wybrany głósami bezpartyjnej biedoty, „nierządził” przez sześć lat. Przywrócił wprawdzie legalność komunistom i dał prawa wyborcze kobietom, ale nie poprawił losu wyzyskiwanych, gdyż w gruncie rzeczy był ambitnym demagogiem, popieranym przez tutejszą oligarchię. Rozpętana inflacja (80 % w roku 1957), skandale finansowe i nepotyzm rządów Ibañeza przywróciły w następnych wyborach (1958) utracony prestiż tradycyjnym partiom, dając zwycięstwo koalicji centroprawicowej, popierającej Alessandriego. Człowiek uczciwy, bezpartyjny liberał z mentalnością postępowego przedsiębiorcy, zdołał on na dłuższy czas zahamować inflację i poprawić sytuację robotników i drobnych urzędników, czym zraził sobie swych własnych prawicowych popleczników, dla których polityka jego była zbyt „lewicowa”. Faktem jest, że podczas jego rządów strajki i inne konflikty społeczne były rzadkością. Zakończył swą kadencję rozgorączkowany i zdecydowany wycofać się definitywnie z działalności politycznej. Do następnych wyborów (1964) stawało trzech kandydatów: Frei, przywódca chadecji, popierany przez bezrolnych chłopów, część proletariatu, bardziej postępowy odłam przedsiębiorców i dużą część drobnej burżuazji; Allende — rzecznik lewicy marksistowskiej, oraz Duran, prawicowy radykał, popierany przez liberałów i konserwatystów. Kiedy na krótko przed wyborami wszystkie symptomy wskazywały na nieuchronny tryumf Allendego, Duran ustąpił, a jego wyborcy oddali swe głosy na Freia jako na „mniej-sze zło”. Dysponując więc absolutną większością głosów, Frei mógł sobie pozwolić przez sześć lat na gabinet złożony wyłącznie z chadeków. Trudno odmówić jego rządów niewątpliwych zasług dla kraju: zainicjował energiczną reformę rolną, uzyskał dla państwa 51 % udział w wielkich kopalniach miedzi, zezwolił na stworzenie chłopskich związków zawodowych, odnowił zerwane od dawna stosunki dyplomatyczne z Rosją, Polską i innymi demokracjami ludowymi, rozwinął szkolnictwo, etc. etc., ale mimo tych ważnych reform nie udało mu się zahamować inflacji ani zapobiec rosnącemu nadal kontrastom i konfliktom społecznym, których samo chadecja — sztuczny konglomerat normalnie przeciwstawnych interesów — była wiernym odzwierciedleniem. Dlatego zapewne walne zwycięstwo wyborcze Freia i jego partii, rokujące z początku nadzieje na ćwierćwiecze rządów chadecji, zmieniło się po zaledwie sześciu latach w klęskę jej kandydata na nowego prezydenta.

Do ostatnich wyborów (1970) stawało znowu trzech kandydatów: Dr Allende (po raz czwarty z rzędu), Alessandri, który dał się uprosić przez skruszoną prawicę, oraz Tomić z ramienia chadecji. Wygrał je Allende bardzo nieznaczną większością względną (36 %), wyprzedzając zaledwie o półtora procent Alessan-

driego. Tomic, którego program wyborczy miał dużo punktów zbieżnych z programem Jedności Ludowej, pozostał nieco w tyle (około 28 %).

Niedawno minęło dziesięć miesięcy od objęcia władzy przez Jedność Ludową. Probierzem sukcesu nowego reżymu był wynik kwietniowych wyborów do rad miejskich i gminnych, w których Jedność Ludowa uzyskała prawie 51 % głosów, chadecja około 26 %, zaś Partia Narodowa (powstała przed kilku laty przez połączenie liberałów i konserwatystów) około 20 %. Choć cyfry te są dość wymowne, warto zanalizować pobieżnie charakter poszczególnych stronnictw oraz wyniki uzyskane przez każde z nich w tych wyborach.

Największą bodaj ich niespodzianką był znaczny wzrost głosów oddanych na Partię socjalistyczną (22 %), która po raz pierwszy w swej historii wyprzedziła partię komunistyczną. Znaczący należy, iż partia socjalistyczna nigdy nie należała do 2-ej Międzynarodówki, ale — choć samookreśla się ona od niedawna jako „*marxista-leninista*”, nie należała też nigdy do trzeciej. Postulaty jej są bardziej radykalne od postulatów partii komunistycznej, od której różni się ponadto podkreśleniem swego charakteru nacjonalistycznego i regionalnego. Mimo kilkuletniego już sojuszu z komunistami, socjaliści potępili ostro inwazję Czechosłowacji, zachowują stanowisko raczej neutralne wobec konfliktu arabsko-izraelskiego i w ogóle tolerują na wewnątrz duży margines swobody przekonań. Nieoczekiwane zwycięstwo tej partii przypisuje się w dużej mierze osobistemu prestiżowi Allendego, któremu nawet najwięksi wrogowie przyznają format wielkiego męża stanu, szczerego demokraty i osobistą uczciwość, a częściowo nowym wyborcom, szczególnie młodzieży, dla której komuniści są zbyt konserwatywni, ugodowi i mało rewolucyjni.

Partia komunistyczna, która uzyskała tym razem około 17 % głosów, czyli praktycznie to samo co w poprzednich wyborach, jest bardziej monolityczna i lepiej zorganizowana niż socjaliści. Dzięki opisanej powyżej atmosferze i tradycjom demokratycznym kraju, przywódcy jej wykazują nadspodziewany umiar, realizm i giętkość, respektują system parlamentarny i — w odróżnieniu od wielu socjalistów — nie chcą „skracać etapów”. Do niedawna partia komunistyczna aprobowała w 100 % wszelkie pociągnięcia Rosji, ale na ostatnim XXIV kongresie w Moskwie jej delegat i generalny sekretarz, senator Corbalán, uplasował się w grupie włoskiej, rumuńskiej, hiszpańskiej i japońskiej.

Lewicowy odłam potężnej ongiś partii radykalnej stanowi trzecią z rzędu siłę Jedności Ludowej (8 %). Rekrutuje się ona głównie ze sfer drobnej burżuazji, nauczycieli, urzędników, etc., podczas gdy prawicowy jej odłam usamodzielniał się od ponad roku, głosował za Alessandrim i znajduje się obecnie w obozie opozycyjnym. Ostatnio, kilkunastu prorządowych posłów i senatorów radykalnych wystąpiło z partii na znak protestu przeciw zbyt radykalnej — wręcz marksistowskiej — postawie, zajętej

przez obecne kierownictwo. Ale idzie tu jedynie o spór wewnątrzpartyjny, gdyż wspomniana grupa pozostała w łonie Jedności Ludowej.

Pozostałe trzy stronnictwa uzupełniające Jedność Ludową są — na razie przynajmniej — bardzo małe. Dwa z nich mają charakter mieszczański, trzecie zaś „MAPU” — założone przed dwoma laty przez lewicowych secesjonistów z chadecji — przybrało ostatnio koloryt chrześcijańsko-marksistowski.

Chadecja, choć straciła w kwietniowych wyborach dużą ilość głosów, jest nadal najliczniejszą partią chilijską i dysponuje ponad jedną trzecią posłów. Mandat poselski trwa tu cztery lata, mandat senatorski osiem lat, zaś mandat prezydenta sześć lat. W rezultacie, wybory na prezydenta rzadko kiedy zbiegają się z wyborami do izb i każdy nowoobрани prezydent dziedziczy po swym poprzedniku obie izby w składzie, który zazwyczaj nie odpowiada bieżącym nastrojom kraju. Otóż faktem jest, że rząd Jedności Ludowej nie posiada większości w żadnej z obu izb i zdany jest na poparcie chadecji. Przyznać należy, iż opozycja chadecji wobec rządu była do niedawna raczej konstruktywna, ostatnio jednak uszywniła się bardzo co pociągnęło za sobą w sierpniu br. secesję kilkunastu lewicowych posłów chadecji, którzy stworzyli nowe stronnictwo *Izquierda Cristiana* (lewica chrześcijańska), popierające zdecydowanie obecny reżym.

Wspomniane powyżej przesunięcia — zarówno ze strony prorządowych radykałów jak ze strony ex-chadeków — można oczywiście komentować na wszelkie sposoby, ale wydaje mi się, są one zdrowym objawem instynktu, szukającego zachowania równowagi politycznej i uniknięcia niebezpieczeństwa zbytnej polaryzacji.

Ostatnią ostoją parlamentarną prawicy jest *Partido Nacional* (Partia Narodowa), broniąca prywatnej inicjatywy i zasadniczo wroga jakiegokolwiek etatyzacji. Tym niemniej wykazała ona nadspodziewaną trzeźwość (a może po prostu autentyczny patriotyzm?), głosując ostatnio jak jeden mąż za upaństwowieniem kopalń miedzi.

Trudno jest zbilansować bezstronnie dotychczasową działalność nowego rządu, gdyż wszystko jest tu jeszcze *in statu nascendi*. Procedura ustawodawcza jest tu bardzo powolna i większość punktów programu wyborczego nie nabrała jeszcze mocy prawnej. Niektóre projekty, jak np. stworzenie trybunałów ludowych o dość zresztą ograniczonych kompetencjach, zostały wycofane przez rząd, kiedy podczas dyskusji w parlamencie okazało się, że nie mają one szans na aprobatę większości. Tym niemniej, w sferze doraźnych pociągnięć faktem jest, że rządowi udało się dotychczas zahamować w dużym stopniu wzrost cen (około 12 % w pierwszych 8 miesiącach br. podczas gdy odnośny wskaźnik w ub. roku wynosił ponad 29 %). Dotychczas mianowicie, i od bardzo wielu lat, płace pracujących podwyższano z początkiem każdego roku w tej samej proporcji, jaką wykazywały oficjalne statystyki zwyczajki cen mieszkań, żywności, ubrań,

etc. za miniony rok. Ale równocześnie rządy poprzednie zezwalały od stycznia na nowe zwyczajki cen, które już w pierwszych paru miesiącach redukowały na nowo pozorne wyrównanie siły nabywczej pracujących. Nowy rząd nie tylko podwyższył płace najgorzej uposażonych (czyli grubej większości pracowników) o 5% ponad wskaźnik wzrostu cen za ub. rok (35%), ale zmusił przedsiębiorców do absorpcji tej różnicy ze swych zysków, zezwalając tylko w wyjątkowych i usprawiedliwionych wypadkach na podwyżki cen. Polityka ta zwiększyła oczywiście popyt, stwarzając znakomitą koniunkturę dla kupców. Ale nie wszystkie fabryki mogą nadążyć z dostawą znacznie zwiększonych zamówień. Niektóre sabotują z zasady nową politykę gospodarczą, inne, obawiając się wyłączenia, nie chcą inwestować nowych funduszy, potrzebnych do zwiększenia produkcji. Wyjaśnić należy, że choć program Jedności Ludowej przewiduje koegzystencję sektora uspołecznionego z sektorem prywatno-państwowym oraz czysto prywatnym, nie wyznacza on dokładnych rozgraniczeń między tymi trzema sektorami.

Panika jaka powstała tu bezpośrednio po wyborze Allendego w sferach przemysłowych, spowodowała zwiększenie bezrobocia, z którym rząd stara się uporać w drodze zatrudniania w masowej budowie tanich domów, robotach publicznych i zakładaniu nowych przemysłów. Ale równocześnie rząd napotyka na trudności ze strony swych własnych zwolenników. W przemówieniu pierwszomajowym, i kilku późniejszych, prezydent skrytykował ostro przesadne i często zupełnie nierealne żądania podwyżek, wysuwane przez niektóre sektory robotnicze, jak też zbyt pochopne i często niesprawiedliwe metody wyłączenia latyfundiów, stosowane przez funkcjonariuszy Reformy Rolnej. Reforma ta przewiduje w zasadzie wyłączenie posiadłości nawadnianych o powierzchni powyżej 80 hektarów, ale nie jest ściśle przestrzegana, a niecierpliwi bezrolni chłopcy okupują często na własną rękę znacznie mniejsze folwarki, stwarzając niepewność wśród innych rolników, gdyż władze lokalne tolerują na ogół tego rodzaju okupacje. Ponadto, dotychczasowe rezultaty Reformy Rolnej nie wykazują na razie podwyżki, ale raczej obniżkę produkcji rolnej. Allende zapowiedział już kilkakrotnie groźbę rychłych trudności z wyżywieniem kraju który i tak od lat importować musi coraz większe ilości zboża, mięsa, tłuszczów i innych artykułów żywnościowych. Jedyną receptą jest oczywiście zwiększenie produkcji we wszystkich dziedzinach. Dodajmy wreszcie, że w ostatnich miesiącach kraj nawiedzony został przez katastrofalne ulewy, niedługo potem przez trzęsienie ziemi, a ostatnio przez wybuch wulkaniczny na południu. Wszystkie te klęski pociągnęły za sobą straty mienia idące w setki milionów dolarów, nie mówiąc już o stratach w ludziach.

W sumie, choć sytuacja wewnętrzna nie jest idealna, stwierdzić należy, iż nie sprawdził się dotychczas żaden z czarnych horoskopów, przewidywanych na krótką metę przez tutejszą opozycję bezpośrednio przed wyborami i krótko po nich. Stan-

dart życia najuboższych uległ znacznej poprawie, handel na ogół prosperuje jak nigdy, większość fabryk zwiększyła produkcję, inflacja została wydatnie zahamowana i — co najważniejsze — wszystkie swobody demokratyczne są nadal w pełni przestrzegane. 60% dzienników o największym nakładzie znajduje się w rękach opozycji, która czyni pełny użytek, a nawet „nadużytek” z wolności prasy. Podobna sytuacja istnieje w rozgłośniach radiowych. Prezydent, któremu przysługuje prawo jednorazowego rozwiązania izb i ogłoszenia nowych wyborów (następne mają się odbyć dopiero w roku 1973), nie skorzystał dotychczas z tego przywileju.

Trudno na razie przewidzieć czy ciekawy eksperyment chilijski wytrzyma próbę życia, ale gdyby się powiodł, wpłynąłby niewątpliwie na przyszyły ustrój całej Ameryki Łacińskiej, której kraje prędzej czy później dożyją urzeczywistnienia ideałów Bolivara, pierwszego rzecznika integracji politycznej i gospodarczej tego olbrzymiego, młodego i pełnego możliwości kontynentu.

Marian RAWICZ

Wychodzący od 1932 roku

ZWIĄZKOWIEC

1475 Queen St. West, — Toronto 3, Ontario, Canada

jest jedynym pismem polonii ukazującym się dwa razy w tygodniu. Chcesz wiedzieć o Kanadzie, być dobrze poinformowanym o życiu Polonii, mieć bezstronne wiadomości i omówienia wydarzeń międzynarodowych, być w kontakcie z życiem Polaków na całym świecie i w dalekiej Ojczyźnie — czytaj i prenumeruj

PÓŁTYGODNIK „ZWIĄZKOWIEC”

W każdym numerze dwie powieści nowoczesnych pisarzy polskich, artykuły z dziedziny wiedzy, wiadomości, specjalnie redagowane działy: „SPORT” — „ZWIĄZKOWIEC DLA DZIECI” — „KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU”

Kraj

Proces przeciw książkom*

Odbywają się procesy polityczne, zapadają wyroki, prasa chwali mądrość wymiaru sprawiedliwości, ludzie zostają w więzieniach, ale na pytanie: „za co ich skazali?” bardzo często trudno jest znaleźć odpowiedź. Może właściwiej pytać: „po co ich skazali?”. Warto zdać sobie sprawę z sensu obydwu tych pytań. Skazać kogoś za coś — to udowodnić mu naruszenie konkretnego przepisu prawa, ale skazać kogoś za coś — to również wynaleźć jakikolwiek pretekst, aby ukarać działanie wpraw-

* Proces Macieja Kozłowskiego i innych odbył się przed Sądem Wojewódzkim dla m. st. Warszawy w dniach 9-24 lutego 1970. Składowi sędziowskiemu przewodniczył R. Bodecki, ławnikami byli M. Wojtowicz i A. Zabłotowicz. Oskarżali prokuratorzy M. Pancer i E. Górski. Na ławie oskarżonych znaleźli się: Maciej Kozłowski, Maria Tworkowska, Krzysztof Szymborski i Jakub Karpiński pod zarzutem popełnienia przestępstw z art. 5 mkk oraz Małgorzata Szpakowska pod zarzutem popełnienia przestępstwa z art. 23 mkk.

Prokuratorzy zażądali: dla Macieja Kozłowskiego — 5 lat, dla Marii Tworkowskiej — 4 lat, dla Krzysztofa Szymborskiego — 4 i pół roku, dla Jakuba Karpińskiego — 4 lat i dla Małgorzaty Szpakowskiej — 3 lat pozbawienia wolności. W związku z wejściem w życie nowego kodeksu karnego sąd w wyroku zmienił art. 5 mkk w stosunku do pierwszych czworga oskarżonych na art. 132 kk, zaś w stosunku do piątej oskarżonej zastosował dwa artykuły 270 § 1 i 273 § 1 kk. W porównaniu z żądaniami prokuratury sąd obniżył wyroki M. Kozłowskiemu i M. Tworkowskiej o pół roku, zaś K. Szymborskiemu — o rok. Wobec J. Karpińskiego i M. Szpakowskiej sąd wydał wyroki zgodne z żądaniami prokuratorskimi.

W imieniu oskarżonych obrońcy wnieśli rewizje. Obrońca J. Karpińskiego, mec. Szczuka i obrońca M. Szpakowskiej, mec. Ferfet wnieśli o uniewinnienie. Obrońcy pozostałych oskarżonych: M. Kozłowskiego — mec. Łojewski, M. Tworkowskiej — mec. Branicki i K. Szymborskiego — mec. Pocięj wnieśli o złagodzenie wymiaru kary. W dniu 28 kwietnia 1970 Sąd Najwyższy w składzie: Z. Neumann, S. Dąbrowski i R. Kryże przy udziale prokuratora Z. Młynarczyka — powyższe rewizje oddalił.

Na początku br. zostały zwolnione M. Szpakowska i M. Tworkowska, 19 czerwca J. Karpiński a w połowie września M. Kozłowski.

dzie legalne, lecz takie, które nie podoba się czynnikom decydującym o wyrokach. Skazać kogoś po coś — to dążyć do wywołania określonego efektu propagandowego, przy czym właściwe motywy, jakimi kierowano się przeznaczając pewne osoby do umieszczenia na ławie oskarżonych, mogą w ogóle nie być podane do wiadomości publicznej. W wywodzącej się od Andrieja Wyszynskiego i obowiązującej w okresie stalinowskim doktrynie prawnej przywiązywano ogromną wagę do tzw. wychowawczej roli prawa a miano przy tym na myśli zarówno oddziaływanie na społeczeństwo samych przepisów, jak i przede wszystkim sposobu ich wprowadzenia w życie. W stosowaniu prawa karnego cała sfera faktów, osoba i sytuacja oskarżonego, schodziły na drugi plan; najważniejsze okazywało się owo „oddziaływanie wychowawcze”, efekt polityczno-propagandowy. Trwałość poglądu, że proces karny robi się przede wszystkim „po coś”, widoczna była we wszystkich rozprawach politycznych po marcu 1968.

Proces polityczny, zanim się odbędzie, musi zostać odpowiednio przygotowany. W procesach pomarcowych wyraźnie zaznaczył się ogólny schemat tych przygotowań. Aresztuje się najpierw kilkadziesiąt osób, z których część zna się wzajemnie. Różnymi sposobami skłania się je do składania zeznań, bądź w roli podejrzanych, bądź w roli świadków. Przesłuchujący pytają o wszystko, kierują się zasadą: zbierajmy fakty, a nuż coś z tego wyniknie. Istnieje stara reguła: człowiek jest, paragraf się znajduje. Tu szuka się nie tyle paragrafu (jakiś artykuł kodeksu karnego przedstawia się podejrzanemu na początku śledztwa i jakiś przedstawi mu się na samym końcu), ile informacji, którą można by później wykorzystać propagandowo. Powstają całe tomy akt, skonstruowane jakby po to, żeby zagubić w nich ewentualnego czytelnika — sędziego lub adwokata. Ten chaos informacyjny usiłuje się następnie wtłoczyć w ramy jednego z kilku przepisów: okazuje się, że osoby podejrzane bądź zawiązały organizację, bądź rozpowszechniały wiadomości, bądź wchodziły z kimś w porozumienie (np. porozumiewały się między sobą).

Spośród osób osadzonych w areszcie umieszcza się na ławie oskarżonych tylko niektóre, przy czym kryteria selekcji nie muszą wcale wiązać się ze stroną faktyczną sprawy. Bierze się pod uwagę możliwość prezentowania pierwotnych współoskarżonych jako świadków na rozprawie. Bierze się także pod uwagę zachowanie w śledztwie: można zostać nagrodzonym nieobecnością na ławie oskarżonych lub ukaranym — obecnością. Co zresztą nie znaczy, by uległość w czasie śledztwa zawsze była premiowana; niekiedy jej nadmiar prowadzi na salę sądową w charakterze wzorowego oskarżonego — eksponenta tej prokuratury. Istnieją też względy kompozycyjne, które nakazują, by na ławie oskarżonych umieścić kogoś, kto reprezentować ma jakieś kategorie pozaprawne: społeczno-zawodowe lub niekiedy nawet związane z rozmaicie rozumianym pochodzeniem.

W związku z tzw. „procesem taterników” pisano w prasie bardzo dużo, trudno jednak było się zorientować, co właściwie robili oskarżeni. Wiadomo, że niektórzy z nich wieźli do Polski wydrukowane po polsku książki. Wiadomo, że niektórzy świadkowie znajdowali książki w Tatrach i przywozili je do Warszawy lub Leśnej Podkowy. Wiadomo, że ktoś coś pisał w marcu. Wiadomo, że ktoś zbierał marcowe rezolucje i ulotki. Przed procesem ukazały się w Paryżu dwa zbiory dokumentów: „Wydarzenia marcowe 1968” i „Polskie przedwieśnie”; nie bardzo wiadomo, jaką drogą dotarły do Francji teksty tam opublikowane, wiadomo jednak, że szereg egzemplarzy tych książek Maciej Kozłowski starał się przywieźć do Polski. Wiadomo też, że przy współudziale czechosłowackich studentów powielono w Pradze „Biuletyn niecenzurowany”. Biuletyn ten nie został ocenizowany, ale został zarekwirowany. Skutecznie przeciwstawiono się temu, by jedni mogli przeczytać to, co napisali inni. To przeciwstawianie się było myślą przewodnią całego procesu.

Za co skazano „taterników”? Przestępstwa nikomu z nich nie udowodniono, choć niektórym wmówiono, iż byli winni popełnienia bliżej nieokreślonych czynów. Zastosowany wobec pierwszych czworga oskarżonych art. 5 mkk (późniejszy art. 132 kk) nakłada na sąd obowiązek dowodu, iż oskarżonym przyswieceł cel działania na szkodę Państwa Polskiego; jednak takiego celu nikt z oskarżonych sobie nie przypisywał ani żaden ze świadków ich o to nie pomawiał; zresztą pomysł, by przez pisanie artykułów i przywożenie książek można było zaszkodzić Państwu Polskiemu jest absurdalny. Piątej oskarżonej zarzucono „Iżenie, wyszydzenie lub poniżenie ustroju” (art. 270 §1 kk, stanowiący modyfikację dawnego art. 23 mkk); żaden sąd nie wskazał jednak, gdzie i w jakich wypowiedziach owo „Iżenie, wyszydzenie lub poniżenie ustroju” miałoby występować.

Przestępstwa im nie udowodniono. Ale celem procesu politycznego nie jest beznamienne dochodzenie prawdy. Obok funkcji propagandowo-politycznych, o których jeszcze będzie mowa, proces taki bywa dyktowany chęcią zemsty. Władze skazują nie za przestępstwa, lecz za czyny lub poglądy, które niezgodne są z ich interesami.

Na ławie oskarżonych znalazły się bardzo różne osoby. Na procesie mówiło się o bardzo różnych rzeczach. Czy coś łączyło oskarżonych? Nawet nie wszyscy znali się między sobą. Jakub Karpiński i Małgorzata Szpakowska mieli najpierw sprawy prowadzone osobno. Krzysztofa Szymborskiego też nie od razu dołączono do aresztowanych w końcu maja 1969 na terenie Czechosłowacji Macieja Kozłowskiego i Marii Tworzkowskiej. Karpińskiego uwięziono jeszcze w maju 1968 roku, pod zarzutem organizowania w marcu i kwietniu tego roku bliżej nieokreślonych zgromadzeń na terenie uczelni warszawskich. Później go wypuszczono i w końcu maja 1969 aresztowano ponownie pod tym samym zarzutem. Małgorzatę Szpakowską aresztowano w końcu marca 1969 i przyłączono ją do sprawy czterech uwięzionych

w lutym 1969 pracowników naukowych (tzw. sprawa chemików). Potem przez pewien czas sprawę Karpińskiego i Szpakowskiej prowadzono razem, a w przeddzień zamknięcia śledztwa dołączono ich do sprawy Kozłowskiego, Tworzkowskiej i Szymborskiego. Karpińskiemu zaliczono do wyroku areszt odbywany w 1968 roku pod wspomnianym zarzutem organizowania zgromadzeń, co z artykułem — z jakiego go ostatecznie skazano — nie miało w ogóle nic wspólnego. Jakies czyny pozostałych oskarżonych, choć nie były przestępstwami, zostały przed sądem ujawnione. O Karpińskim wiadomo najmniej. Być może skazano go za to, czego sądowi nie udało się o nim dowiedzieć. Proces miał za zachowanie w śledztwie, a wyrok za postawę na procesie.

Mimo wszystko jest coś, co nie ulega wątpliwości. Spośród oskarżonych jedni mniej, drudzy więcej, jedni tak, że o tym dość dużo wiadomo, inni tak, że wiadomo o tym niewiele, prawie wszyscy jednak zajmowali się pisaniem. Maciej Kozłowski był członkiem Klubu Wysokogórskiego i znanym alpinistą, inni taternictwo praktykowali umiarkowanie lub wcale, natomiast wszyscy, prócz przebywającej długo poza krajem M. Tworzkowskiej, pisali i drukowali. Małgorzata Szpakowska jest absolwentką filologii polskiej i filozofii; obok pracy naukowej zajmowała się eseistyką i krytyką literacką. Jakub Karpiński, ukończył filozofię i socjologię, publikował artykuły z dziedziny metodologii nauk społecznych. Maciej Kozłowski po skończeniu archeologii studiował i uprawiał dziennikarstwo. Absolwent fizyki, Krzysztof Szymborski, prowadził prace z zakresu biofizyki i tłumaczył angielskie teksty naukowe. W czasie procesu Maciejowi Kozłowskiemu poza przygotowaniem „Biuletyniu niecenzurowanego” zarzucano również pisanie artykułów dotyczących wydarzeń w Czechosłowacji (m.in. „Pokolenie Jana Palacha”); Krzysztof Szymborski według własnych wyjaśnień był autorem lub współautorem szeregu tekstów kursujących w marcu 1968; Małgorzatę Szpakowską oskarżono o napisanie kilku opracowań teoretycznych związanych z wydarzeniami marcowymi (m.in. „Systemu jednopartyjnego w Polsce”); według prasy Jakub Karpiński był współautorem niektórych tekstów uchwalanych na wiecach studenckich w marcu 1968 roku, na procesie twierdzono także, że polemizował z Z. Baumanem.

Był to proces ludzi związanych nie tyle z *Kulturą*, co z kulturą. Proces, w którym na ławie oskarżonych znalazło się kilkoro spośród bardzo wielu piszących i czytających. Proces, jak powiedział w sądzie Karpiński, przeciwko książkom i przeciwko słowu.

Skazano ich więc za słowa. Za teoretyczne opracowania, za reportaże, za publicystykę. A także, jak można przypuszczać, za to, że w Paryżu wydano wspomniane dwie książki, zawierające dokumentację wydarzeń marcowych. Jaką rolę w ukazaniu się owych książek odegrali oskarżeni — nie zostało ostatecznie ustalone; niewątpliwie jednak fakt opublikowania dokumentów marcowych był jedną z przyczyn, dla których proces zorganizowano.

Podczas gdy Anglia przechodzi na system dziesiętny, w Polsce wprowadza się dziesiętny kalendarz: nie było października i nie było marca. Tak przynajmniej twierdzą niektórzy towarzysze. Inni towarzysze pamiętają, że w marcu partia dała odpór komu należy i z kim należy się rozprawiła. Ci ostatni chcieliby najprawdopodobniej nadal dawać odpór i nadal się rozprawić; pierwsi natomiast nie chcą podnosić drażliwych spraw i wewnątrzpartyjnych ran rozjątrzać. Owo odsuwanie w niepamięć wydarzeń, których znaczenie społeczne jest nie do zanegowania, ale które zarazem były świadectwem rozbieżności wewnątrzpartyjnych, stanowi regułę. Zależnie od potrzeby albo wydarzeń owych nie było, albo nie wiadomo na czym polegały, dzięki czemu mogą one pozostać całkowicie amorficznym materiałem przetargowym.

Opublikowanie dokumentów marcowych nie było władzom na rękę. Zawarte w dwóch tomach teksty stanowią pewien konkret, którym nie da się dowolnie manipulować. Teksty te są także świadectwem, że marzec to nie tylko sprawa wewnątrzpartyjna, lecz również ruch społeczny, którego cele i diagnozy zostały utrwalone. Oficjalna rezygnacja z istnienia miesiąca marca spowodowała jednak, że nawet w akcie oskarżenia i w uzasadnieniu wyroku nie postawiono sprawy jasno. Zamierzenia organizatorów procesu były wielorakie. Proces wytoczony w znacznej mierze o marzec — określono enigmatycznie jako „proces taterników”, lub zgodnie z niektórymi intencjami organizatorów — jako proces przeciw *Kulturze* paryskiej.

Prawie wszyscy oskarżeni, i także niektórzy świadkowie, mówili o tym, że wydarzenia marcowe były ważnym momentem w ich biografii; jeżeli mówili o jakichś swoich poczynaniach, to często widzieli ich źródła w tamtym okresie. Oto za co był proces. Kilka słów o tym, po co go zorganizowano.

Wedle zarzutów sformułowanych w akcie oskarżenia — pierwszych czworo oskarżonych „wchodziło w porozumienie”. Piąta oskarżona, Małgorzata Szpakowska, miała „rozpowszechnić wiadomości” i nie zarzucano jej, by się z kimś porozumiewała. Porozumienie pierwszych czworga oskarżonych miało się odbywać z kimś „występującym w imieniu obcej organizacji” i nastąpić „w celu działania na szkodę Państwa Polskiego”. Z początku niełatwo było się zorientować, o jaką to „obcą organizację” chodzi. Za występującego wobec pierwszych trojga oskarżonych przedstawiciela owej „obcej organizacji” uznano Jerzego Giedroycia, zaś wobec Jakuba Karpińskiego na takiego przedstawiciela wybrano współoskarżonego w tym samym procesie Krzysztofa Szymborskiego. Komentarze prasowe wskazały później, że tą obcą organizacją miałby być istniejący w Paryżu Instytut Literacki — wydawnictwo prowadzone przez Jerzego Giedroycia. O Jerzym Giedroyciu dużo mówił — powołując się na niejakię T. Mateję — biegły Kolczyński. Jaką rolę w Instytucie Literackim pełni biofizyk Szymborski, tego żaden biegły nie powiedział. Władysław Machejek tytułował swoje refleksje: „Proces przeciw Giedroyciowi” (pisownia W. Machejka). Trudno po-

wiedzieć, by nawet pierwszym trojgu oskarżonym udowodniono jakiś bliższy związek z Jerzym Giedroyciem. Maciej Kozłowski, Maria Tworkowska i Krzysztof Szymborski mówili, że Giedroycia znali i że z nim rozmawiali. Wiadomo też, że Giedroyc wysłał do Tworkowskiej list zawierający opinie i sugestie, mogące się przydać Maciejowi Kozłowskiemu w jego dziennikarskiej podróży do Czechosłowacji. List ten również częściowo dotyczył spraw redakcyjnych. Sąd zamiast zajmować się oskarżonymi — zajął się głównie tym listem. Prasa tak samo. Występujący na procesie J. Kolczyński utrzymywał w niektórych swoich wypowiedziach, że Instytut Literacki, to właściwie jedynie redaktor Giedroyc. Mielibyśmy zatem do czynienia z organizacją jednoosobową, z którą istotnie Jerzy Giedroyc ma coś wspólnego. Czy ktoś poza nim i czy w szczególności ktoś z oskarżonych miał coś wspólnego z Instytutem Literackim, tego ostatecznie nie ustalono, natomiast starano się to zasugerować, aby w pewnym momencie działalność oskarżonych w ogóle pominąć i przejść do powtarzania za dr. Kolczyńskim rozmaitych rewelacji na temat Instytutu Literackiego. Kiedy organizatorzy procesu pisali akt oskarżenia i wyroki, wyraźnie nie dbali o to, by ustalić, jak się rzecz miała z oskarżonymi, ale o to, by wszelkimi możliwymi środkami skompromitować Instytut Literacki. Taki był cel propagandowy procesu i taki powód, dla którego zdecydowano się wobec pierwszych czworga oskarżonych zastosować właśnie art. 5 mkk (później 132 kk), nie zaś jakikolwiek inny.

Instytut Literacki i jego wydawnictwa są solą w oku niektórych czynników odpowiedzialnych za politykę kulturalną w Polsce. Miesięcznik *Kultura* i Biblioteka „Kultury” są — jak wspomniany już „Biuletyn” — niecenzurowane. Może największą zasługą *Kultury* jest to, że mogły się w ogóle ukazywać dzieła Witolda Gombrowicza, że mieli gdzie drukować Czesław Miłosz, Kazimierz Wierzyński, Gustaw Herling-Grudziński. Pisma Pasternaka, Siniawskiego, Daniela, Sołżenicyna — polskim czytelnikom udostępniła właśnie *Kultura*. Jerzy Andrejewski, nie mogąc tego uczynić w kraju, tam właśnie opublikował „Apelację”. W Polsce nie zezwolono na wydanie niektórych artykułów Stawara czy wierszy Broniewskiego — ogłosił je Instytut Literacki. Nawet jeśli ktoś chce czytać Różę Luksemburg, Chruszczowa lub Władysława Gomułkę, to niektóre ich utwory znaleźć może jedynie wśród wydawnictw *Kultury*. *Kultura* publikuje „Zeszyty Historyczne”, ważne źródło do badań nad historią najnowszą. W serii „Dokumenty” ukazują się teksty rzucające światło na współczesne wydarzenia w państwach obozu socjalistycznego; między innymi opublikowano tam „List otwarty do partii” Kuronia i Modzelewskiego, oświadczenia episkopatu polskiego, ostatnie prace jednego ze współzałożycieli PPR — Władysława Bienkowskiego.

Autorzy mieszkający w Polsce czasem drukują w *Kulturze* pod własnym nazwiskiem, czasem nie. W każdym razie książki

i artykuły polskich pisarzy z kraju i emigracji, a także pisarzy rosyjskich i ukraińskich, ukazują się właśnie tam. I temu chciano by przeszkodzić. W procesie tzw. taterników chodziło o to, by rozprawić się z oskarżonymi, by przedstawić w jak najgorszym świetle Jerzego Giedroycia, i przede wszystkim o to, by przestraszyć ludzi piszących i czytelników. Może to jak na jeden proces trochę za dużo. Dlatego też słyszy się, że proces „nie wyszedł”.

Oto o *Kulturze* dowiedzieli się ludzie, którzy przedtem o niej nie słyszeli. Lęk przed książkami i artykułami nie najlepiej świadczył o inscenizatorach procesu. Zaczęło się wielką wrzawą, którą wkrótce przyciszono. Proces był pokazowy, ale tajny: na ogromnej sali siedzieli prawie wyłącznie funkcjonariusze. Zaangażowano telewizję i kronikę filmową, po to tylko, by wykonane zdjęcia i nagrania skrzętnie poukrywać w szafach pancernych. Albo oskarżeni nie zachowali się tak, jak się spodziewano, albo też władze zmieniły koncepcję. Może zawiął bałagan, a może kto inny decydował o początku, a kto inny o końcu sprawy.

Wyrok w tej sprawie zapadł wbrew przepisom kodeksu karnego i kodeksu postępowania karnego. O zasadniczych dla postępowania elementach czynu orzekano bezpodstawnie (naruszenie art. 1 kk i wszystkie te artykuły kodeksu karnego, z których oskarżonych skazano). Zakładano okoliczności i fakty inne niż ujawnione na rozprawie, a nawet z ujawnionymi sprzeczne (naruszenie art. 157 kpk). Nie wskazywano dowodów, na których orzeczenie się opierało, ani tego, dlaczego nie uznano dowodów przeciwnych (naruszenie art. 372 §1 ust. 1 kpk). Nie uwzględniono okoliczności przemawiających na korzyść oskarżonych, a wątpliwości rozstrzygano na ich niekorzyść (naruszenie art. 3 kpk). Wyrokiem w tej sprawie uznano instytucję polską za organizację obcą. Dopuszczono możliwość istnienia organizacji jednoosobowej. Dopuszczono możliwość orzekania o rzekomym celu działania oskarżonych wbrew wyraźnym ich oświadczeniom i wbrew dowodom. W uzasadnieniu wyroku umieszczono przekręcone cytaty, zeznania i wyjaśnienia i podawano wypowiedzi nieistniejące w aktach sprawy. Orzekano o treści niezidentyfikowanych tekstów. Stwierdzono, że przypisywanie socjalizmowi możliwości posiadania ludzkiej twarzy, to demagogiczne slogany. Uznano, że diagnoza i krytyka ujemnych stron życia społecznego, to „lżenie, poniżanie lub wyszydzanie ustroju”. Uznano także, co dla wszystkich piszących jest nader niebezpieczne, że maszynopis to „druk lub inny środek masowej informacji” (w związku z tym w przypadku Małgorzaty Szpakowskiej zastosowano art. 273 §1 kk).

Sąd Najwyższy utrzymał w mocy wyrok Sądu Wojewódzkiego mimo dokonanej przez Sąd Wojewódzki obraby przepisów prawa i mimo błędów w ustaleniach faktycznych (naruszono tym samym, prócz wspomnianych już przepisów, jeszcze art. 387 kpk). W dotychczasowych procesach politycznych również karano wbrew ustaleniom faktycznym, ale po październiku 1956

wyrok mieścił się zwykle w dolnej granicy ustawowego wymiaru kary. Gdy chodziło o paryską *Kulturę* (np. proces Hanny Rewskiej, Hanny Rudzińskiej i proces Stanisława Cata-Mackiewicza) — i również w innych przypadkach — nie stosowano art. 5 mkk. Standartowym wyrokiem były 3 lata z art. 23 mkk. Tu zastosowano art. 5 mkk. Na podstawie artykułu 132, który w nowym kodeksie temu artykułowi odpowiada, można wymierzyć karę do 5 lat więzienia. Wyroki padły blisko górnej granicy.

Do historii wymiaru sprawiedliwości przejdzie zapewne lista książek, które zaliczono do materiału dowodowego: z serii „Dokumenty” — „Wydarzenia marcowe 1968” i „Polskie przedwiośnie”, „Program Związku Komunistów Jugosławii”, „Rozmyślenia” Sacharowa, „Raporty” Eugeniusza Reale, dokumenty z Węgier i Ukrainy, „Klub Krzywego Koła” Jedlickiego; „Zeszyty historyczne”, „Wybór pism” Simone Weil i „Politykę i rzeczywistość” Jeanne Hersch, „Ewolucjonizm” i „Polityczne neurozy” Mieroszewskiego, „Kufer na plecach” i „Czarny polonez” Wierzyńskiego, „Pornografię” Gombrowicza, „Apelację” Andrzejewskiego, „Wszyscy byli odwrócenii” Marka Hłaski, „Widziane z góry” Tomasza Stalińskiego, powieść Tyrmanda „Życie towarzyskie i uczuciowe”, dwie powieści Piotra Guzega „Krótki żywot bohatera pozytywnego” i „Stan wyjątkowy”, „Polskę mało znaną” J. Fleminga oraz wydane w serii „Archiwum rewolucji”: „Fragmenty wspomnień”, Koestlera, „Tematy rosyjskie” Mihajlova, „Wielką czystkę” Weissberga-Cybulskiego, prace Borysa Lewickiego „Polityka narodowościowa w ZSSR” i „Terror i rewolucja”. Do materiału dowodowego zaliczono również kilkanaście numerów *Kultury* (w tym numer w języku czeskim) oraz wydany nie przez Instytut Literacki zbiór pt. „Demokracja a ideał społeczny”.

(Artykuł nadesłany z Kraju)

A N E K S Y

Jakub KARPIŃSKI

WYJAŚNIENIA ZŁOŻONE PRZED SĄDEM W DNIU 13 LUTEGO 1970

Chciałbym ustosunkować się do przedstawionego mi zarzutu. Zarzut z art. 5 mkk zapowiadany mi był w śledztwie już w czerwcu. Wówczas traktowałem to jako swojego rodzaju manewr Prokuratury. Sądziłem mianowicie, że Prokuratura zmierza do tego, abym zaczął dowodzić swojej niewinności. Następnie zarzut z tego artykułu przedstawiono mi dwukrotnie w dwóch wersjach, w lipcu i w październiku zeszłego roku. Do winy się nie przyznałem, co dwukrotnie zostało zaprotokołowane. Można to znaleźć na odpowiednich kartach w materiale sprawy. Akt oskarżenia na str. 69 mówi o stosunku oskarżonych do zarzutów, lecz fakt mojego nieprzyznania się do winy został pominięty. Dlatego pozwałam sobie o tym przypomnieć w tej chwili.

Brzmienie zarzutu na str. 5 aktu oskarżenia nie było mi komunikowane dotychczas. Nie przyznałem się do winy z art. 5 mkk, kiedy zarzut był mi

przedstawiony w brzmieniu ogólnym w lipcu. Rzecz prosta, nie przyznaje się również do winy, gdy został mi on przedstawiony w jego obecnym brzmieniu szczegółowym.

W śledztwie przesłuchujący podkreślali, że zarzut w stosunku do mnie jest, jak się wyrażali, sprawą dyskusyjną, że może to być art. 5 mkk, a może to być art. 23 tegoż kodeksu. Wyrażali tym samym jakieś niezdecydowanie. Ślady tego niezdecydowania zawierają wszystkie trzy przedstawione mi kolejno wersje zarzutu z art. 5 mkk. Sprawiają one mianowicie wrażenie, jakby art. 5 był tu podpierany resztkami art. 23. Wyjaśnię, na czym to polega. Zarzut z art. 5 przedstawiony mi w październiku 1969 mówił między innymi o tekstach „zawierających fałszywe wiadomości” i „mogących wyrządzić istotną szkodę interesom PRL”. Sformułowanie to przypomina art. 23, tyle że nie zarzucano mi wówczas rozpowszechniania. Oczywiście żadnych fałszywych wiadomości nie rozpowszechniałem. Wątpię też, żeby jakiegokolwiek teksty mogły wyrządzić szkodę interesom PRL. I to szkodę istotną, jak głosi art. 23 mkk, albo poważną, jak głosi art. 271 nowego kk. Prokuratura występując z zarzutem z art. 23 mkk stwierdza tym samym, że uważa Państwo Polskie za tak słabe, że takie a takie teksty mogą wyrządzić istotną szkodę temu państwu. Tego typu pogląd prokuratorski na słabość Państwa Polskiego wymaga oczywiście dowodu. Sądząc, że Prokuraturze byłoby bardzo trudno taki dowód dostarczyć.

To, co nazwałem resztkami artykułu 23 — mieści się w dwóch ostatnich punktach zarzutu przeciwko mnie, na str. 5 aktu oskarżenia. Nie ma tu już mowy o „fałszywych wiadomościach”, ani o tym, aby mogły one komukolwiek, a tym bardziej Państwu Polskiemu wyrządzić istotną szkodę. Mówi się natomiast o „treści szkalującej władze i ustrój PRL” oraz o „wrogich ustrojowi PRL publikacjach”. Rozpatrywanie treści jakiegokolwiek tekstów nie wiąże się oczywiście z zarzutem z art. 5 mkk. Artykuł ten o tekstach nie traktuje. Artykuł ten mówi o wejściu w porozumienie z osobą działającą w interesie obcego rządu lub obcej organizacji w celu działania na szkodę PRL. Mimo to powiem na temat tekstów kilka słów. Mianowicie w aktach sprawy znajduje się jeden tekst, o którym Krzysztof Szymborski twierdzi, że go ode mnie otrzymał, a ktoś drugi to uprawdopodobnia. Ten tekst, to jest polemika z Baumanem. Istnieje drugi tekst, o którym tylko Krzysztof Szymborski twierdzi, że go ode mnie otrzymał. Jest to wiersz. Tego, by teksty te miały „treść szkalującą władze i ustrój PRL” Prokuratura w uzasadnieniu aktu oskarżenia nie dowodzi.

W końcowej części zarzutu przeciwko mnie mówi się o „przyjmowaniu szeregu nadesłanych do Polski w celu dalszego rozpowszechniania publikacji”. Ze względu na konstrukcję zdania nie wiadomo tutaj, czy publikacje były nadesłane do Polski w celu dalszego rozpowszechniania, czy też ja miałem je w celu dalszego rozpowszechniania przyjmować. Jednak zarówno w uzasadnieniu aktu oskarżenia jak i w aktach sprawy brak jest podstaw, by stwierdzić, że jakiegokolwiek książki przyjmowałem w celu dalszego rozpowszechniania. Nikt ze świadków, którzy o tym mówią, celu rozpowszechniania mi nie przypisuje. A oczywiście, gdyby to nawet czynili, to od rozpowszechniania książek do „fałszywych wiadomości” i do „możliwości wyrządzenia istotnej szkody interesom Państwa Polskiego” — jest jeszcze bardzo daleko.

Takie oto są racje, dla których nie przyznałbym się do winy z art. 23 mkk, gdyby ktoś mi taki zarzut przedstawił. Takiego zarzutu mi nie przedstawiono. Przedstawiono mi zarzut z art. 5 mkk.

Chciałbym najpierw powiedzieć kilka słów o art. 5 mkk, o wymaganiach, które nakłada on na czyny, które miałyby być tym artykułem objęte. Artykuł ten stawia mianowicie nie tyle jakie wymagania co do celu działania sprawcy. Tym celem ma być działanie na szkodę Państwa Pol-

skiego. W niniejszej sprawie jest mowa o licznych książkach i kilku artykułach. Zestawmy te dwie rzeczy. Prokuratura zakłada, że książki i artykuły mogłyby wyrządzić szkodę Państwu Polskiemu. Jednak w świetle siły Państwa Polskiego teza prokuratorska, że książki i artykuły mogłyby ową szkodę wyrządzić, jest fałszywa. Jestem przeto zmuszony stwierdzić, że głosząc taką tezę Prokuratura rozpowszechniały fałszywe wiadomości, mogące obniżyć powagę jej autorytetu. Nie znaczy to, bym twierdził, że Prokuratura popełnia tu przestępstwo z art. 23 mkk. Przed takim zarzutem jestem gotów Prokuraturę bronić.

Jeszcze kilka słów o wymaganiach stawianych przez art. 5 mkk. Mianowicie artykuł ten stawia nie tyle jakie wymagania co do pozycji społecznej sprawcy. Jeśli ktoś chciałby nawet działać na szkodę Państwa Polskiego, to nie może tego czynić z dowolnej pozycji społecznej. Pozycja zwykłego obywatela jest na to zbyt mizerna. Aby wchodzić w porozumienie na szkodę Państwa Polskiego, należałoby najpierw wejść w skład zespołu wydającego decyzje państwowe i na przykład zawierać w porozumieniu z obcym rządem lub obcą organizacją niekorzystne dla Polski umowy gospodarcze, albo uwikłać Państwo Polskie w niekorzystne dlań akcje militarne. Z pozycji zwykłego obywatela niesposób czegoś takiego czynić.

Przedstawiłem te wymagania w pewnym celu: z tego, co powiedziałem, chciałbym wysnuć pewien wniosek. Prokuratura wysunęła sugestię, że działanie na szkodę Państwa Polskiego przy pomocy książek i artykułów miało być celem wchodzenia przez oskarżonych w porozumienie. Celu takiego, o ile mi wiadomo, nikt z oskarżonych sobie nie przypisuje, to znaczy celu działania na szkodę Państwa Polskiego. Cel ten został wydedukowany przez Prokuraturę. Otóż wniosek z powyższych stwierdzeń jest taki, że jeśli by ten cel dedukować ze środków, to byłaby to dedukcja bezzasadna.

Zajmę się teraz dokładniej poszczególnymi fragmentami zarzutu. Art. 5 mkk wymaga, aby osoba, z którą wchodzi się w porozumienie, działała w interesie obcego rządu lub obcej organizacji. Jednak to zarzucane mi wejście w porozumienie z kimkolwiek, jak głosi zarzut, „działającym na rzecz obcej organizacji” jest w uzasadnieniu aktu oskarżenia nieargumentowane.

Jeśli idzie o Krzysztofa Szymborskiego lub jakieś inne osoby, o których jest mowa w uzasadnieniu aktu oskarżenia w związku z mną, to uważam, że jest wykluczone, aby ktokolwiek z nich działał w interesie obcej organizacji. Jest ponadto zupełnie niewątpliwe, że ani Krzysztof Szymborski, ani jakieś „inne osoby” swego działania na rzecz obcej organizacji nie dawały mi w żaden sposób do poznania. O swoim działaniu na rzecz obcej organizacji nikt mi nie mówił, ani też nie dawał mi tego do zrozumienia.

W art. 5 mkk mówi się o przestępstwie celowym. Tym celem ma być szkoda Państwa Polskiego. Przypisanie mi w zarzucie szkody Państwa Polskiego jako celu działania jest gołosłowne i niczym nie usprawiedliwione. Poprzednio mówiłem o nieracjonalności środków, o których mówi akt oskarżenia, jeśli by miały one do tego celu prowadzić. Są to książki i artykuły. Obecnie oświadczam, że działanie na szkodę Państwa Polskiego nie było nigdy moim celem i znając moje poglądy wykluczam, aby taki cel mógł mi kiedykolwiek przyświecać. Zauważę tylko, że poza kolejnymi prokuratorami, którzy przedstawiali mi zarzuty z art. 5 mkk, nikt mi dotąd takiego celu nie odważył się przypisać.

W kolejnej części zarzutu można przeczytać przymiotniki „imperialistyczny” i „dywersyjny”, można także znaleźć rzeczowniki „szkalowanie” i „podważanie”, uwikłane w pewną dość zawiłą konstrukcję. Okazuje się jednak, że ta najobszerniejsza część zarzutu jest poświęcona Jerzemu Giedroycowi. Zarzut, skierowany niby przeciwko mnie, mówi o „działalności kierowanego przez Jerzego Giedroycia Instytutu Literackiego w Paryżu” i

powiada, że ta działalność jest „ideologicznie dywersyjna”, „inspirowana przez imperialistyczne ośrodki”, „zmierzająca przez szkalowanie ustroju i naczelnych organów PRL do stopniowego podważania socjalistycznych zasad ustrojowych”. I tyle tam jest o Instytucie Literackim, o Jerzym Giedroyciu. Mnie się wydaje, że byłoby dobrze zdecydować się, czy pisze się zarzuty przeciwko Maciejowi Kozłowskiemu, Marii Tworckowskiej, Krzysztofowi Szymborskiemu i Jakubowi Karpińskiemu, czy też przeciwko Jerzemu Giedroyciowi.

To, jaki jest charakter poczynań Instytutu Literackiego, to, czy ten Instytut jest przez coś czy kogoś inspirowany, to, do czego ten Instytut ewentualnie zmierza — to wszystko są zagadnienia być może dla kogoś interesujące. Wiadomo mi na przykład, że dr Kolczyński pracuje publicystycznie i krytycznie nad tymi zagadnieniami od pewnego czasu. Ale dopiero gdyby Prokuratura zdecydowała się wytoczyć sprawę karną przeciwko Jerzemu Giedroyciowi, do czego ja bynajmniej nie namawiam, chociaż jestem ciekaw, z jakiego artykułu by tę sprawę wytoczono — dopiero wtedy, w tym samym zarzucie, mogłoby się ewentualnie znaleźć to o Jerzym Giedroyciu i Instytucie Literackim, co znalazło się w zarzucie przeciwko mnie. Dziwiłbym się również, gdyby w środku zarzutu przeciwko mnie umieszczono zarzut przeciwko Krzysztofowi Szymborskiemu. Powiedzmy jednak, że Prokuratura mogłaby ten nieporządek usprawiedliwić tym, że zarzucam mi wejście w porozumienie z Krzysztofem Szymborskim. Ale wejścia w porozumienie z Jerzym Giedroyciem nikt mi nie zarzuca. Powstaje pytanie, skąd się wziął Giedroyc? O ile dobrze rozumiem, to Prokuratura konstruuje tutaj swoiste przestępstwo kontaktu pośredniego: mianowicie przestępstwo Jerzego Giedroycia polegałoby na wejściu w porozumienie z Konstantym Jeleńskim, a to z tej racji, że Konstanty Jeleński działa w Kongresie Wolności Kultury. Z Jerzem Giedroyciem miałby wejść w porozumienie Maciej Kozłowski, z Maciejem Kozłowskim — Andrzej Mróz, z Andrzejem Mrozem — Krzysztof Szymborski — no a ja miałbym być szóstym elementem tego łańcucha prowadzącego do Konstantego Jeleńskiego. To mnie skłania do wypowiedzenia pewnych uwag. Mianowicie nie tylko nie wchodziłem z Krzysztofem Szymborskim w żadne porozumienie w celu działania na szkodę Państwa Polskiego, ale również nie wchodziłem w porozumienie w celu działania na szkodę Państwa Polskiego z Jerzym Giedroyciem, ani z Konstantym Jeleńskim, ani na przykład z Witoldem Gombrowiczem, ani w ogóle z nikim. I dlatego do winy nie przyznaję się.

Główna część zarzutu zakończona jest sformułowaniem: „wykonując zlecenie mu zadania w zakresie...” i tak dalej. W związku z tym fragmentem znowu kilka stwierdzeń, a mianowicie: żadnych zadań zleconych przez którąkolwiek z osób, o których w ogóle mówi się w akcie oskarżenia — nie wykonywałem. Co więcej — nikt mi takich zadań nie zlecał. Co więcej — w uzasadnieniu aktu oskarżenia nie ma w ogóle mowy o tym, aby mi ktośkolwiek zlecał jakieś zadania.

O ostatniej części zarzutu, mianowicie o książkach i artykułach, mówię na początku. Próbowałem sobie wyjaśnić brzmienie tego zarzutu przeciwko mnie. Nasunęły mi się wówczas trzy hipotezy, o których częściowo już mówiłem.

W pierwszej z nich chodzi o względy taktyczne Prokuratury, która — być może — chciałaby skłonić mnie do dowodzenia mojej niewinności, licząc przy tej okazji na uzyskanie jakichś interesujących ją wiadomości postronnych.

W drugiej hipotezie, bynajmniej nie konkurującej z poprzednią, odwołuję się do zjawiska nazywanego upodobnieniem następczym. Mianowicie — być może — Prokuratura po prostu odniosła do mnie zarzuty sformułowane poprzednio przeciwko innym osobom (zasadności tego sformułowania

tu nie dyskutuję). Te zarzuty przepisano, zmieniając tylko porozumienie z Jerzym Giedroyciem na porozumienie z Krzysztofem Szymborskim. Mógł się do tego przyczynić pośpiech, bo chcąc sformułować akt oskarżenia w oparciu o Mały Kodeks Karny musiano to zrobić przed 1 stycznia 1970. W rezultacie akt oskarżenia podpisano w Wigilię — 24 grudnia.

O trzeciej hipotezie powiem później.

W uzasadnieniu aktu oskarżenia przedstawione są pewne wydarzenia związane z moim nazwiskiem. Polegają one na ogół na wręczaniu jakichś tekstów Krzysztofowi Szymborskiemu albo Janowi Kelusowi. Ja nie jestem oskarżony o wręczanie komuś jakichś tekstów, tylko jestem oskarżony o wejście w porozumienie z osobą działającą w interesie obcego rządu lub obcej organizacji w celu działania na szkodę Państwa Polskiego. Wydarzenia przedstawiam tutaj o tyle, o ile łączą się one z zarzutem z art. 5 mkk.

W śledztwie nie składałem wyjaśnień, chociaż nakłaniano mnie do tego. Po prostu nie przedstawiono mi przekonujących argumentów. Bynajmniej nie uważam, aby śledztwo lub rozprawa sądowa musiały być dla oskarżonego okazją do informowania organów bezpieczeństwa w sposób bezpośredni lub pośredni o jakichś faktach dotyczących własnej osoby lub bliźnich. Nie uważam, ażeby obywatel musiał się z organami bezpieczeństwa rozliczać. Na przesłuchaniach mówiono mi — „pan się z nami nie rozliczył”. Nie odczuwam potrzeby poszukiwania konfesjonatu, a już w szczególności nie umieszczam w nim funkcjonariuszy MSW.

Chciałbym jeszcze powiedzieć, że stwierdzam, iż nie jest prawdą, jakoby wiedział o jakichś choćby pośrednich kontaktach któregokolwiek z oskarżonych lub świadków z jakąś obcą organizacją. Stwierdzam, że nie jest prawdą, jakoby ktokolwiek z nich zwracał się o coś do mnie w imieniu lub dla obcej organizacji. Stwierdzam wreszcie, że nie jest prawdą, jakoby komukolwiek z nich dawał coś w imieniu lub dla obcej organizacji.

Szerzej dowodzić swojej niewinności nie zamierzam. Mnie wystarczy zupełnie, że prokurator nie dowiódł mojej winy.

Zapowiedziałem, że wrócę jeszcze do trzeciej hipotezy, wyjaśniającej pewną nieogłębłość prokuratorską w przedstawieniu mi zarzutu z art. 5 mkk. Hipoteza ta również nie wchodzi w konflikt z poprzednimi. Wedle niej — Prokuraturze nie chodzi tu w istocie o to, kto się z kim porozumiewał i w jakim celu. Chodzi natomiast o książki i artykuły. Chodzi o to, żeby w myśl zasady „i nie wódz nas na pokuszenie” — ustrzec obywateli PRL przed lekturą rzeczy nieprawomyślnych.

W istocie zatem w myśl owej hipotezy proces ten byłby: po pierwsze, procesem przeciwko książkom, przeciwko słowu; po drugie, procesem przeciwko paryskiej Kulturze. Nie można jednak posadzić na ławie oskarżonych ani książek, ani Jerzego Giedroycia. Posadzono na ławie oskarżonych nas. Książki leżą na stole sędziowskim.

Jeśli by ta hipoteza o motywach kierujących organami ścigania była słuszna, to instytucje te okazałyby rodzaj zbiorowego myślenia podobny do tego, który kierował projektodawcami zdjecie „Dziadów”. Myślenie to jest mieszaniną paranoi ze złudzeniem totalnej manipulacji. Można by owo myślenie scharakteryzować dwoma formułami, z których pierwsza zdaje sprawę z elementu paranoidalnego i brzmi: „wszystko nam zagraża”. Druga formuła zdaje sprawę ze złudzenia totalnej manipulacji i brzmi: „wszystkiego można zakazać”.

Wśród rozmaitych środków oddziaływania na ludzi można wyróżnić słowo i żelazo, perswazję i siłę. Przeciwstawienie wzajemne tych środków odegrało w historii ludzkości niemałą rolę. Słowo nie jeden raz chciało wypalić żelazem, wypełnić mieczem albo otoczyć kratami.

(Prokurator Górski przerywa oskarżonemu: „To nie dotyczy tematu!”).

Wydaje mi się, że nie sposób przecenić znaczenia niniejszej sprawy dla interpretacji nowego prawa w Polsce. Powstaje bowiem kwestia, czy w XX wieku, w Europie, prawo może być po stronie zelaza, a przeciw słowu.

Ten dylemat raczy Wysoki Sąd rozstrzygnąć.

Przypomnę jeszcze moje główne tezy. Mianowicie stwierdziłem, że do winy się nie przyznaję; że nie popełniłem czynu określonego przez art. 5 mkk, z którego zarzut mi sponowano. Stwierdziłem, że nie wszedłem w porozumienie z nikim działającym w interesie obcego rządu lub obcej organizacji w celu działania na szkodę Państwa Polskiego. W szczególności stwierdziłem, że nie wszedłem w takie porozumienie z Krzysztofem Szymborskim.

Wskazałem na bezzasadność prokuratorskiej sugestii, że szkoda Państwa Polskiego mogłaby być celem przyswiewcającym mnie lub komukolwiek z oskarżonych. Nadto stwierdziłem, że nie tylko do winy z art. 5 mkk nie przyznałem się ja, ale że ponadto Prokuratura winy mojej z tego artykułu nie dowiodła.

W tej sytuacji postanawiam, że z przysługującego mi prawa do obrony i ewentualnego dowodzenia mojej niewinności w formie odpowiedzi na pytania Sądu lub stron — rezygnuję.

Przewodniczący Sądu: — Czy to znaczy, że oskarżony nie będzie odpowiadał na pytania?

— Tak.

Przewodniczący Sądu: — Na żadne pytania?

— Na żadne.

Maciej KOŻŁOWSKI

OSTATNIE SŁOWO, WYGLÓSZONE PRZED SĄDEM W DNIU
21 LUTEGO 1970

Wysoki Sądzie, przystępując się procesowi odnosiłem wrażenie, że nie ja tu jestem oskarżonym, lecz Instytut Literacki i Jerzy Giedroyc, i trudno było mi zrozumieć, skąd sam się tu znalazłem. Dr Koleczyński mówił, że Jerzy Giedroyc jest wrogiem Polski, że Polski nienawidzi. Ja nie miałem doświadczeń, które nauczyłyby mnie nienawiści. Nie muszę nikogo nienawidzić. Dlatego nie nazywam nikogo wrogiem, najwyżej przeciwnikiem politycznym. Poglądy odmiennie nie budzą we mnie nienawiści, lecz szacunek.

Kulturę uważałem za instytucję polską. Opozycyjną, ale polską. Dlatego właśnie zdecydowałem się publikować na łamach *Kultury*. Taki był powód subiektywny mej współpracy z tym wydawnictwem. Był i powody obiektywne. Nie myślałbym o nawiązywaniu kontaktów z Giedroyciem, gdybym swoje poglądy mógł wypowiadać gdzie indziej. Ale od marca 1968 jedynym miejscem, w którym można było wyrażać swoje przekonania, stały się sale sądowe. Trudno się dziwić komuś, kto wybiera *Kulturę*.

Nie byłem przestępcą. Nie byłem również konspiratorem. W Czechosłowacji wyraźnie przedstawiałem się jako dziennikarz związany z *Kulturą* — dlatego właśnie wzięłem ze sobą czeskie numery tego pisma.

Nie uważam swej działalności za polityczną. Zajmowałem się publicystyką. Oczywiście, publicystyka społeczna od polityki całkowicie uciec nie może. Moje marzenia polityczne związane były z wydarzeniami w Czechosłowacji: tam właśnie te marzenia zostały przez legalne władze wprowadzone w życie. Widziałem to społeczeństwo i byłem nim zafascynowany. Cały świat był nim zafascynowany — wyjąwszy pięć państw Układu Warszawskiego. Cały świat potępił akcję militarną przeciw Czechosłowacji.

Dzisiaj wiem, że koncepcja Aleksandra Dubczeka przegrała. Ta przegrana była dla mnie osobistą klęską. Upadek Dubczeka był upadkiem pewnej koncepcji politycznej. Ale nie przestaję żywić nadziei, że ideały, które mu przyswiewcały — może gdzie indziej, może innymi metodami — zostaną zrealizowane. Że politycy zrozumieją, że uboczne skutki zakazów w sferze myśli są groźne, że gdy zamkniesz się drzwi w obawie przed wszystkimi błędami, to i prawda pozostanie na zewnątrz.

Wierzę, że ponure dziedzictwo kalifa Omara pozostanie tylko historią.

Nigdy nie uważałem swej działalności za przestępczą. Gdyby sytuacja w Polsce była taka sama jak w Czechosłowacji, spotkałbym się może z potępieniem, ale nie odpowiadałbym z ławy oskarżonych.

Jestem Polakiem. W tysiącletniej historii polskiej są różne tradycje. Jedne cenne, inne mniej. Najpiękniejszą z tych tradycji jest tradycja tolerancji. W czasach kontrreformacji, gdy w innych krajach palono na stosach książki i autorów, Polska — mimo swego katolicyzmu i mimo swej roli przedmurza — była azylem dla myślących inaczej. Wtedy też właśnie z Rakowa szły w świat druki „mogące wyrządzić istotną szkodę” interesom katolicyzmu. Później tolerancja była kamieniem węgielnym szeregu przemian społecznych. Dzięki niej wielu pokoleniom oszczędzono cierpień, wiele przewrotów w Polsce miało przebieg stosunkowo łagodny.

Dzisiaj przed Wysokim Sądem staje grupa pięciu osób, które myślały odmiennie i które starały się swoje myśli propagować. Pozostaje mi tylko odwołać się wobec Wysokiego Sądu do polskich tradycji tolerancji.

Małgorzata SZPAKOWSKA

FRAGMENTY WYJAŚNIEŃ ZŁOŻONYCH PRZED SĄDEM
W DNIU 13 LUTEGO 1970

Nie przyznaję się do popełnienia zarzucanych mi czynów. Nie przyznawałam się do ich popełnienia również w toku śledztwa. Akt oskarżenia zawiera pod tym względem sformułowanie niezgodne z prawdą. W czasie śledztwa udzielałam wyjaśnień na temat ośmiu tekstów, które napisałam sama, i jednego, którego jestem współautorką. Przeczę natomiast, by zarzuty skierowane przeciw tym tekstom i przeciw mojej osobie odpowiadały prawdzie i w dalszym ciągu postaram się tę sprawę omówić szczegółowo.

Zanim jednak przystąpię do wyjaśnień dotyczących samych tekstów, chciałabym powiedzieć o powodach, dla których je pisałam. Na pytanie o przesłanki ideowe, jakie mną kierowały, mogę odpowiedzieć jednym słowem: poszukiwanie.

Do tego, by szukać, jestem predestynowana przez mój zawód. Zainteresowanie zjawiskami społecznymi, chęć ich zrozumienia i poczucie odpowiedzialności za to, co się dzieje, są obowiązkiem każdego humanisty. Jako humanistka wiem, że bynajmniej nie mam monopolu na prawdę, na nieomyślność moich obserwacji i diagnoz. Ale wiem także, że wszelki — jeśli nie w pełni prawdziwy, to przynajmniej zbliżony do prawdy obraz rzeczywistości — rodzi się w toku dyskusji, w toku ścierania się przeciwstawnych poglądów. Mogłam więc zakładać, że jeśli by nawet moje artykuły były błędne i jeśli by zawarte w nich hipotezy okazały się nietrafne — a takie ryzyko musi brać na siebie każdy uczciwy człowiek, kiedy decyduje się pisać — to omawiane teksty przyniosłyby ten przynajmniej pozytek, iż przeciwników podejmujących rzeczową dyskusję skłoniłyby do sformułowania argumentów, mnie zaś samej pozwoliły poznać racje strony przeciwej.

Żeby uniknąć nieporozumień, chciałabym podkreślić, że wyrażanych

przeze mnie w omawianych tekstach poglądów nie zmieniałam. Nie dlatego, bym uważała, że jedynie moje stanowisko może być słuszne, ale po prostu dlatego, że nie spotkałam się dotychczas z kontrargumentami, które by mnie przekonały, że nie mam racji.

Tyle o celu pisanych przeze mnie artykułów. Wbrew temu, co zarzuca mi akt oskarżenia, nigdzie nie „nawoływałam do przeciwstawienia się władzom państwowym i administracyjnym”. Nie nawoływałam w ogóle nikogo do żadnych działań i nie nawoływałam w żadnej formie. Jeśli w tekstach, które pisałam, znaleźć można jakiegokolwiek wezwanie, to chyba tylko takie: pomyślcie, zastanówcie się, może to, co przeczytaliście przed chwilą, wzbudzi wasze zainteresowanie, może pomoże wam w zrozumieniu jakiegoś fragmentu rzeczywistości. I to wszystko. [...]

Teksty pisane przez mnie w marcu 1968 powstawały w czasie bardzo dużego napięcia na Uniwersytecie Warszawskim, w okresie, gdy pierwsze wrażenie wywołane brutalnością władz i organów porządku publicznego było bardzo silne. A także w okresie, gdy wiece studenckie zostały uznane za nielegalne i zabroniono ich zwoływania. Zlikwidowano w ten sposób jedyne forum, na którym można było publicznie wypowiedzieć swoje oburzenie i swój protest wobec zaistniałej sytuacji. Teksty przepisywane na maszynie stały się jedynym sposobem, by wyrazić własne stanowisko. Pisanie uważałam za moralny i obywatelski obowiązek i sądzę, że z podobnych przesłanek wychodzili inni autorzy niezliczonych opracowań, które się wówczas pojawiły.

Napiętą sytuację, o której wspominałam, stwarzały zwłaszcza prasa i inne środki masowego przekazu. Traktowano tam ruch studencki początkowo jako wybryki chuligańskie, a potem jako spisek zagrażający podstawom polskiej państwowości. Nie wykazywano najmniejszej chęci, by zrozumieć lub choćby rzetelnie zrelacjonować postulat młodzieży. Wysuwano tylko zarzuty — bez troski o ich uzasadnienie. [...]

Chciałam, wykraczając poza akt oskarżenia, powiedzieć dwie rzeczy.

Po pierwsze: wskazanie negatywnych cech jakiejś formy ustrojowej nie jest równoznaczne z postulowaniem czegokolwiek, a w szczególności z postulowaniem formy przeciwnej. Nie musi też być równoznaczne z niedostrzeżeniem zjawisk pozytywnych. Ale też nie widzę żadnego powodu, by zjawiska negatywne miały być przemilczane, skoro raz zostały dostrzeżone.

Po wtóre: podejmowanie jakichkolwiek tematów nie może i nie powinno być kwalifikowane jako działanie na szkodę państwa. W szczególności nie powinny być tak kwalifikowane teksty ewidentnie analityczne, które niczego nie postulują ani do niczego nie nawołują, stanowiąc jedynie próbę zrozumienia i interpretacji pewnych zespołów zjawisk, dostrzegalnych w strukturze społeczeństwa i w świadomości społecznej. [...]

Zarzucono mi jakoby w jednym z opracowań utrzymywała, iż w stosunku do osób aresztowanych w marcu i po marcu stosowano „nieprawidłowe metody śledcze”. Otóż nigdzie nie pisałam, jakoby stosowano „nieprawidłowe metody śledcze”, nie wiem zresztą dokładnie, jakie metody śledcze są prawidłowe, a jakie nieprawidłowe. Pisałam tylko o takich metodach, o jakich słyszałam, że je stosowano, a prawdziwość moich informacji w pewnej mierze potwierdził mój własny pobyt w więzieniu, w okresie poprzedzającym niniejszą rozprawę.

Muszę tylko zastrzec, że to, co będę mówiła, nie dotyczy wszystkich osób, z którymi zetknęłam się w śledztwie, bo byli i przesłuchujący, z którymi stosunki układały się zupełnie poprawnie. Zdarzały się jednak, i to niezadko, sytuacje najogólniej rzecz biorąc nieprzyjemne. Myślę tutaj i o krzyku, i o próbach wywierania presji przez groźby najróżniejszego rodzaju. Były to zarówno groźby pogorszenia warunków bytowych w więzieniu, jeżeli nadal będę odmawiała zeznań, jak to początkowo zdecydowałam, jak i groź-

by tego na przykład rodzaju, że jeżeli nie udzielę szczegółowych informacji o wszystkich osobach, które przychodziły do mnie do domu, to na tę okoliczność zostanie przesłuchana moja wówczas 87-letnia, a dziś już nieżyjąca, babka, przy czym oświadczenie to opatrywano następującym komentarzem: „No, pani wie, osoby starsze na ogół miewają słabe serce, pani sama rozumie, że takie przesłuchanie jest wielkim przeżyciem, to się może skończyć tragicznie...” — ten komentarz był zresztą zwykle podawany bardzo grzecznie. Grożono mi poza tym, że w stosunku do mojej matki zostaną wyciągnięte konsekwencje służbowe. Obiecywano mi, że jeżeli tylko złożę zeznania, to natychmiast zostanie zwolniona. Stosowano na bardzo dużą skalę bluff, który jest może metodą śledczą najzupełniej prawidłową, ale w momencie, gdy się jest odizolowanym od wszystkich innych źródeł informacji i gdy jedynym źródłem informacji są rozmowy z osobami, z którymi styka się na codziennych przesłuchaniach — jest to jednak rzecz bardzo irtuująca. O rozmiarach tego bluffu może świadczyć fakt, że moje ostatnie przesłuchanie w końcu września polegało na tym, iż wezwał mnie ktoś, kogo ani przedtem, ani potem nigdy nie widziałam, i kategorycznie zażądał ode mnie, abym natychmiast przyznała się do tego, jakie stosunki łączyły mnie z Maciejem Kozłowskim, Marią Tworkowską i Maciejem Włodkiem, ponieważ te osoby już wszystko na mój temat powiedziały i nie mam już nic do ukrywania. Z akt sprawy wynika jasno, że z żadną z wymienionych osób nigdy się nawet nie zetknęłam i nie wiedzieliśmy nawet o swoim istnieniu. Powtarzam: nie wiem, czy są to metody prawidłowe, czy nieprawidłowe, wiem natomiast, że były stosowane. [...]

Świadek szczeciński

W Polsce i na świecie na ogół znany jest już dość dokładnie przebieg tragicznych zajęć na Wybrzeżu, w grudniu 1970 roku. Tło i mechanizm tych zajęć znane są wszakże — można to chyba tak określić — od zewnątrz, powiedziałbym nawet: od strony aktora, a lepiej — ofiary, która to rola przypadła społeczeństwu. Co do mechanizmów czy też reżyserów tej tragedii, jeśli będziemy trzymać się przenośni, to większość tego, co znane jest społeczeństwu i opinii światowej, oparte jest w dużym stopniu na domysłach, na ogół trafnych, gdyż wynikających z logicznego kojarzenia faktów. Niemniej pozostają one domysłami i istnieje konieczność ich potwierdzenia przez świadków i dokumenty.

Nie mogę ujawnić mego nazwiska, ani innych szczegółów mnie dotyczących, albowiem ściągnęłoby to na mnie i moją rodzinę łatwe do przewidzenia represje. Pozostają bowiem w kraju, którego nie pozwolono by mi i którego — mimo wszystko — nie potrafiłbym opuścić.

Dlatego też w moim zeznaniu pominąć muszę niektóre fakty, które są mi osobiście znane, lecz których ujawnienie równoznaczne byłoby z moim zdekonspirowaniem. Ujawnię jednak te wydarzenia, których byłem naocznym świadkiem, ale nie jedynym, i

te fakty, których jestem całkowicie pewien, albowiem doszły do mnie z bezpośrednich źródeł.

Ponieważ wziętem na siebie rolę świadka, relacja moja ograniczy się tylko do wydarzeń w Szczecinie. I jeszcze jedno — chciałbym tej relacji nadać formę przesłuchania, w którym ze względów oczywistych sam muszę spełnić rolę zarówno zadającego pytania, jak i składającego zeznanie.

Pytanie: Gdzie świadek przebywał w okresie wypadków na Wybrzeżu w grudniu 1970 roku?

Odpowiedź: Przez cały okres wypadków na Wybrzeżu znajdowałem się w Szczecinie, gdzie mieszkam od wielu lat.

Pytanie: Gdzie świadek był w tym czasie zatrudniony?

Odpowiedź: Pracowałem od wielu lat w jednej z instytucji, której władze, i w dużej mierze część funkcjonariuszy, obciążać należy winą za to wszystko, co doprowadziło do wybuchu buntu robotniczego, a jeszcze bardziej za charakter, jaki przybrał przebieg zaburzeń.

Pytanie: Czy wybuch buntu był zaskoczeniem dla władz województwa szczecińskiego?

Odpowiedź: Musimy wpiery uściślić jednoznacznie pojęcie władz. Społeczeństwo doskonale zdaje sobie sprawę, że jego losy spoczywają w rękach nie tej władzy, która nominalnie ją reprezentuje, a więc Sejmu, rządu, rad narodowych. Wszyscy wiedzą, że jedyną władzą, której wszelkie inne są posłusznym i ślepych wykonawcą, jest partia. Drugim takim ośrodkiem władzy, któremu nawet organa partyjne niejednokrotnie się podporządkowują, jest aparat bezpieczeństwa. Jeśli więc mówiąc o władzy będziemy myśleć o aparacie partyjnym i aparacie bezpieczeństwa, to wybuch buntu na Wybrzeżu nie był dla władz zaskoczeniem. Natomiast siła tego wybuchu, jego przebieg i skutki przekroczyły dalece ich obliczenia.

Pytanie: Czy świadek uważa wobec tego, że wydarzenia grudniowe były przygotowaną prowokacją?

Odpowiedź: Niewątpliwie tak. Nastroje społeczeństwa już przed wprowadzeniem drakońskiej podwyżki cen na podstawowe artykuły były napięte do ostateczności. Możliwe, że z prawdziwego stanu napięcia panującego wśród robotników przemysłowych Szczecina nie zdawał sobie w pełni sprawy I sekretarz KW Walaszek i jego najbliższa świta ze ścisłego kierownictwa komitetu. Wpływały na to dwie okoliczności. Po pierwsze, ludzie ci wyobcowali się tak dalece ze społeczeństwa, tak odmienna była ich sytuacja materialna od sytuacji całej nieomal ludności, że nie potrafili nawet uświadomić sobie ogromu rozgoryczenia i gniewu. Trzeba wiedzieć, że kierownictwo to nie było rzetelnie informowane o stanie nastrojów ani przez własny aparat, ani przez doskonale zorientowany aparat bezpieczeństwa publicznego. W pierwszym przypadku chodzi o to, żeby nie narazić się na osądzenie o „czarnowidztwo”, „uleganie nastrojom konsumpcyjnym” etc. W drugim przypadku była to świadoma, od lat pro-

wadzona przez aparat bezpieczeństwa polityka dezinformowania władz partyjnych. W tym drugim przypadku należy uwzględnić jeszcze jeden dodatkowy element. Chodzi mianowicie o przeceńnienie przez aparat terroru zarówno własnych sił, ogromnie rozbudowanych w ośmiatnych latach, jak i stopnia sparaliżowania społeczeństwa przez terror. Podobna sytuacja istniała również na szczeblu władz centralnych. Gomułka na pewno, a również i jego najbliżsi współpracownicy w KC, mogli nie orientować się w cichym wrzeniu panującym w masach, zapatrzeni w preparowaną na pokaz statystykę, nie zdawali sobie sprawy z głębi niedostatku, w jaki pogrążona została każda z osobna wzięta rodzina robotnicza czy urzędnicza. Informacje jakie napływały z komitetów wojewódzkich, w tym również ze Szczecina, optymistyczny obraz czerpany z prasy, przeznaczony do otumaniania ludności, zapewnienia władz bezpieczeństwa o panowaniu nad sytuacją — odegrały bezsprzecznie ważną rolę przy podjęciu samobójczej w pewnym sensie decyzji o grudniowej podwyżce cen. Krótko i obrazowo mówiąc, podwyżka ta była jak gdyby kostką rzuconą w od lat toczącej się rozgrywce: między grupą Gomułki ogłupiałą i zdeзорitowaną, ale będącą u steru władzy, a prącą do zdobycia władzy za wszelką cenę (którą ponieść miałyby naturalnie naród) grupą aparatu partyjnego młodszego chowu, sprzęgniętą z aparatem bezpieczeństwa, w którym usadowili się mocno tzw. „moczarowcy”.

Ta druga grupa świadoma była skutków podwyżki cen, zdawała sobie sprawę, że doprowadzi ona nieuchronnie do wybuchu niezadowolenia. Sądziła jednak, że — podobnie jak w marcu 1968 — potrafi je zdławić w zarodku, ale przy okazji obali Gomułkę i sama przejmie niepodzielną władzę w swoje ręce. O ile więc samą podwyżkę należy traktować jako wyraz zaślepienia i absolutnego braku oceny realnej sytuacji ze strony grupy Gomułki, to zgoła na przeprowadzenie tej podwyżki, wyrażona przez członków biura politycznego i sekretariatu KC, była świadomą prowokacją społeczeństwa, była spiskiem, w którym nie ostatnie bynajmniej skrzypce obok Moczara grał również Gierek. Nie należy dać się zmylić pozorom, że przecież Gierek usunął następnie od wpływów grupę Moczara. Uczynił to dopiero wtedy, gdy Moczar przestał być sojusznikiem w rozgrywce z Gomułką, a przeciwnie — stał się przeciwnikiem.

Pytanie: Czy świadek ma dowody, że władze w Szczecinie również spodziewały się wybuchu niezadowolenia?

Odpowiedź: Tak. Zapoznajmy się z kilkoma faktami, które jakoś uszły uwadze obserwatorów, lub mogły być znane tylko pewnej części aktywu partyjnego i pracowników organów bezpieczeństwa. Oto jeden z faktów, który rzuca jednoznaczne światło na tło wydarzeń grudniowych. Jak wiemy, uchwała o zmianie cen detalicznych ogłoszona została 12 grudnia 1970 roku, do rozruchów zaś doszło w Szczecinie 17 grudnia. Jak wobec tego wytłumaczyć fakt, że już na tydzień lub nawet 10 dni przed tą ostatnią datą w budynku Komendy Wojewódzkiej MO w Szcze-

cinie przy ulicy Małopolskiej 47 wszystkie okna piwniczne od strony ulicy zostały zamurowane przez sprowadzonych specjalnie murarzy? Czy to był tylko przypadek, czy też wynik przewidywania rozwoju wydarzeń?

Skोजarżmy to sobie z innym faktem. Gdy 12 grudnia na naradzie aktywu wojewódzkiego w szczecińskim KW padły głosy ostrzegające, że stan wrzenia wśród stoczniowców jest taki, iż wiadomość o podwyżce cen może wyprowadzić załogi stoczni na ulicę, z ust I sekretarza padła odpowiedź: „Zdajemy sobie z tego w pełni sprawę, ale wy, towarzysze, o to się już nie martwcie”. Chciałbym przy tym zwrócić uwagę na jeszcze jedną okoliczność, świadczącą o prowokacyjnym charakterze podwyżki. W okresie władzy ludowej społeczeństwo doznało już szeregu takich uderzeń. Wspomnę jedynie najdotkliwsze, jakim była zmiana zło- tego w 1949 roku, zniesienie kartek żywnościowych z jednoczesnym wprowadzeniem wysokich cen na artykuły poprzednio przydzielane na kartki — w 1953 roku, kolejne podwyżki za rządów Gomułki cen mięsa i artykułów mleczarskich itp. Zawsze decyzje te przygotowywane były w najściślejszej tajemnicy. Ludność dowiadywała się o nich nagle, w dniu ogłoszenia, była nimi zaskakiwana. Przy grudniowej podwyżce stało się inaczej. Już na kilka tygodni wcześniej zaczęto rozpuszczać o niej słuchy, choć nie były to żadne oficjalne oświadczenia. U nas np., w Szczecinie, żony pracowników aparatu partyjnego i milicji namawiały „życzliwie” przyjaciół i znajomych: „Kupujcie, co się tylko da i za wszystko, co macie, bo będzie duża podwyżka cen”. Rozeszło się to po całym mieście. Słowem, dano jak gdyby ludziom okazję i czas na przygotowanie się do akcji protestacyjnej. Ale jednocześnie z tym postawiono w stan pogotowia wszystkie siły aparatu represyjnego: zarządzono ostre pogotowie w milicji, wojsku, zmobilizowano ORMO.

Pytanie: Jak wiadomo, zaburzenia wybuchły w Gdańsku, a dopiero po kilku dniach w Szczecinie. Jak władze szczecińskie zareagowały na wiadomości napływające z Gdańska?

Odpowiedź: Wiem o tym, że gdy do komitetu wojewódzkiego w Szczecinie dotarła wiadomość o rozruchach w Gdańsku, jego kierownictwo zacierało z zadowolenia ręce. Chodzi tu o rywalizację i swego rodzaju konkurencję, jaka istniała od wielu lat między tymi dwoma wojewódzkimi ośrodkami władzy terytorialnej. Jako przykład podam, że toczyła się między nimi pełna podstępów i intryg wojna o to, w którym z tych dwóch miast ma znajdować się zjednoczenie gospodarki rybnej. To samo było ze zjednoczeniem floty handlowej.

Kierownictwo partyjne w Szczecinie nie spodziewało się, że wypadki mogą również na jego terenie potoczyć się w tym samym kierunku i przybrać tego rodzaju charakter co w Gdańsku. Spodziewano się raczej, że wystąpienia robotników w Gdańsku zostaną szybko i energicznie zlikwidowane, bez poczynienia jakichkolwiek ustępstw na rzecz społeczeństwa — przeciwnie, że stanie się to okazją do zaciśnięcia dyktatury policyjnej nad lud-

nością, tak jak stało się to w marcu 1968 roku. Sądzono, że brutalna rozprawa z nieposłusznymi w Gdańsku odstraszy od wystąpień robotników w całej Polsce. Słowem, że smród pozostanie w Gdańsku, a Szczecin odniesie z tego tylko korzyści.

Pytanie: Czy zachowanie się robotników stoczni w pierwszym dniu wystąpień uzasadniało brutalność represji?

Odpowiedź: Chcę z całym naciskiem podkreślić, że robotnicy Szczecina, podobnie (co mi jest wiadome) jak to się stało w innych miastach, czynili wszystko, aby sprawę załatwić ugodowo. Pierwszym, chyba w pełni legalnym, krokiem stoczniowców było wybranie i wysłanie delegacji swoich przedstawicieli do KW z żądaniem, aby I. sekretarz Walaszek (będący *nota-bene* członkiem organizacji partyjnej tej stoczni) przybył na zebranie, na którym zostaną przedstawione postulaty załogi, dotyczące zarobków w związku z nowym układem cen i kosztów utrzymania. Nawiasem chciałbym wtrącić, że Walaszek, będąc członkiem organizacji partyjnej w stoczni, nigdy nie był z jej mandatu kandydatem do wojewódzkich władz partyjnych. W obawie, że stoczniowcy nie wybraliby go, kandydował w Stargardzie, gdzie był prawie nieznan. Ten uzasadniony zresztą brak zaufania do tej części społeczeństwa, nad którym sprawuje się władzę, ba, nawet do własnego aparatu, jest powszechny i symptomatyczny. Właśnie w chwili, gdy delegacja stoczniowców szczecińskich wycykiwała w korytarzu KW na odpowiedź Walaszka, milicjanci szczecińscy ostrzelali robotników Trójmiasta. Szczecin wszakże nie został „bezbronny”. Do „obrony” władzy przed społeczeństwem ściągnięci zostali wychowankowie szkoły milicyjnej ze Słupska oraz poważne oddziały milicji z Lubelszczyzny. Jest to metoda szeroko znana i stosowana w krajach komunistycznych. Do walk przeciwko ludności lepiej nadają się ludzie spoza danego terenu — nie mający wśród represjonowanych znajomych czy nawet bliskich, nieznanymi i trudnymi do rozpoznania w przyszłości przez miejscową ludność.

Jak wiadomo, Walaszek delegacji stoczniowców nie przyjął, natomiast sama stocznia została obstawiona gęsto przez wzmocnione i uzbrojone oddziały MO. Uzyskawszy wiadomość o odmowie Walaszka, stoczniowcy szczecińscy sformowali wielotysięczny, w nic nie uzbrojony, pokojowy pochód i wyszli ze stoczni z zamiarem udania się pod KW. Tuż pod bramą zostali zaatakowani przez milicjantów, którzy tym razem posługiwali się jeszcze tylko pałkami. Pochód cofnął się za bramę, zabierając ze sobą wielu dotkliwie poturbowanych towarzyszy. Z zamiaru dotarcia do KW celem przedstawienia swoich żądań stoczniowcy jednak nie zrezygnowali. Wyszli ponownie, tym razem w hełmach ochronnych przeciwko uderzeniom pałek milicyjnych i z kawałkami metalowych rur i kluczami francuskimi w rękach do obrony przed atakami. I wtedy ze strony MO posypał się grad kul. Padli zabici i ranni. Rozjątrzeni i gniewni robotnicy zaatakowali milicjantów z taką gwałtownością, że ci zaczęli w popłochu wycofywać się. Robotnicy dopadli okratowanych furgonetek, czekają-

cych na aresztowanych. Wozy zostały przewrócone, kilka z nich stanęło w płomieniach. Po rejteradzie milicji pochód uformował się od nowa i znów ruszył w kierunku komitetu.

Pytanie: Czy świadek wie może, jak zachowywali się w tym czasie reprezentanci władzy szczecińskiej?

Odpowiedź: Owszem, mogę odpowiedzieć na to pytanie. Władze i pracownicy komitetu początkowo nie dopuszczali nawet myśli, że milicja zostanie rozproszona i nie uda się jej zatrzymać demonstrantów. Ale pochód zbliżał się coraz bardziej. Gdy był już całkiem blisko, nie wytrzymali i zaczęli w popłochu uciekać. Sygnał do ucieczki dał, jak należało spodziewać się, I sekretarz KW Walaszek. Trzeba było widzieć, jak przejęty trwogą biegł do znajdującej się w pobliżu komendy wojewódzkiej MO. Za nim pędzili, pozbawieni swej napuszonej godności, sekretarz organizacyjny KW Ostrzyżek i sekretarz rolny Łochowicz. Dalej sekretarz propagandy Huber i reszta bractwa. Z połowy drogi Łochowicz jednak zawrócił i znów pognął do komitetu. Przypomniał sobie bowiem, że w biurku u siebie zostawił załadowany pistolet i postanowił go zabrać. Gdy ponownie chciał opuścić budynek, pochód znajdował się już przed wejściem. Ogarnięty paniką Łochowicz wyskoczył oknem na tyły budynku, ale tak niefortunnie, że złamał nogę. Demonstranci pozwolili go zabrać przez wezwaną karetkę pogotowia, nie tknąwszy go palcem. Chciałbym wspomnieć, że sekretarz ekonomiczny Rychlik został najwcześniej „ewakuowany” z gmachu KW — pod upozorowanym atakiem sercowym zabrała go jego żona, lekarka i umieściła w szpitalu MSW.

Pytanie: Jak demonstranci zachowywali się po przybyciu pochodu pod KW i jak doszło do spalenia budynku?

Odpowiedź: Znam to jedynie z opowiadań i raportów, ale dość dokładnie, bo wszystkie wersje pokrywają się.

Gdy pochód przybył pod KW, gmach był zupełnie opustoszały, co jeszcze bardziej rozjątrzyło demonstrantów, którzy przyszli tu głównie po to, aby przedstawić swoje żądania, tym razem szersze, niż zamierzali jeszcze tego samego dnia z rana. Została bowiem przelana niewinna krew i sprawiedliwość domagała się ukarania zbrodniarzy.

Wojsko rozmieszczone wokół budynku KW przyglądało się biernie z pancernych transporterów napierającemu tłumowi, gdyż do pochodu przyłączyły się tysiące innych mieszkańców Szczecina. Czołówka pochodu wdarła się do budynku. Przekrych gabinetów jeszcze bardziej podniecił gniew oszukiwanych. Przez otwarte okna gabinetu Walaszka zaczęły wylatywać na bruk skrzynki drogich koniaków, dywany, kosztowne meble, papiery. To samo — z innych gabinetów. Wkrótce na dole utworzył się wysoki stos, który został podpalony. Setki robotników przedzierało się do tego stosu i rzucało w ogień swoje legitymacje partyjne. Płonęły już też od wewnątrz gabinety sekretarzy. Gdy pod płonący gmach przybyła straż ogniowa, demonstranci przepuścili ją. Pozwalano jednak kierować strumieniem wody z sikawek tylko na domy przylegające do KW, nawet nakazywano to stra-

żakom. Gdy którykolwiek ze strażaków próbował kierować wodę na pożar, wydzierano mu z rąk sikawkę. Były wypadki, że rozgniewane kobiety wydzierały strażakom toporki i przecinały węże, gdy strażacy nie słuchali poleceń.

Jako bezpośredni uczestnik wypadków mam podstawy przypuszczać, że gdyby władze wykazały bodaj wtedy rozsądek, dzieło zniszczenia być może ograniczyłoby się do budynku KW. Ale na kategorię polecenia Walaszka wydano milicjantom rozkaz odparcia demonstrantów spod płonącego budynku. Wielu demonstrowujących zaczęło już nawet rozchodzić się, tłum zaczął przerzedzać się, gdy oddziały MO zaczęły nacierać z gmachu komendy. Wściekłość i oburzenie zgromadzonych, znów podsycone, zwróciły się ku nim. Milicjanci znaleźli się znów w odwrocie, tłum zgromadził się pod zabarykadowanym budynkiem milicji. Ciekawa okoliczność, na którą przy okazji chcę zwrócić uwagę. Walaszka i pozostających wodzów duchowych już tam nie było. Opuścili komendę skryci między pracownikami milicji w opancerzonych transporterach wojskowych, wezwanych rzekomo w celu ewakuacji kobiet. Skryli się w sztabie dywizji.

Część demonstrantów wdarła się do niebroniowego budynku pomocniczego milicji, gdzie znajdowały się m.in. kantyna, wydział paszportowy itp. Budynek ten zdemolowano i podpalono, przy czym, co ciekawe, benzyny na „rozpałkę” chętnie dostarczyli żołnierze z obsady transporterów.

Wstępu do głównego budynku MO strzegły mocne wrota. Demonstranci posłużyli się do ich wyważenia olbrzymią szalupą, która była ustawiona na pobliskim placu zabaw dziecięcych. Wrota nie wytrzymały silnych uderzeń i puściły. I wtedy z wnętrza budynku zaczęły się sypać strzały, przed budynkiem zaś zaczęły gęsto padać zboczeni krwią ludzie. Przypuszczam, że zemsta za te morderstwa byłaby straszna, gdyby do akcji nie wkroczyło wojsko i nie odparło tłumy. Tym razem była to jednostka srowadzona spoza Szczecina.

Wiele ofiar padło też pod więzieniem, dokąd udała się część zgromadzonej ludności z żądaniem wypuszczenia na wolność więźniów politycznych. Zostali przyjęci gradem kul mierzonych w pierś lub głowę.

Pytanie: Czy świadek jest w stanie określić liczbę ofiar pierwszego dnia rozruchów w Szczecinie?

Odpowiedź: Ile w sumie tego dnia zostało zabitych w Szczecinie niewinnych ludzi, domagających się należnych praw, ilu zostało inwalidami do końca życia, tego nikt, poza wąskim kręgiem najwyższych władz, nie wie. Opublikowana lista ofiar nie jest pełna. Podani zostali w niej tylko ci zabici, których stałym miejscem zamieszkania był Szczecin. A przecież do miasta dojeżdża tysiące robotników z okolic. Brali oni również udział w demonstracji. Były też ofiary zupełnie przypadkowe. Jedną z nich był przebywający czasowo w Szczecinie nauczyciel z Polanicy. Już po wydarzeniach ciało jego zostało ekshumowane i wydane

rodzynie. W jego pogrzebie uczestniczyła demonstracyjnie prawie cała ludność Polanicy.

O tym, jak chowano nocą i po kryjomu ofiary krwawej rozprawy, dużo wiadomo światu. Chcę jednak dorzucić jeden, być może mało znany szczegół. Zabitych rozbierano do naga i przed złożeniem do zbiorowej mogiły ciała wkładano w plastikowe worki.

Pytanie: Jak zachowywała się milicja później, po rozproszeniu się tłumu?

Odpowiedź: Gdy bezpośrednie zagrożenie minęło, milicja zaczęła szaleć. Oprawcy unikali jakiegokolwiek zaczepki, gdy stykali się z jakąś licniejszą grupą ludzi, ale za to całą swoją brutalność i wściekłość wyładowywali na pojedynczych przechodniach. Dla szerzenia strachu i dla wykazania się przed władzami napadano na każdego, kto znalazł się w zasięgu patroli. Bez jakiegokolwiek pytania dopadano niewinnych i niczego nie podejrzewających ludzi, bito do utraty przytomności i kalectwa i ładowano do wozów milicyjnych — tzw. „suk”. Później mówiono, że chodziło o akcję przeciwko rozpoczynającym się rabunkom sklepów.

Pytanie: Czy rabunek rzeczywiście przybrał takie rozmiary, jak podawała miejscowa i centralna prasa?

Odpowiedź: Nieprawda. Mam poważne podstawy do tego, aby twierdzić, że z nielicznymi może wyjątkami grabież została zorganizowana przez tych, którym potrzebny był pretekst do rozprawy z ludnością. W każdym razie jest wiadome, że duża część towarów zrabowanych w sławetnym sklepie PKO odnaleziona została nie gdzie indziej, ale właśnie w domach kilku pracowników tej instytucji. Wśród rabujących rozpoznano ormowców i przebranych w cywilną odzież funkcjonariuszy milicji.

Pytanie: Jak zachowywali się reprezentanci władzy w następnych dniach?

Odpowiedź: Chcę przypomnieć i podkreślić, że jedyną władzą w Szczecinie w owych dniach był Komitet Strajkowy Stoczni, do którego weszli również przedstawiciele innych zakładów pracy. Na polecenie tego komitetu, i tylko na jego polecenie, piekarnie piekły chleb dla ludności, wyjechały tramwaje z zajezdni, wyszedł ze specjalną adnotacją *Kurier Szczeciński*.

Strajk chciano początkowo złamać siłą. Wiem o tym z całą pewnością, że zupełnie poważnie zamierzano dla opanowania stoczni użyć wojsk dywersyjno-desantowych. Konkretnie chodziło o batalion rozpoznawczo-dyweryjny z Dziwnowa. Na szczęście zwyciężyła resztką zdrowego rozsądku, gdyż w przeciwnym wypadku doszłoby do straszliwej rzezi. W każdym razie robotnicy stoczni użyczyli się z możliwością ataku i byli do jego odparcia przygotowani. Nawet ułożono na przejazdach kolczaste brony, mające uniemożliwić wjazd transporterom.

Pytanie: Czy świadek orientuje się, dlaczego władze nie uciekły się jednak do przemocy?

Odpowiedź: To jasne. Doszłoby do takiego przelewu krwi, że mogłoby to doprowadzić do wybuchu wojny domowej w całym

kraju. Jeśli zdawano sobie z tego sprawę w Warszawie, to również mandatariusze KC w Szczecinie nie byli pewni, czy wyszliby z tego cało. O nastrojach panujących wśród nich w owych dniach świadczą pewne wydarzenia, na które na ogół prasa zachodnia nie zwróciła uwagi. Są jednak charakterystyczne. Jednym z nich była ewakuacja ze Szczecina rodzin i cenniejszych rzeczy wyższych funkcjonariuszy partyjnych. Żonę Walaszka z walizkami wywieziono np. opancerzonym transporterem wojskowym, zaś resztę pozostawionego w willi majątku strzegło kilkunastu stale zmieniających się milicjantów. Ze stosem walizek wyjechała w popłochu ze Szczecina tow. Ostrzyżkowa.

I jeszcze jeden fakt, mówiący o nastrojach, choć innego rodzaju. W owych pełnych napięcia dniach ze strony wielu funkcjonariuszy milicji wpłynęły do komendy podania o zwolnienie ze służby. Jednymi kierował strach, u innych przemówiło sumienie, niektórzy robili to pod naciskiem rodziny.

Pytanie: Czy świadek zna szczegóły rozejmu między władzą reprezentowaną przez nowego sekretarza KC Gierka a stoczniovcami.

Odpowiedź: Na spotkaniu Gierka ze stoczniovcami nie byłem obecny. Mogę oświadczyć jednak, że to, co donosiła o tym spotkaniu zachodnia prasa i radio, pokrywa się z informacjami, jakie dotarły do mnie od bezpośrednich uczestników spotkania. Warto może jednak powiedzieć coś o faktach, zdawałoby się drugorzędnych, które ujawnione zostały na tym spotkaniu i na innych zebraniach, które w owych dniach przetoczyły się szeroką falą przez niemal wszystkie zakłady pracy naszego miasta i województwa. Ujawniły one prawdziwe, niefałszowane oblicza tych, którym partia powierza sprawowanie władzy nad ludnością. Oto np. wyszło na jaw, że I sekretarz KW Walaszek tylko z tego tytułu, iż był członkiem podstawowej organizacji partyjnej stoczni, brał z jej kasy wielotysięczne premie za wodowanie każdego statku. Albo, że tenże Walaszek przez cały okres sekretarzowania nie płacił grosza komornego za willę, którą następnie kupił za psie pieniądze. Okazało się, że I sekretarz jest właścicielem prywatnego stawu z karpiami gdzieś na terenie województwa. Wypląnęły na światło dzienne siuchy Walaszka z Państwowym Zakładem Ubezpieczeń, afery z handlem samochodami z taniego przydziału Urzędu Rady Ministrów. Faktów takich ujawniono bez liku w odniesieniu zarówno do Walaszka, jak również szeregu innych wysokich dygnitarzy wojewódzkich, stojących ponoć na straży etyki socjalistycznej i leninowskich norm życia partyjnego.

Może odbiegam od tematu, ale przecież żadna kara na Walaszka nie spada. Wśród zaufanych mówił on: „Edek krzywdy mi zrobić nie pozwoli”. I rzeczywiście, po odejściu ze stołka I sekretarza KW w Szczecinie Walaszek został mianowany pełnomocnikiem rządu PRL do spraw wojsk sowieckich stacjonujących w Polsce, w randze wiceministra. Stanowisko to objął po Kłosiwiczu, znanym stalinowcu, który w okresie przedgomułkowskim był przewodniczącym CRZZ.

Pytanie: Czy świadek wie, kto w Szczecinie wydał rozkaz użycia broni palnej wobec demonstrujących robotników?

Odpowiedź: Gdy zaczęły się zaburzenia w naszym mieście, był tam na miejscu przybyły z Warszawy z ramienia wojska generał Tuczański. Mógł on wydać rozkaz użycia broni, ale o ile wiem rozkazu takiego nie wydał. Ci w mundurach wojskowych, którzy strzelali do robotników, byli milicjantami poprzebieranymi w obce mundury. Był wtedy w Szczecinie z ramienia MSW generał Ryszard Matejewski. Jest pewne, że to on wydał rozkaz użycia broni palnej. Dlaczego nie za to został aresztowany, lecz za jakies nadużycia gospodarcze? Z wydania rozkazu strzelania mógłby się łatwo wybronić: wypełnił jedynie dyrektywę zawartą w uchwale podpisanej przez prezesa rady ministrów Cyrankiewicza, a podjętej w kierownictwie partii. Czyż nie budzi podejrzeń, że to akurat tuż niemal po rozruchach nagle wykryto, że Matejewski zamieszany jest w afery gospodarcze?

Jak można było postawić Matejewskiego w stan oskarżenia za wydanie rozkazu strzelania, skoro nie postawiono w stan oskarżenia ani jednego milicjanta, który ten rozkaz wykonał? Istotne jest to, że tych, którzy rozkaz wykonali, spotkała nie kara, lecz pochwała i to z ust nowego sekretarza KC Gierka. Oczywiście, że nie skończyło się na słowach pochwały. O ile mi wiadomo, po rozruchach MSW rozdzieliło wśród funkcjonariuszy biorących bezpośredni udział w pacyfikacyjnej akcji 120 milionów złotych premii. Znam wyższych funkcjonariuszy tego resortu w Szczecinie, którym „kapnęło” po 6, 7 i 10 tysięcy złotych na rękę. Można powiedzieć, że to są krwawo zarobione pieniądze. I jakkolwiek jest to straszne, jednocześnie jest całkowicie logiczne. Również Gierkowi potrzebny jest posłuszny i gotowy do spełnienia każdego rozkazu aparat policyjny. Pod tym względem nie wolno mieć jakichkolwiek złudzeń. Gierek jeszcze bardziej rozbuduje ten aparat, choć nie ma w nim już Moczara. Wszak na spotkaniu ze stoczniovcami w Szczecinie, co powinno być wiadome, proponował z trybuny robotnikom wstępowanie na służbę w MO. Oświadczył, że w organach milicji wolnych jest i czeka na zapełnienie 5 tysięcy etatów.

Pytanie: Co świadkowi wiadomo o możliwości interwencji wojsk sowieckich w czasie rozruchów na wybrzeżu?

Odpowiedź: Straszaka sowieckiego używa propaganda partyjna zawsze wtedy, gdy nie skutkują już inne argumenty. W ten sam sposób próbowano również odstraszyć robotników Wybrzeża. Ciekawe i charakterystyczne jest, że Związek Sowiecki, który zawsze przedstawia się społeczeństwu jako dobrotliwego, wielkodusznego przyjaciela Polski i narodu polskiego, w takich sytuacjach, jak w 1956 roku i w grudniu 1970 roku, staje się nagle w ustach tej samej propagandy czymś zupełnie odmiennym, gotowym zatopić Polskę w morzu krwi. Taki mniej więcej obraz możliwości rozwoju wypadków kreślił sekretarz KC Szydłak na naradzie aktywu partyjnego w Szczecinie.

Chciałbym przy okazji wspomnieć o pewnej pogłosce upor-

czywie krążącej w Szczecinie, którą słyszałem z wielu ust, ale której wiarygodności nie miałem możliwości z całą pewnością sprawdzić. Otóż stoczniovcy opowiadają, że w czasie trwania strajku spotkali się z dużą życzliwością ze strony załóg statków sowieckich zakotwiczonych w pobliżu stoczni. Do tego stopnia, że dostarczali strajkującym gorących gotowanych posiłków.

Pytanie: Co świadkowi wiadome jest o zachowaniu się władz NRD w okresie zaburzeń na Wybrzeżu?

Odpowiedź: W Szczecinie mówiono o zauważonych ruchach wojsk po drugiej stronie granicy. Żadne inne wiadomości stamtąd do mnie nie dotarły. Wiem natomiast z całą pewnością, że Niemcy usłużnie dostarczyli szczecińskiej milicji granatów z gazem łzawiącym przeciw demonstrantom, gdy zapasy okazały się niewystarczające.

Pytanie: Czy świadek uważa siebie za współodpowiedzialnego za to, co się stało w Szczecinie w grudniu 1970 roku?

Odpowiedź: Tak, choć nie brałem bezpośredniego ani pośredniego udziału w akcji.

NA ANTENIE

PRZYNOŚI CO MIESIĄC WYBÓR NAJWAŻNIEJSZYCH AUDY-
CJI NADANYCH PRZEZ ROZGŁOSNIĘ POLSKĄ RWE ZE
SZCZEGÓLNYM NACISKIEM NA AKTUALNE SPRAWY KRA-
JOWE.

**Adres redakcji: RFE - Polish BD. English Gdn.
MUNICH, GERMANY.**

Administracja: KSIĘGARNIA SPK, PCA PUBL. LTD., 20, QUEENS
GATE TERRACE, LONDON, S.W.7. dokąd należy kierować zamó-
wienia. Prenumerata roczna z przesyłką £ 2.2.0 lub \$ 5,00, F. 25.00.

Sprawy i troski

Kryzys prasy polonijnej w U.S.A.

Rok 1971 jest dla prasy polonijnej w Stanach Zjednoczonych tym, czym 1929 rok był dla gospodarki amerykańskiej: — rokiem wielkiego kryzysu. Likwidacji uległy: z górą pół wieku wychodzący *Dziennik Chicagowski*, starszy od niego tygodnik *Ameryka Echo* i młodszy tygodnik *Polish-American*. Przestał ukazywać się nowojorski *Nowy Świat* a także kilka mniejszych lokalnych pisemek polonijnych zakończyło w tym czasie swój pracowity żywot. Przecież nie tak dawno zlikwidowano w Cleveland dziennik *Wiadomości Codzienne* a w St. Louis jeden z najstarszych tygodników polskich w Ameryce. Nieco wcześniej znikł *Kurier Polski* w Milwaukee i dziennik w Buffalo.

Zjawisko kurczenia się prasy polonijnej w USA nie jest nowe, lecz to co się wydarzyło 7 maja 1971 w Chicago, gdzie za jednym zamachem zlikwidowano stary *Dziennik Chicagowski* i dwa tygodniki, unieruchamiając przy tym jedyną w Chicago Księgarnię Polską — to było bez precedensu w historii prasy polskiej w Ameryce. Prasa bowiem kurczyła się na ogół z uzasadnionych powodów, takich — jak śmierć wydawcy czy redaktora i brak następców, jak wyludnianie się dzielnic polonijnych i ubytek czytelnictwa, trudności techniczno-finansowe itp. Nic z tych rzeczy nie miało decydującego znaczenia w przypadku masowej likwidacji polonijnej prasy w Chicago A.D. 1971.

To co się wydarzyło 7 maja 1971 w Chicago trafnie określił b. naczelny redaktor *Dziennika Chicagowskiego* w swoim podzwonnym komunikacie, rozesłanym do pism i organizacji polonijnych, w którym m.in. powiedział, że 3 pisma „zostały haniebnie zdławione”. Jest bowiem zjawiskiem niespotykanym, aby likwidować dziennik zarabiający na sobie, który został lekko-myślnie zadłużony, a jeszcze bardziej zaskakującym był fakt zlikwidowania tygodnika *Ameryka Echo*, który dawał około 10 tys. dolarów czystego zysku rocznie i miał około 10 tys. abonentów.

Losy prasy polonijnej

Przed I wojną światową w USA ukazywało się 121 polskich wydawnictw, w tym 10 dzienników o nakładzie ok. 250 tys. egzemplarzy i 101 periodyków z łącznym nakładem do miliona egzemplarzy.

Przed II wojną światową w USA ukazywały się 82 polskie pisma, w tym

8 dzienników o nakładzie ok. 140 tys. egz. i 74 periodyki z łącznym nakładem ok. 460 tys. egz.

W 1962 roku w USA wychodziły już tylko 44 publikacje polonijne, w tym 6 dzienników z łącznym nakładem ok. 70 tys. egz. i 38 periodyków o łącznym nakładzie ok. 320 tys. egz.

W 1971 pozostało zaledwie 36 wydawnictw, w tym tylko 3 dzienniki z łącznym nakładem ok. 25 tys. egz. i 33 periodyki mające nakład razem ok. 260 tys. egz., z czego jednak 80 % stanowią dwutygodniki rozsyłane wszystkim ubezpieczonym na życie, jako dodatek do ich ubezpieczenia. Traktują one prawie wyłącznie sprawy organizacyjno-ubezpieczeniowe. Zaledwie 20 % nakładu tych pism periodycznych — to są periodyki problemowo-informacyjne.

U źródeł katastrofy chicagowskiej

Odpowiedzialną za likwidację 3 pism polonijnych w Chicago jest spółka wydawnicza „Polish Publishing Co.”, która należy do Zakonu Ojców Zmartwychwstańców i jest przez nich kontrolowana (51 % udziałów).

Po zawieszeniu działalności i wszczęciu przez sąd postępowania upadłościowego okazało się, że spółka ta zadłużyła się na ok. 370.000 dolarów, z czego blisko 150.000 stanowią potrącenia podatkowe i emerytalne, ściągane z pensji pracowników i od dwóch lat nie przekazywane do właściwych urzędów. W skutek tego pracownicy wydawnictwa — zwolnieni bez wypowiedzenia — utracili prawo do świadczeń na czas bezrobocia a niektórzy (którym brakowało 2 lat do emerytury) stracili prawo do emerytury, mimo dojścia do wieku emerytalnego. Bo składek im potrącanych nie wpłacano gdzie należy. Dziś do tej sumy dochodzi już ok. 50 tys. dolarów kar i procentów od zaległych podatków. Następnie majątek upadłej „Polish Publishing Co.” obciążony jest długiem hipotecznym w wysokości 150 tys. dolarów i pretensjami z tytułu różnych dostaw, jak za papier, farby itd.

O ile znana jest orientacyjna wysokość zadłużenia: 370 tys. dolarów, plus kilkadziesiąt tysięcy dolarów za zainkasowane abonamenty roczne — o tyle trudno jest ustalić gdzie się podziały różne przychody tej spółki wydawniczej, gdyż nie wszystkie wpływy wydawnictwa zostały zaksięgowane. I tak spółka otrzymała jakieś dwa lata temu od władz miejskich blisko 100 tysięcy dolarów tytułem odszkodowania za jej stary dom, który został rozebrany w związku z rozbudową miasta. Ta suma miała posłużyć wydawcom do przeprowadzki do nowego lokalu i na kupno (częściowo) nowego sprzętu drukarskiego. Tymczasem pieniądze te zamiast do kasy wydawnictwa trafiły — prawdopodobnie — do Zakonu Ojców Zmartwychwstańców, zaś wydawcy musieli zaciągnąć pożyczkę w sumie 150 tys. dol. na te cele. Na te jest jedyny przypadek, że większe wpływy nie były księgowane w dochodach wydawnictwa. Np. *Dziennik Chicagowski* urządzał corocznie dochodowy bankiet pt. Wybór „Man of The Year” z czego zysk sięgał ok. 25 tys. dol. Zysk ten rzadko trafiał do ksiąg wydawnictwa. Podobnie bywało z subwencjami politycznymi przed wyborami. Przy takiej gospodarce nie można było nie zbankrutować.

Postępowanie upadłościowe ustali odpowiedzialnych za doprowadzenie do upadku 3-ch pism polonijnych. Ale chyba nie budzi wątpliwości opinia tych spośród Polonii amerykańskiej, którzy utrzymują, że w trudnych dla prasy polonijnej czasach nie powinno się odprowadzać z przychodów Wydawnictwa tak poważnych sum, nawet na potrzeby kościelne i doprowadzać w ten sposób do katastrofy.

Dziś jest to fakt nieodwracalny i nie jest to żadna dla Polonii pociecha, że ci co swoją gospodarką doprowadzili do bankructwa odbywają, bądź

ciche rekolekcje w murach klasztornych, bądź też głośno biją się w cudze piersi. Nikt ich nie prowadził do katastrofy z zawiązanymi oczami. Przeciwnie, od dwóch lat głośno było w prasie i organizacjach polonijnych, że przyszłość „Polish Publishing Co.” jest zachwiana z powodu złej gospodarki. Już dwa lata temu kilku zamożnych przedstawicieli Polonii amerykańskiej było gotowych wyposażyć spółkę wydawniczą w potrzebne środki, które pismom tym zapewniłyby byt. Stawiano jeden tylko warunek, aby Ojcowie Zmartwychwstańcy zrezygnowali w spółce z większości 51 % i dopuścili do współzrządów i kontroli tych co dadzą nowe wkłady. Warunek ten nie został przyjęty i do podziału odpowiedzialności za losy zasłużonych, starych pism polonijnych nie doszło. Kierownictwo gospodarką wydawniczą pozostało nie zmienione. Wzięło tym samym na siebie odpowiedzialność za „haniebne zdławienie” 3 pism polonijnych, czemu można było zapobiec przy większym poczuciu odpowiedzialności u tych co rzadzili i z racji stanowisk zajmowanych wiedzieli co się dzieje.

Edward PUACZ

Emigracja a odbudowa Zamku

5 października br. Radio warszawskie przeprowadziło wywiad z prof. Lorentzem, z którego wynika że główną troską emigracji jest zbieranie funduszy na odbudowę zamku w Warszawie. Zamieszczamy pełny tekst wywiadu bez komentarzy.

Dziś w naszym studio prof. dr Stanisław Lorentz. Panie profesorze co nowego na zamku?

— No, wczoraj mieliśmy wizytę kilku burmistrzów z USA, z tych miast gdzie są większe ośrodki polskie między innymi z wielkiego, potężnego polskiego ośrodka w Detroit i miałem możność przedyskutować z nimi, między innymi z burmistrzem Detroit, działalność komitetów polonijno-amerykańskich na terenie USA na rzecz zamku królewskiego w Warszawie. Burmistrz mi się chwalił, że ostatnio zorganizowano jakiś festiwal, z którego pozyskano przeszło 1.000 dolarów, to oczywiście zaraz przekazują też na zamek. Naturalnie to nie jest pierwsza kwota, która wpływa z Detroit i nie jest ostatnia, to jest jedna z kwot, która stamtąd wpływa.

Muszę powiedzieć, że zainteresowanie problemem odbudowy zamku królewskiego w USA w ogóle jest ogromne. Miałem możność to stwierdzić gdy byłem przez 4 tygodnie w maju i w początku czerwca w USA w kilkunastu ośrodkach gdzie są większe polskie skupiska. Jest też zainteresowanie sfer fachowych amerykańskich ale w szczególności polskie. To było wzruszające. Pokazywałem ten doskonały film „Jedenasta piętnaście” i miałem jeszcze odczyt z przezroczami. Potem odbywała się dyskusja. Otóż to wzruszenie, jakie wszędzie było, mnie wzruszało. Ci ludzie nie przyjmowali tego obojętnie — było tam przecież sporo ludzi takich którzy dopiero po wojnie, po powstaniu jako jeńcy wydostali się na Zachód, wyjechali tam, ale była i stara Polonia amerykańska i kończyło się to zawsze entuzjastyczną uchwałą dopomożenia w odbudowie zamku królewskiego w Warszawie. To wszystko jest w toku i myślę, że teraz zaczną te komitety, bo to były wakacje, po wakacjach coraz to intensywniej działać i będziemy mieli tego poważne rezultaty. Ale tam są bardzo interesujące i wzruszające zjawiska jeżeli chodzi

o Amerykę — np. nie wiedziałem zupełnie, że w Chicago istnieje klub przyjaciół Warszawy i tam jest około 500 członków — już parę tysięcy dolarów zebrali, obiecują że sam klub zbierze około 10.000 dolarów ale ten zapał! A artykuły takie jak w gazetach chicagowskich: „Zamek nasza miłość, nasza niezabliźniona rana, którą trzeba uleczyć”. To są wszystko rzeczy wzruszające.

Muszę powiedzieć, że tak samo z ogromnym zrozumieniem spotkałem się gdy teraz we wrześniu byłem we Francji i spotkałem się z komitetem francuskim odbudowy zamku w Paryżu, pod przewodnictwem posła do parlamentu Jean-Paul Palewskiego. I po moich odczytach, po pokazie tak samo filmu, muszę powiedzieć, że entuzjazm członków całego komitetu dorównuje temu, który spotkałem w Ameryce a również poprzednio jeszcze w kwietniu, w czasie mojego pobytu w Rzymie.

Do Francji muszę jeszcze na żądanie komitetu francuskiego wrócić, bo mam jeszcze objechać znów szereg ośrodków i polskich i francuskich, gdzie proszą mnie o wykłady i obiecują stworzyć komitety zamkowe. Myślę że w tej chwili możemy podsumować już pierwsze miesiące naszej działalności na terenie międzynarodowym jeśli chodzi o te tak wielkie, prawda, ośrodki — Włochy, USA, Francja — że ten bilans wypadnie nam pozytywnie.

“POLONIA”

NOWA KSIĘGARNIA POLSKA W CHICAGO
2921 Milwaukee Ave., CHICAGO, Ill. 60618.

Czynna codziennie od 10-ej do 6-ej pp.

Posiada na składzie: książki i czasopisma polskie, polskie karty okolicznościowe i Dział Antykwariatu; przyjmuje książki do sprzedaży komisowej.

Skład Główny na Chicago wydawnictw Instytutu Literackiego w Maisons-Laffitte (pod Paryżem), m.in. paryskiej KULTURY i ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH.

Księgarnia przyjmuje prenumeraty na polskie czasopisma i wykonuje pocztowe zlecenia księgarskie.

Nieznany list Żeromskiego

Kiedy w listopadzie 1965 roku objąłem stanowisko lektora języka polskiego przy uniwersytecie w AARHUS (Dania), moją pierwszą czynnością było dokładne sprawdzenie księgozbioru biblioteki seminarialnej Instytutu Sławistycznego, w szczególności zaś jej sekcji polonistycznej. Ku memu zdumieniu, mimo stosunkowo szczupłego zasobu książek, biblioteka ta zawierała pozycje, których pozazdrościłby niejeden polonista. Obok dzieł klasyków (Mickiewicz, Słowacki, Norwid, ten ostatni w wydaniu Miriama), znalazły się tu książki niezwykle rzadkie, dziś trudno dostępne nawet w Polsce (jak np. dwa tomy rozpraw i artykułów krytycznych St. Brzozowskiego), lub zgoła unikalne. Z pobieżnego przeglądu biblioteki można się było zorientować, że starannie zorganizowany warsztat polonistyczny zbudowany został przez kogoś kto znakomicie orientował się w zagadnieniach naszej historii, kultury i literatury. Nietrudno się domyślić o kogo chodzi: w ciągu ponad trzydziestu lat uniwersytecką placówką sławistyczną w Aarhus kierował jeden z najwybitniejszych znawców literatury polskiej i rosyjskiej na Zachodzie profesor dr Adolf Stender Petersen (21. V. 1893 - 16. IV. 1963), autor dwutomowej historii literatury rosyjskiej oraz książki o Bohomolcu *Die Schulkomödien des Pater Franciszek Winter Bohomolec*; niestety śmierć nie pozwoliła prof. A. Stender Petersenowi zakończyć naszkicowanej już w brulionie historii literatury polskiej.

Na półkach wśród książek uwagę moją przyciągnął szczególnie bogaty zbiór utworów Stefana Żeromskiego: komplet wydania J. Mortkowicza z początku lat dwudziestych. Na chybił trafił wyciągnąłem jeden tom: *Snobizm i postęp*. Na stronie tytułowej przeczytałem następującą dedykację:

„Wielce Szanowny Pan Prof. Adolf Stender-Petersen raczy przyjąć tę pracę, jako wyraz hołdu autora.

S. Żeromski

Warszawa d. 27. XII. 1922”.

Dalsze tomy zawierały następujące dedykacje: *Wiatr od morza*,

„A Mr le docteur Ad. Stender-Petersen hommage respectueux de l'auteur
12/5 22”.

Turoń,

„Czcigodnemu Panu Prof. Stender-Petersenowi ofiaruję z wyrazami hołdu i wdzięczności autor S. Żeromski
Warszawa d. 28. V. 1923”.

Sułkowski,

„A Monsieur le Profess. A. Stender-Petersen hommage respectueux de l'auteur

S. Żeromski

Varsovia la 29. V. 1923”.

Pomyłki,

„Wielce Szanownemu Panu Prof. Stender-Petersenowi z wyrazem głębokiej wdzięczności i prawdziwego szacunku przesyła autor
Warszawa d. 1 Października 1923”.

Po odkryciu tych autografów ciekawość moja wzrosła. Zacząłem dokładniej wertować poszczególne tomy wydania Mortkowicza aż wreszcie pewnego dnia natknąłem się w jednej z książek na żółtą kopertę z czerwonym napisem „Brev fra Żeromski” (list od Żeromskiego). Niedatowany, na czterech stronicach nielinowanego papieru formatu 15×19 cm., list ten stanowi dziś niezwykle ciekawy dokument o pracach i planach pisarskich Żeromskiego u schyłku życia. Zanim przytoczymy jednak treść listu, warto jeszcze powiedzieć kilka słów o jego adresacie, a zwłaszcza o jego poglądach na twórczość polskiego pisarza. Przytoczone wyżej autografy świadczą bowiem o tym, że nie były one traktowane przez Żeromskiego jako zdawkowe formułki grzecznościowe, lecz wyrażały istotnie głęboki szacunek dla osoby Stender-Petersena. List potwierdza tę opinię.

W liście autor *Popiołów* dziękuje A. Stender Petersenowi za recenzję szwedzkiego wydania *Urody życia* (*Livets fägring*). Badając tę sprawę bliżej okazało się, że duński uczyony pisał nie tylko o *Urodzie życia*, a jego artykuły o Żeromskim złożyłyby się na niewielką książeczkę. W artykułach tych uderza nie tylko znakomita orientacja w bieżących problemach literatury polskiej, ale zdumiewająca wręcz znajomość twórczości samego Żeromskiego, co z kolei ułatwia autorowi wyrobić do niej swój własny, niezależny sąd. Warto więc parę uwag rozważaniom A. Stender Petersena poświęcić. Udało się nam znaleźć cztery napisane po szwedzku artykuły Stender Petersena z lat 1922-1923. Pochodzą one z okresu kiedy ich autor był lektorem języ-

ków słowiańskich przy Uniwersytecie w Göteborgu. Artykułów tych jest prawdopodobnie więcej — należałoby tylko dokładniej przejrzeć czasopisma skandynawskie. Najważniejszy z nich pt. „Stefan Żeromski” opublikowany został na łamach *Nordisk tidskrift* za rok 1923 (str. 305-324). Znajdujemy tu dokładny przegląd drogi pisarskiej Żeromskiego w oparciu o analizę jego prozy. Autor rozróżnia dwojaki rodzaj dychotomię w twórczości polskiego pisarza i dzieli jego powieści na a) optymistyczne i pesymistyczne oraz b) społeczne i historyczne. Do optymistycznych zalicza tylko dwa utwory: *Szyfowe prace* oraz *Urodę życia*. Są one optymistyczne, gdyż wynika z nich jasno, że pomimo zewnętrznego przymusu, pomimo cierpień naród zawsze znajdzie w sobie dość sił duchowych, aby przeciwstawić się rusyfikacji i uciskowi. Żadna siła nie potrafi złamać woli narodu i rusyfikacja zawsze pozostanie „szyfową pracą”. Przy tej sposobności szczególnie dużo miejsca poświęca autor postaci Rozłuckiego. Resztę utworów cechuje, zdaniem Stender Petersena, powaga i smutek. Szczególnie to jest widoczne w takich dziełach Żeromskiego jak *Rozdziobią nas kruki, wrony* oraz w *Ludziach bezdomnych*. Tę ostatnią powieść nazywa Stender Petersen powieścią o obowiązku moralnym i dodaje, że należy ją interpretować jako reakcję przeciw współczesnym Sienkiewiczowskim powieściom „szlacheckim” o nieproduktywnych ludziach „bez dogmatu”. Żeromski pragnie ukazać nowy typ bohatera i stworzyć nowe dogmaty, których czystym źródłem jest *człowieczeństwo*. Myśl tę w bardziej skonkretyzowanej i rozwiniętej postaci znajdujemy także w innym artykule (*Göteborgs Handels och Sjöfarts Tidning* nr 28, 1922), gdzie Stender Petersen utrzymuje, że *Ludzie bezdomni* są szeregiem nowelistycznych obrazów złączonych postacią bohatera, który wywodzi się z klasy proletariackiej i jako taki reprezentuje nieznane dotąd w Polsce zjawisko życia społecznego. Dzięki swej pasji poszukiwania nowych ideałów życia dr Judym przypomina postacie Turgeniewa.

W dalszej kolejności omówione są *Dzieje grzechu* oraz *Walka z szatanem*. Jeśli się pozostawi na boku pewne wątpliwości sensacyjne to w *Dziejach grzechu*, sądzi Stender Petersen, można odkryć głębsze wartości humanistyczne, głównie zaś tolerancję oraz zrozumienie dla duchowych przeżyć kobiety. Cytując:

„Myśl przewodnia utworu jest mianowicie taka, że tylko po przez grzech można osiągnąć raj zaś ten kto pośród brudu pozostaje czysty i zachowuje nieskazitelną swoją duszę, nie mieszając się ze swymi grzesznymi braćmi, zrywa z samym życiem; tylko ten kto grzeszył, tylko ten kto cierpiał, może stać się świętym. Cała powieść Żeromskiego jest niczym innym jak apologią grzechu”. (tłum. moje — E. M.).

Kilka krytycznych uwag kieruje autor artykułu pod adresem formy powieści, głównie zaś chodzi mu o to, że Żeromski nie umie oddzielić rzeczy ważnych od nieważnych i dlatego myśl jego gubi się często w szczegółach. Gdy chodzi o *Walkę z szatanem* to mamy tu do czynienia z utworem, w którym przedstawione zostały społeczne, kulturalne i organizacyjne utopie.

Jako osobną grupę wyodrębnia Stender Petersen *Wierną rzekę* oraz *Popioły*, nazywając je powieściami o poszukiwaniu wielkich czynów. Autor dłużej zatrzymuje się nad *Popiołami*. Zarzuca im brak syntezy epickiej, ale jednocześnie przyznaje, że wada ta nie jest tak rzucająca się w oczy jak w przypadku powieści o tematyce społecznej. Dzieje się tak dlatego, gdyż w *Popiołach* istnieje niezwykle mocne spoiwo wewnętrzne: poetyckość. Jeśli u Tolstoję podziwiać możemy epicki styl (chodzi o *Wojnę i pokój*), to u Żeromskiego zachwyca nas liryczne przeżycie. Chociaż brak w tej epopei akcji we właściwym tego słowa znaczeniu, to jednak dramatyczność będąca jej istotnym elementem sprawia, że powieść uznać należy za arcydzieło.

Najciekawsza jest jednak generalna konkluzja artykułu, a mianowicie, że wbrew pozorom, głównym problemem twórczości autora *Ludzi bezdomnych* nie jest temat, idea (niemal z reguły społeczno-reformatorska), lecz problem formy. „Centralną sprawą w jego pisarstwie — powiada duński sławista — była przede wszystkim sprawa formy”. Żeromski dążył do wypracowania własnego świata poetyckiego; cel ten był jego nieustanną obsesją. W praktyce dualizm: powieść społeczna vs. historyczna pokrywa się odpowiednio z dualizmem artystycznym: naturalizm vs. liryzm. Te dwa typy pisarstwa walczą w Żeromskim nieustannie i w ostatecznym rachunku stanowią odzwierciedlenie jego dychotomii biograficznej — z jednej strony mamy Żeromskiego aktywnego działacza rewolucyjnego z czasów jego pobytu w Warszawie, z drugiej zaś strony mamy Żeromskiego-marzyciela, żyjącego w idyllicznej atmosferze Krakowa i Zakopanego.

W końcowej części artykułu wymienione zostały inne utwory Żeromskiego takie jak *Powieść o Walgierzu Wdałym*, *Duma o hetmanie*, *Sułkowski*, *Wiatr od morza*. Autor dopatruje się wpływu Wyspiańskiego na warstwę symbolistyczno-dźwiękową utworów Żeromskiego, ale zastrzega się, że oryginalność obrazów poetyckich tego ostatniego nie da się poddać w wątpliwość.

Pozostałe artykuły: „Stefan Żeromski” (po raz drugi ten sam tytuł), „Żeromskis Vindar fra havet” (Żeromskiego *Wiatr od morza* oraz „Livets fågring” (*Uroda życia*), pisane nieco wcześniej (wszystkie opublikowane zostały na łamach *Göteborgs Handels och Sjöfarts Tidning* nr 28, 169, 271 z 1922 roku), można właściwie traktować jako uzupełnienie i rozwinięcie tego artykułu „Stefan Żeromski” z *Nordisk tidskrift*. Pierwszy z nich jest omówieniem szwedzkiego tłumaczenia *Wiernej rzeki*, ale zawartością materiału przekracza jednak ramy zwykłej recenzji. Twórczość Żeromskiego ukazana tu została na tle tendencji okresu Młodej Polski, głównie zaś w zestawieniu z takimi pisarzami jak St. Wyspiański, J. Kasprzowicz, K. Przerwa-Tetmajer, Wł. Reymont.

Wiatr od morza nazywa Stender Petersen „najdziwniejszym utworem literackim nowej Polski”. Nie jest to bowiem ani powieść, ani epos lub liryka w potocznym znaczeniu wyrazu; chyba najodpowiedniejszą nazwą dla dzieła Żeromskiego byłby wyraz „poemat” (szwedzkie „poem”). Utwór ten jest do tego stopnia

poetycki, do tego stopnia nasycony liryzmem, że ten liryzm rozsada ramy architektoniczne dzieła. W tym liryzmie zresztą upstrze Stender Petersen dominującą, specyficzną cechą literatury polskiej w ogóle i dlatego uznaje Żeromskiego za najbardziej typowego pisarza polskiego.

Ostatnia ze znanych nam recenzji poświęcona jest *Urodzie zycia*, która ukazała się w szwedzkim tłumaczeniu E. Weer w 1922 roku. To właśnie za nią dziękuje Żeromski Stender Petersenowi w swoim liście. W porównaniu jednak z poprzednimi pracami w recenzji tej powiedziane zostało niewiele o twórczości literackiej Żeromskiego. Autor koncentruje się wyłącznie na samej powieści — uznaje ją za najbardziej jaskrawą manifestację patriotycznych uczuć Żeromskiego.

Przedstawione tu artykuły profesora Stender Petersena stanowią ciekawy przyczynek do historii kontaktów literackich polsko-skandynawskich w XX w. a w ich kontekście staje się lepiej zrozumiałą przytoczony niżej list Żeromskiego do profesora A. Stender Petersena.

Edward MOŻEJKO

LIST STEFANA ŻEROMSKIEGO DO PROFESORA ADOLFA STENDER PETERSENA

Warszawa
ulica Mazowiecka 12
Księgarnia Towarzystwa Wydawniczego

Wielce Szanowny Panie Profesorze!

Musiąło to niemiłe uderzyć Wielce Szanownego Pana Profesora, iż po napisaniu do mnie obszernego i tyle łaskawego listu z powodu „Wiatru od morza” w sierpniu roku bieżącego, nie otrzymał aż dotąd odpowiedzi. Nie będę przytaczał wielu przyczyn, które wpłynęły na to opóźnienie, — było wiele istotnych, — ale podniosę tylko jedną. Chciałem, w charakterze odpowiedzi, przesłać Wielce Szanownemu Panu Profesorowi swą nową książkę, nad którą długo pracowałem, pod tytułem — „Snobizm i Postęp”, gdyż zawarło się w niej wszak myśli o nowoczesnej kulturze w Polsce i nie tylko w Polsce. Tymczasem książka, zamierzona początkowo na skromniejsze rozmiary, urosła do 200 stronic druku, — nadto przyszyły jesienne niedomagania, na które zwykle zapadam, — i oto zarówno książka, jak list uległy opóźnieniu.

W czasie tego wszystkiego otrzymałem nowy dowód łaskawości na umiar¹ Wielce Szanownego Pana Profesora, w postaci Jego recenzji o „Livets fägring” w „Göteborgs H. och S. Tid-

1. Jest to jedyne niewyraźne miejsce w liście Żeromskiego. Wyraz ten można też odczytać jako „mnie”.

ning”² z d. 21 XI 1922. To mię do reszty upokorzyło. Na szczęście owa książka pt. „Snobizm i Postęp” wychodzi spod prasy. Będę tedy miał to szczęście, iż pierwszy otrzymany z drukarni egzemplarz przesłał Wielce Szanownemu Panu Profesorowi, jako mój skromny wyraz hołdu dla Tego w świecie Skandynawskim uczonego i pisarza, który tak świetnie, jak nikt, włada naszym językiem, a nadto żywi dla naszego narodu przyjaźń z gruntu uczucia.

W tym czasie pisałem drugą jeszcze krótszą rzecz — przedmowę do przekładu polskiego zbiorowego wydania pism angielskich Józefa Conrada (Korzeniowskiego) Polaka z pochodzenia, lecz Anglika z przekonań, i biegu życia. Pozwolę sobie i tę książkę z moją przedmową przesłać Wielce Szanownemu Panu.

Nie umiem po szwedzku, ani po duńsku, choć, będąc dawnymi laty bibliotekarzem w Rapperswylu w Szwajcarii, wiele książek Skandynawskich otrzymywałem od H. Bukowskiego³ ze Sztokholmu i wtedy poduczyłem się nieco szwedzkiego. Teraz muszę poprzestawać na czci dla tych pionierów, którzy jak Wielce Szanowny Pan wytrwale nad zbliżeniem kultur pracują. Łączę wyrazy najgłębszego szacunku i poważania

Stefan ŻEROMSKI

2. Göteborgs Handels och Sjöfarts Tidning.

3. H[enryk] Bukowski — wiceprezes Rady Muzealnej i kierownik wewnętrznej administracji zbiorów muzealnych w polskim Muzeum Narodowym w Rapperswylu w okresie, kiedy S. Żeromski tam pracował (1892-1896). Zdzisław J. Adamczyk ogłosił na łamach *Twórczości* (nr 12, 1968, str. 137-140) list S. Żeromskiego do Tomasza Teodora Jeża. List dotyczy spraw związanych z pracą w Muzeum.

Komunikaty

K O N K U R S NA ZNACZEK POCZTOWY U.S.A. O MOTYWIE KOPERNIKOWSKIM

Z okazji obchodów 500-letniej rocznicy urodzin Mikołaja Kopernika Kongres Polonii Amerykańskiej ogłasza wielki KONKURS na proponowany znaczek olicznościowy poczty U.S.A. który ma być wydany na początku 1973 roku.

Nagrody dla zwycięzców przekraczają sumę \$ 2.250,00. Poza nagrodami pieniężnymi przewidzianych jest 25 nagród wyróżnienia (pamiątkowe puchar).
Komitety Filatelistyczne proponując nagrody chciał dać możliwość jak największej ilości partycypujących w uzyskaniu pamiątkowych wyróżnień, jak również uzyskania nagród pieniężnych, które w małej (a może i w dużej) części dadzą pewną rekompensatę za wysiłek i pracę.

Nie ogranicza się terenów, z których można nadsyłać swoje projekty, nie ustalamy wieku lub też ilości zgłoszeń, jedynym warunkiem Konkursu jest przestrzeganie regulaminu.

Konkurs jak i cały regulamin podany jest w języku angielskim aby uniknąć nieporozumienia w związku z jego tłumaczeniem.

Chicago, 18 września 1971.

N. C. ZBYSZEWSKI
Przewodniczący

Chcący wziąć udział w Konkursie winni zwrócić się bezpośrednio do Kongresu Polonii Amerykańskiej celem otrzymania szczegółowego regulaminu Konkursu.

Termin zgłoszenia udziału w Konkursie mija 31 marca 1972.

Pisać należy na adres:

The PHILATELIC COMMITTEE of the POLISH-AMERICAN CONGRESS
1200 North Ashland Avenue,
CHICAGO, Illinois 60622,
U.S.A.

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKI « KULTURY »

TOM 202 - SERIA « DOKUMENTY »

POZNAŃ 1956
GRUDZIEŃ 1970

m.in.

Tom zawiera następujące opracowania:

KRONIKA WYDARZEŃ: GRUDZIEŃ 1970 - LUTY 1971 —
BIUROKRATYCZNYCH RZĄDÓW CIĄG DALSZY — SYLWETKI
NOWEJ EKIPY — POZYCJA KOŚCIOŁA — POZNAŃ 1956.

Str. 228.

Cena F. 18,50 (dol. 4,00; £ 1.60)

Książki

Niść czarna

Martyrologia jest tematem trudnym, ponieważ najbardziej nawet uzasadnione rachunki krzywd sąsiadują niebezpiecznie blisko z biadoleniem lub — co gorsza — epatowaniem cierpieniem. Polska martyrologia jest szczególnie trudna literacko, bo zbyt dużo jej w prawdziwym życiu. Toteż — choć felieton recenzyjny nie jest historią literatury ani „tablicą zasłużonych” — godzi się odnotować dwie powieści Piotra Guzego¹, które podejmują „niść czarną” polskiego losu w sposób naprawdę przejmujący.

Obie wydają się częściami jednego cyklu, mimo że stanowią odrębne całości i mimo, że traktują o ludziach z dwóch przeciwnych stron powstałej po 1945 roku barykady: *Krótki żywot bohatera pozytywnego* jest portretem szefa powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa, a *Stan wyjątkowy* — obrazem „normalnej” rodziny inteligenckiej (obóz koncentracyjny — AK — dywizja Maczka — prześladowanie przez UB). Podobieństwo wynika częściowo z jedności czasu i miejsca: Polski widzianej w zbliżeniach, koncentrujących się wokół okresów wyróżnionych — okupacji, stalinizmu, odwilży i „średniego gomułkizmu”; przede wszystkim jednak łączy je wspólna technika: monologu wewnętrznego, toku bezpośredniego przeżycia. *Krótki żywot* jest strumieniem percepcji, wspomnień i skojarzeń „powiatowego Belzebuba”, majora UB, wietrzącego swój upadek jako „ofiary” popaździernikowych retuszów. W *Stanie wyjątkowym* patrzymy na świat oczyma czterech osób, należących do tej samej rodziny: matki, dwóch synów i przybranej wnuczki — i ta sama *story* rozwija się, obrasta nowymi wątkami i ukazuje nieoczekiwane połączenia przyczynowe w czterech uzupełniających się wersjach, „przeżytych na nowo” w czterech różnych punktach czasowych.

1. Piotr Guzy: *Krótki żywot bohatera pozytywnego*, Instytut Literacki, Paryż 1966 (Biblioteka „Kultury”, tom 123); *Stan wyjątkowy*, *ibid.*, Paryż 1968 (Biblioteka „Kultury”, tom 159).

Pozornie bezładny tok oderwanych reminiscencji, przeplecionych z doznaniem skąpej akcji bieżącej angażuje uwagę czytelnika w proces roszkrowywania jeszcze niewidocznej, a już wyczuwalnej reszty ukazanych od środka ludzi. Opowiadana historia z przeszłości nabiera specjalnej wagi dzięki temu, że nie przemija wraz z przemijaniem powieściowego czasu, a przeciwnie — w miarę jego upływu występuje coraz wyraźniej, staje się obecna, tak jak jest obecna w psychicznej teraźniejszości bohaterów. Przypomina to proces powstawania obrazu — lub poznawania człowieka. Niewyraźne kontury, niepowiązane detale stopniowo tworzą całość, to co widać „tu i teraz” okazuje się funkcją czegoś innego — czegoś poza płótnem, czegoś pod powierzchnią teraźniejszości. Właściwą zawartością przekazu okazuje się forma owej funkcji odwzorowującej, nie zaś same — mniej lub bardziej „ilustracyjne” — podstawienia wartości: kreski, plamy lub zdarzenia. Mówiąc prościej, punkt ciężkości spoczywa bardziej na portretach psychicznych ludzi, przeżywających czas, nazwany przez Guzego „stanem wyjątkowym”, niż na zaprezentowaniu takiej-a-nie-innej opowieści. To nie znaczy, że tzw. wątek przeprowadzony jest u Guzego mało precyzyjnie; odwrotnie — *story*, szczególnie w *Stanie wyjątkowym*, jest kunsztowna; chciałoby się nawet rzec: — aż zbyt kunsztowna — gdyby nie to, że wobec prawdy ukazanego czasu nasuwa się refleksja, że i taki splot wypadków jest prawdopodobny. Niemniej, wydaje się, że centralnym zagadnieniem w obu książkach nie są same wypadki, a to, co dzieje się z ludźmi — czy raczej: co z nich pozostaje — po zderzeniu z „niemożliwymi sytuacjami”.

„Niemożliwa sytuacja? wszyscy odtąd musimy się liczyć z tym, że któregoś dnia ktoś może nas bezkarnie i bezcelowo zabić, jak również i z tym, że ktoś może od nas zażądać, żebyśmy bez powodu zabili drugiego człowieka [...] mam rozkaz go zabić, jeśli go nie zabiję, rozstrzelają dziesięciu, stu, tysiąc innych, i kto nie dopuścił jeszcze możliwości znalezienia się w takiej sytuacji nie może o sobie powiedzieć, że zmierzył się z centralnym zagadnieniem dwudziestego wieku, nawet nie rozumie, na czym ono polega”. (*Stan wyjątkowy*, str. 76).

Ludzie wobec nieszczęścia. Forma monologu wewnętrznego wydaje się tu najlepszą — bo najbardziej bezpośrednią — formą ujęcia. Odpada bowiem reżyserska — czy: suflerska — rola autora, siłą rzeczy „mądrzejszego” od swych postaci, a więc odpada też pokusa „ogólnego podsumowania”, sentencji osądzającej i „wytyczającej drogę na przyszłość”. Guzy słusznie takiej superkonkluzji unika. Jego postaci mówią na własny rachunek i rachunek ten obejmuje zarówno westchnienie jednej z osób występujących w *Stanie wyjątkowym*: „*Płacz to dar od Pana Boga*” — jak i filozofię, do jakiej doszedł (doprowadził się? został doprowadzony?) „bohater pozytywny”, major UB: „*...teraz jest równość, wsio gawno, człowiek to jednak jest szmata, niech tylko poczuje strach, niech tylko go trochę przycisnąć...*”. W warunkach polskiego „stanu wyjątkowego”, formacji utrwalonej

na pokolenia, nieszczęście ma charakter siły elementarnej, pozaludzkiej, od której wszelkie formuły i mądrości odskakują jak kule od skały — grożąc dodatkowym spustoszeniem. Kunsztowność fabuły *Stanu wyjątkowego* służy niewątpliwie podkreśleniu tego podziału na świat ludzki i *das Unmenschliche*: błahe, codzienne decyzje, przypadkowe potrącenia łańcucha przyczyn i skutków powodują nie dające się kontrolować przemieszczenia ślepych sił: przejście tą a nie tamtą ulicą decyduje o życiu i śmierci idącego i innych; przypadkowa znajomość sprzed lat okazuje się zbrodnią, grożącą strasznymi konsekwencjami dla samego „winowajcy” i innych, itd. Tragizm „niemożliwych sytuacji” polega właśnie na tym, że kategorie winy i obowiązku, dobra i zła odnoszą się do ludzi, nie do żywiołów. Ludzie stojący wobec kataklizmu są sami — zaś ludzie stojący nad zgłiszczami podnoszą oczy na współpogorzalców. Ktoś przecież musiał ściągnąć nieszczęście właśnie tutaj... „*Powinienem być...*”, „*nie trzeba było...*”, „*może należało...*” — nieszczęście jest nie tylko doraźnym spustoszeniem, lecz trwa jako koszar wyrzutów sumienia, żalu do najbliższych, bezsilności wobec własnej przeszłości. A jedyna pociecha — jeśli to pociecha! — „*cóż można było zrobić? — nic nie można było zrobić!*”, jest zatruta jadem ubeckiego: „*wsio gawno — człowiek to jednak jest szmata*” — czyli kapitulacji wobec wieków pracy, jaką kosztowała ludzkość wiara (być może absurdalna, to inna rzecz) że człowiek nie jest szmata.

Trudność, jaką odczuwa się przy próbie mówienia o tych sprawach — mam na myśli: mówienia przy pomocy okrągłych zdań i dobrze osadzonych słów — stanowi dodatkowe uzasadnienie zastosowanej przez Guzego techniki. Rzecz w tym, że o pewnych sprawach nie wypada śpiewać. „Nie wypada” nie w sensie towarzyskim, a tak jakoś, naprawdę. Bo śpiew brzmi czasem sztucznie. Natomiast „strumień świadomości” — a właściwie zdyszany bełkot, bo tak przecież się odbiera „siebie dla siebie” — taki jak w powieściach Guzego, brzmi prawdziwie. Myślę, że wybór Guzego miał do czynienia więcej z tą trudnością, o której wspominałem, niż z modą, Joycem, itd. Dlatego trudno mi zgodzić się z krytyką Wita Tarnawskiego, który w *Wiadomościach* zarzucił Guzemu niekonsekwencje i przerwy w prowadzeniu owego „strumienia świadomości”. Być może „takowe są” — ale czytelnik ich nie zauważa (sądzę po sobie). Nie ma natomiast irytującego w takich wypadkach wylizania. W tym ciągu wspomnień, powtórzeń, trywialnych powszednich drobiazgów, pozornie bezsensownych skojarzeń, bólu nie-do-wyrażenia, obsesyjnych leitmotywów („*nie chciał mnie, nie chciał moich piersi starych, zwiędłych*”), fragmentów Biblii i przekleństw tkwi rozdzierająca prawda o ludziach i prawda o Polsce.

Pośrednim potwierdzeniem „konieczności” takiej właśnie formy wydaje mi się *Apelacja* Andrzejewskiego, napisana mniej więcej w tym samym czasie co *Stan wyjątkowy* i posługująca się podobną techniką: „mowy wprost” i nakładających się na siebie

wariantów tej samej *story*. Myślę, że i tu forma ta narzuciła się nie dlatego, że Joyce, Czapek (*Meteor!*) i Pirandello — a dlatego, że i Andrzejewski i Guzy dokopują się do takiej prawdy, wobec której nie godzi się śpiewać.

Z myślą o umysłach podejrzliwych śpieszę dorzucić, że wspominać o Andrzejewskim nie po to, by jego autorytetem pisarskim „bronić” Guzego, który żadnej obrony nie potrzebuje — wystarczy przeczytać jego książki. *Stan wyjątkowy* jest książką tej samej rangi co *Apelacja*, a — moim zdaniem — wyższej od (też moim zdaniem) przesadnie wysoko ocenianej powieści Andrzejewskiego *Popiół i diament*. Niechętnie piszę o rangach, bo literatura to nie wojsko, ale tak się składa, że „autorament cudzoziemski” czyli emigracja ma mniejsze szanse stanięcia w szranki literaturze przystające, tzn. dotarcia do czytelnika. Więc czasem chce się pokazać palcem.

M. BRONSKI

Krajowe nowości wydawnicze

Opracowała Maria Danilewiczowa na podstawie nowych nabytków Biblioteki Polskiej w Londynie

Biblioteki

29. BIBLIOTEKA NARODOWA W WARSZAWIE. *Inkunabuły w bibliotekach polskich*. Centralny katalog pod redakcją Alodii Kaweckiej-Gryczowej. Opracowały: Maria Bohonos i Eliza Szandorowska. Wrocław, 1970, Zakł. Narodowy im. Ossolińskich, 4^o, 2 tomy, str. 1212+33 tabl. (faks.).

Katalog opisuje 5767 inkunabułów (tj. druków wydanych w XV wieku), znajdujących się w zbiorach polskich. Najwięcej — bo 3322 druki — posiada Biblioteka Jagiellońska, po niej idzie Bibl. Uniwersytecka we Wrocławiu — 3020 egz., — dalej, około tysiąca w każdej: Bibl. Kapitulna we Wrocławiu, Bibl. Archidiecezjalna w Gnieźnie, Bibl. Archidiecezjalna w Poznaniu, Bibl. Narodowa w Warszawie, Bibl. Seminaryjna we Wrocławku. Wiele tytułów występuje w zbiorach kilku bibliotek. Jeśli przypomnimy, że straty wojenne objęły całość zbiorów Żałuskich i Bibl. Uniw. w Warszawie oraz Bibl. Seminaryjnej w Płocku i że, mimo to, dochoowało się tyle tysięcy, stan posiadania budzi podziw, jako świadectwo rozległych stosunków kulturalnych Polski z Zachodem. Katalog jest niejako realizacją testamentu Kazimierza Piekarskiego, który w dwudziestoleciu Niepodległości zapoczątkował prace nad katalogiem centralnym starych druków w zbiorach polskich. Jest nadto rezultatem wieloletniej pracy zespołu redakcyjnego. Druk przynosi zaszczyt Wrocławskiej Drukarni Naukowej i kliszarniom krajowym. Nakład (1000 egz.) zbyt niski, gdyż dzieła tego typu wchodzą automatycznie do księgozbiorów podręcznych wielkich bibliotek światowych.

Filozofia

30. INSTYTUT FILOZOFII I SOCJOLOGII PAN. *Filozofia w Polsce*. Słownik pisarzy. (Komitet red.: Bron. Baczo, Jan Garewicz, Henryk Hinz,

Anna Hochfeldowa, Leszek Kołakowski, Tad. Kozanecki, Zb. Ogonowski, Barbara Skarga, Lech Szczucki, Andr. Walicki, Zofia Włodek). Warszawa, 1971, Zakł. Narodowy im. Ossolińskich, 4^o, str. 462.

Zadaniem słownika, jak wynika z przedmowy, jest „dostarczenie informacji o pisarzach, którzy uczestniczyli w kształtowaniu filozofii jako składnika kultury narodowej”. Poszczególne biogramy podpisane są przez autorów. Uczeń żyjący nie są objęci słownikiem. Mimo dysproporcji w długości opracowań poświęconych np. Róży Luksemburg, Julianowi Marchlewskiemu itp. i nieco brulionowej formy wielu życiorysów, książka może oddać usługi w bibliotekach podręcznych jako łatwo dostępne źródło informacji o filozofach polskich.

31. INSTYTUT FILOZOFII I SOCJOLOGII PAN. *Filozofia i pokój*. Zbiór rozpraw opracowany przez zespół redakcyjny „Studiów Filozoficznych” pod red. Janusza Kuczyńskiego. Warszawa, 1971, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, 8^o, str. 371.

Motto (ze wstępu „Od redakcji”): „Ze wszystkich wielkich problemów, którymi ludzkość obecnie żyje i które musi rozwiązać, sprawa pokoju jest najważniejsza” — powiedział Edward Gierek, I sekretarz KC PZPR”. Tyle wstęp. Konkluzja końcowa, pióra redaktora: „Konfrontacja marksizmu i radykalnego personalizmu w zakresie moralnych uzasadnień pokoju może się stać jedną z najbardziej twórczych płaszczyzn dla dobra najważniejszej sprawy naszej epoki”. Pragnącym bliżej poznać owe „twórcze płaszczyzny” można polecić „Teorię wojny ludowej Komunistycznej Partii Chin” Tomasza Twardego. Jest to jednak tylko „zarys wstępny”.

Historia nauki

32. BIRKENMAJER, Aleksander: *Etudes d'histoire des sciences et de la philosophie du Moyen Age*. Wrocław, 1970, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wydawnictwo PAN, 4^o, str. CIV, 698. (Zakład Hist. Nauki i Techniki PAN, seria: Studia Copernicana, I).

Tom inauguruje serię wydawaną przez PAN z okazji 500-iej rocznicy urodzin Mikołaja Kopernika. Studia śp. prof. Birkenmajera są wprowadzeniem do serii, podbudowując jej tło historyczne i filozoficzne. Autor ich łączył prace nad historią nauki z bibliotekarstwem. W latach 1924-39 był kustoszem Działu Rękopisów Biblioteki Jagiellońskiej, — i z tego właśnie okresu datuje się większość rozpraw zebranych w wydanym obecnie tomie. Prof. Birkenmajer był w latach 1925-27 członkiem Komisji Rewindykacyjnej, która przejmowała na rzecz Polski zbiory wywiezione do Rosji po rozbiorach; w roku 1939 należał do grona profesorów wywiezionych z Krakowa do Oranienburga za odmówienie podpisania Reichsliste (z racji niemieckiego pochodzenia przodków) i za upieranie się przy polskim pochodzeniu Kopernika. Reprezentował naukę polską na wielu kongresach i cieszył się reputacją światową jako historyk nauk ścisłych.

Kultura artystyczna

33. TRADYCJA I WSPÓŁCZESNOŚĆ. *O kulturze artystycznej Polski Ludowej*. (Materiały sesji: Problemy kultury artystycznej w Polsce Ludowej, Warszawa, 3-4. VII. 1969). Warszawa, 1970, Państw. Inst. Wydawniczy, 8^o, str. 245 (3). (Z prac Instytutu Sztuki PAN).

Na książkę, poprzedzoną przedmową Juliusza Starzyńskiego, składają się referaty, dotyczące sztuk plastycznych, życia muzycznego i teatralnego, filmu

i telewizji. W toku obrad Sesji zarysowała się ostra różnica zdań na temat kierunków rozwoju kinematografii polskiej i dwutorowości, wyrażającej się produkcją a) filmów popularnych, b) filmów o wartościach intelektualnych. Prof. B. Korzeniewski w uwagach o teatrze współczesnym dał wyraz przekonaniu, że „pewna forma teatru nieodwołalnie się kończy”, „teatr przestał być wyrazicielem najistotniejszych i aktualnych problemów; staje się częścią rozrywką”. W dziedzinie malarstwa najbardziej dyskutowany był problem kolorystów, którzy — jak ujął to doc. dr A. Ryszkiewicz „odwoływali się do dobrych wzorów”, „nauczyli patrzeć”. Przez wszystkie referaty przewija się zaniepokojenie stanem obecnym i troska o przyszłość i poziom polskiej kultury artystycznej, wołającej o „nową szansę”.

Sztuka sakralna

34. SZYMAŃSKI, Stanisław: *Wystroje malarskie kościołów drewnianych*. Warszawa, 1970, Instytut Wydawniczy PAX, 8°, str. 320, ilustr., streszczenie francuskie (złe), bibliogr.

Książka odkrywcza o wystrojach (polichromii) drewnianych kościołów polskich. Wiele z nich ujawniono w ostatnich latach w toku prac inwentaryzacyjnych.

F i l m

35. WACHNOWICZ, Barbara: *Filmowe przygody małego rycerza*. Warszawa, 1971, Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe, 8°, str. 323.

Interesujący opis perypetyj związanych z nakręcaniem „Pana Wołodyjowskiego”... w Bieszczadach, które zastąpić „musiały” właściwe tło powieści. Piękne fotosy.

Literatura piękna (eseje, felietony)

36. SŁONIMSKI, Antoni: *Jedna strona medalu*. Niektóre felietony, artykuły, recenzje, utwory poważne i niepoważne publikowane w latach 1918-1968. Warszawa, 1971, Czytelnik, 8°, str. 591.

Reputacja Słonimskiego, jako felietonisty i krytyka teatralnego *Wiadomości Literackich*, nie tylko przetrwała opresje wojenne i powojenne, ale nawet wzrosła, osiągając wymiary legendy. Mniej znany jest as. powojenny, zdobywający się np. w polemice z J. W. Gomułkicim na westchnienie: „Norwida naszego powszedniego daj nam, panie, i odpuść nam komentarze, które i my popełniamy”. Albo wyznający we wspomnieniach z dzieciństwa, iż nie lubi basenów i cyklistów, ponieważ „w zadaniach arytmetycznych cykliści zwykle krążyli koło basenów, które napępniały się wodą i opróżniały”. Jest w tym cały Słonimski-poeta, ale jak z tym pogodzić entuzjazm dla astronomii i Wells'a? Poeta przebija się często przez prozę felietonów („Každy z nas, chcąc czy nie chcąc, bierze udział w wielkiej loterii nie-szczęść”, „Żeby być poetą, nie trzeba nic umieć. To samo, żeby być młodym”). Na str. 573 niezadawalające wyjaśnienie tytułu tomu: „Dlaczego 'Jedna strona medalu'? Oto próba wytłumaczenia. Jest to jedna strona moich poglądów i wypowiedzi krytycznych i przypomnienie, że drugą stroną medalu jest moja poezja”. A ja myślałam...

37. MIĘDZYRZECKI, Artur: *Dialogi i sąsiedztwa*. Warszawa, 1971, Państw. Inst. Wydawniczy, 8°, str. 286.

Eseje dotyczące współczesnej literatury europejskiej, z odkrywczymi odwołaniami się do pisarzy dawniejszych (np. w eseju „O świadomości współczesnego poety” passus o Andrzeju Morsztynie i Danielu Naborowskim).

Historia literatury polskiej

38. INSTYTUT BADAŃ LITERACKICH PAN. *Obraz literatury polskiej XIX i XX wieku*. Seria czwarta: Literatura polska w okresie realizmu i naturalizmu. Zespół redakcyjny: Janina Kulczycka-Saloni, Henryk Markiewicz i śp. Zbigniew Zabicki. Warszawa, 1966-71, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, 4 tomy, ilustr., bibliogr.

Instytut Badań Literackich przystąpił około 1960 roku do opracowywania szeroko zakrojonego wydawnictwa encyklopedycznego wzorowanego w ogólnych zarysach na „Wiek XIX. Stu lat myśli polskiej” z I-ej ćwierci bieżącego stulecia. Materiał podzielony na 6 seryj, z których czwarta, właśnie zamknięta tomem czwartym, obejmuje okres realizmu i naturalizmu, pokrywający się w grubszych zarysach z okresem pozytywizmu (w dawnej nomenklaturze). Każda seria poprzedzona jest wstępem, informującym ogólnie o historii literatury danego okresu i podającym pozytywne bibliografie. Istotą wydawnictwa są jednak zwarte obrazy życia i twórczości pisarzy pierwszo- i drugorzędnych (82) opracowane przez dobrych znawców i twórczości danego autora. Tak więc np. o Sienkiewicz pisze prof. Julian Krzyżanowski o Zapolskiej — Jadwiga Czachowska itp. Szczególnie cenne są opracowania autorów pomniejszych np. Hajoty, Sygurda Wiśniewskiego i wielu innych. Każdy tom opatrzone dodatkiem ilustracyjnym, przynoszącym portrety, faks. kart tytułowych i rękopisów itp. Książka niezbędna w bibliotece podręcznej każdego polonisty i nieoceniona jako pomoc dla studentów.

39. CHRZANOWSKI, Ignacy: *O literaturze polskiej*. (Wyboru dokonał: Andrzej Biernacki) Warszawa, 1971, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, 8°, str. 533, front. portr.

Zenujący późna i cicha „rehabilitacja” profesora, na którego podręczniku historii literatury polskiej wychowało się kilka pokoleń. Sp. prof. Stan. Pigoń uważał za swój obowiązek wydanie przynajmniej wyboru pism swego Mistrza. Chciał, ale nie z własnej winy nie mógł tego dokonać. Wybór obecny poprzedzony jest jednak przedrukiem nekrologu z *Pamiętnika Literackiego* z roku 1946 pióra Pigionia.

40. STRASZEWSKA, Maria: *Życie literackie Wielkiej Emigracji we Francji, 1831-40*. Warszawa, 1970, Państwowy Inst. Wydawniczy, 8°, str. 482. (Z prac Instytutu Filologii Polskiej Uniwersytetu Warszawskiego).

Dobrze udokumentowany obraz pierwszego dziesięciolecia Wielkiej Emigracji, poprzedzony „prehistorią”, omawiającą działalność propagandową Leonarda Chodźki i głosy francuskie w sprawie polskiej z okresu powstania listopadowego. Książka następcza bogaty materiał porównań ze współczesnymi naszymi poczynaniami; jeśli nawet podtrzymywać będziemy teorię wielkości, bo Mickiewicz, bo Słowacki, bo Krasiński, to w konfrontacji z faktami, które mówią, że współcześni dostrzegli tylko skrawki owej wielkości. Ani Słowacki, ani Krasiński nie byli w pierwszym dziesięcioleciu Emigracji „najbardziejymi poetami”, a Mickiewicz był przedmiotem nie tylko zachwyty ale i brutalnych ataków, a np. „Dziadów cz. III” „nie zadośćuczyniła w pełni pragnieniom uchodźstwa”. Sytuacja pisarzy, „synów w rozproszeniu”, była równie trudna jak obecnie. „Nie pomrzemy z głodu, to prawda, ale pomrzemy dla literatury, bo każdy musi chwycić się takiego zarobku, w którym nie będzie miejsca dla natchnień” — stwierdzał Goszczyński.

Pisano jednak wiele, tak wiele, że np. w roku 1839 Emigracja liczyła 125 drukarzy, a czcionki polskie znaleźć było można w dziesięciu skupiskach polskich poza Paryżem! (Dodajmy, że przeciętny poziom druków był wyższy od obecnego).

Książka Straszewskiej doprowadza historię literacką Emigracji do pierwszego wykładu Mickiewicza (22. XII. 1840) i uroczystości pogrzebowych Napoleona, na które przybył z Litwy Towiański.

Historia czasopiśmiennictwa

41. SZYMAŃSKI, Wiesław Paweł: *Z dziejów czasopism literackich w dwudziestoleciu międzywojennym*. Kraków, 1970, Wydawnictwo Literackie, 8°, str. 386.

Jest to właściwie drugie rozszerzone wydanie „Od metafory do heroizmu” (1967). Tytuł mało precyzyjny. Szkice dotyczą niektórych czasopism międzywojennych, a mianowicie: *Kwadrugi, Linii, Żagarów, Lewara, Marchońta, Verbum, Okolicy Poetów, Naszego Wyrazu, Sygnałów i Ateneum*. W kontekście teraźniejszości brzmi niemal XIX-wiecznie cytata z listu Miłosza do Sebyły z 1932: „Sterczą w Suwałkach, które mają wiele ponętnych stron. Święta, pijaństwa i pogrzeby ze strażacką pompą, pogrzeb jest tu ewenementem, który skupia całą socjetę, jest to rozrywka kulturalna, mniej więcej zastępująca teatr”.

Reportaże z podróży

42. WARNEŃSKA, Monika: *Kraj lat młodości*. Śladami Mickiewicza. Lublin, 1970, Wydawnictwo Lubelskie, 8°, str. 265.

Reportaże ze szlaków mickiewiczowskich z lat 1958-64. Nowogródek: „z cokołu pomnika spogląda na miasto Lenin”. Zaosie: obelisk z napisem „Tut, w Zawossi, 24 stycznia 1798 goda naradziausia wieliki paet Adam Mickiewicz”. Wilno: ul. Piles (Zaułek Bernardyński): Memorialnis Adamo Mickevicius butas muziejus. Soleczniki: „na słupach przydrożnych po litewsku, białorusku i po polsku wypisano wezwania do walki o wysoki urodzaj”. Bolcienniki: kołchoz im. A. Mickiewicza. „Akermanu już nie ma! Dawny Akerman, to obecnie Biełgorod Dniestrowski”.

Pamiętniki (w. XVIII)

43. LUBOMIRSKI, Stanisław: *Pod władzą księcia Repnina*. Ułamki pamiętników i dzienników historycznych (1764-1768). Opracował i wstępem poprzedził Jerzy Łojek. Warszawa, 1971, Instytut Wydawniczy PAX, 8°, str. 220.

Ułamki wspomnień marszałka wielkiego Koronnego Stanisława ks. Lubomirskiego, stronnika Czartoryskich („Familii”) z początków panowania Stanisława Augusta, do konfederacji barskiej. Doskonaty wstęp Jerzego Łojka, który przejął od śp. prof. Tadeusza Mikulskiego berło najlepszego znawcy polskiego Oświecenia.

Życiorysy i wspomnienia

44. STOKOWA, Maria: *Kalendarz życia i twórczości Stanisława Wyspiańskiego*. Opracowała... T. I: 1869-1890. Kraków, 1971, Wydawnictwo Literackie, 8°, str. 284 (3), ilustr. (Stanisław Wyspiański: Dzieła zebrane, t. 16, vol. I).

We wstępie wiadomości o rodzinie, poczynając od pradziada, pisarza gminnego w Bóbrce koło Lwowa. Imponująco wiele o rodzicach, o domu wujostwa Stankiewiczów, o latach szkolnych Wyspiańskiego, letnich wędrówkach ze szkicownikiem i pracy przy polichromii kościoła Mariackiego. Opracowanie niezmiernie staranne; dla piszących o Wyspiańskim — podstawowe.

45. REYMONT W AMERYCE. *Listy do Wojciecha Morawskiego*. Opracował i wstępem opatrzył Leon Orłowski. Warszawa, 1971, Państw. Inst. Wydawniczy, 8°, str. 176.

Większość listów pochodzi z lat 1919-1925 i dotyczy dwu podróży amerykańskich Reymonta i zabiegów poprzedzających przyznanie mu nagrody Nobla po „wyliminowaniu” kontrkandydatury Żeromskiego. Adresat, Wojciech Dzierżykraj-Morawski, był redaktorem pism Polonii amerykańskiej i (od roku 1917) lektorem języka polskiego na Columbia University w Nowym Jorku. W dwudziestoleciu Niepodległości był Dyrektorem Polskiej Agencji Telegraficznej w Stanach Zjednoczonych. Zmarł w roku 1954. Przed śmiercią przekazał paczkę listów Reymonta Leonowi Orłowskiemu, który wydał je obecnie, poprzedzając zwięzłym i rzeczowym wstępem.

46. KARPINSKI, Zygmunt: *O Wielkopolsce, złocie i dalekich podróżach*. Wspomnienia 1860-1960. Warszawa, 1971, Państw. Inst. Wydawniczy, 8°, str. 354, ilustr. (Biblioteka Pamiętników Polskich i Obcych pod red. Waława Zawadzkiego).

Wspomnienia dawnego Dyrektora Departamentu Kredytów Zagranicznych Banku Polskiego, dotyczące głównie jego działalności w Polskiej Krajowej Kasie Pożyczkowej (1919-1923) i Banku Polskim (1924-1939). Autor poprzedził je ciekawymi wspomnieniami rodzinnymi, dotyczącymi wielkopolskich rodzin Jarońskich i Karpińskich (z Gniezna). W części III obszerny rozdział omawia sprawę wywozu z Polski we wrześniu 1939 złota Banku Polskiego.

47. RAFAŁOWSKI, Aleksander: *... i spoza palety*. Wspomnienia. Warszawa, 1970, Państw. Inst. Wydawniczy, 8°, str. 225, ilustr.

Pamiętnik malarza (ur. 1894), ucznia Jacka Malczewskiego w Krakowie i Edw. Trojanowskiego w Warszawie, po roku 1945 profesora Akad. Sztuk Pięknych w Warszawie (do roku 1965). Obszerne rozdziały poświęcone są wspomnieniom o polskim Paryżu artystycznym z okresu Komitetu Paryskiego (Kapistów), gdzie autor wspomnień niemal od nowa uczył się malować. Francuskiego się, niestety, nie nauczył, czego świadectwem są niezliczone „byki” w pamiętniku. W okresie wojny autor „spędził w Związku Radzieckim” kilka lat, których istotne oblicze dobrze oddają szkice rysunkowe reproduktowane w książce (zwłaszcza znakomity „Bieźeniec”).

48. GRABSKI, Władysław Jan: *Blizny dzieciństwa*. Warszawa, 1971, Instytut Wydawniczy „Pax”, str. 208 (2), ilustr.

Znany powieściopisarz, autor „Sagi o Jarlu Broniszu” rozpoczął na krótko przed śmiercią (1970) spisywanie lub dyktowanie wspomnień z ziemiańsko-warszawsko-petersburskiego dzieciństwa. Książka nasuwa wiele analogii z pamiętnikami Wacława Lednickiego, jest jednak zdecydowanym niewypałem artystycznym, nudy leniwym i bezbarwnym tokiem opowieści, choć tok życia nastroczał autorowi wiele sposobności do ciekawych obserwacji np. o ojcu, Władysławie, ekonomście, pośle do Dumy i ministrze Skarbu — czy stryju, prof. Stanisławie Grabskim.

Druga wojna światowa

49. MICHALSKI, Czesław: *Wojna warszawsko-niemiecka*. Pamiętnik wawerski. Warszawa, 1971, Czytelnik, 8°, str. 376.

Zarys działalności organizacji podziemnej małego sabotażu „Wawer”, oparty na prowadzonej przez autora (do czasu aresztowania) kronice. Z akcją „Wawer” związane były jak najbliższe harcowskie „Szare szereg”.

Książki najgorsze

50. STRUMPH WOJTKIEWICZ, Stanisław: *Sita złego*. Warszawa, 1971, Książka i Wiedza, str. 271 (3), nakład: 40.000 egz.

Bezczelniejsza od poprzednich, perfidna próba oświecenia katastrofy gibraltarskiej, w której zginął gen. Sikorski, jako sabotażu za przyczyną połączonych dość surrealistycznie pomyslanym sojuszem wysokich osobistości brytyjskich i spiskowców polskich. Jak w staromodnej powieści kryminalnej autor przypisuje zbrodnicze intencje i tajemnicze powiązania opozycji w wojsku, zdecydowanie wyolbrzymiając jej rozmiary i tworząc osobliwe kombinacje personalne. Zgodnie z ostatnio lansowanymi w Kraju interpretacjami roli gen. Sikorskiego jest on przedstawiany w książce, jako zdecydowany zwolennik ustępstw terytorialnych wobec Rosji, który „przewidywał pomysłny rozwój stosunków ze Związkiem Radzieckim” i spodziewał się ponownego a szybkiego nawiązania stosunków.

51. DROZDOWSKI, Bohdan: *Albion od środka*. Dziennik tych wysp. Warszawa 1971, Ministerstwo Obrony Narodowej, 8°, str. 44 (2).

Ex-poeta, pseudo-dyplomata i, niestety, naiwniak, pozazdrościł sukcesów Adolfowi Rudnickiemu i Kaz. Brandysowi i wymęczył imitację „Niebieskich kartek” czy „Listów do pani Z.”. Dziennik dotyczy wydarzeń z pierwszego półrocza 1969 roku i opiera się na systematycznej lekturze popularnych dzienników brytyjskich oraz *Jewish Chronicle*. Dziwny to „Albion”: kraj morderców, oszustów, hazardzistów, pobłażliwie ocenianych domorosłych polityków, opanowany przez kapitalistów żydowskich (a Żydów pan Drozdowski nie lubi, oj, nie lubi!). Lubi natomiast popisywać się kontaktami z wielkim światem i ku chwale Drozdowskich juniorów przekazuje Krajowi opis rozmowy z Królową i swego na tę okazję przyodziewku. Z myślą o umoralnieniu czytelników wkracza odważnie do klubów nocnych i podejrzanych pub'ów na Hamsteadzie. Ale i tam nie udaje mu się dostrzec jaśniejszych stron egzystencji wyspiarzy, nie a nic tylko *kapitalistycznej gniot*.

Nadesłane nowości wydawnicze

HEMAR (Marian). *Chlib kulikowski*. Wiersze, satyry, piosenki. Str. 192. (Wyd. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1971).

KOWALSKA (Janina). *Moje uniwersytety*. Str. 255 i 1 nlb. (Wyd. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1971).

PAWLIKOWSKI (M. K.). *Brudne niebo*. Str. 191 i 1 nlb. (Wyd. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1971).

TROŚCIANKO (Wiktor). *Wiek kłęski*. Powieść. Str. 466. (Wyd. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1971).

STAHL (Zdzisław). *Najazd od wschodu*. Str. 256. (Wyd. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1971).

BOUSQUET (Joë). *Listy do Poisson d'Or*. Str. 135 i 1 nlb. Przełożyła z języka francuskiego Faustyna Jordan. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1971).

WYGODZKI (Stanisław). *Drzewo ciemności*. Wiersze. Str. 72. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1971).

ŻYTOMIRSKI (Eugeniusz). *Liście klonowe*. Wiersze kanadyjskie. Str. 28 i 4 nlb. (Wyd. „Głos Polski - Gazeta Polska”, Toronto, 1971).

TERLECKI (Tymon). *Stanisław Wyspiański and the Poetics of Symbolist Drama*. Str. 11. (Odbitka z *The Polish Review*, Vol. XV, No. 4, Autumn, 1970, pp. 55-63, New York).

GOŁUBIEW (Antoni). *Unoszeni historia*. Str. 378 i 6 nlb. (Wyd. „Znak”, Kraków, 1971).

ŁAPIŃSKI (Zdzisław). *Norwid*. Str. 117 i 3 nlb. (Wyd. „Znak”, Kraków, 1971).

DE ROUX (Dominique). *Gombrowicz*. Str. 186 i 6 nlb. (Wyd. Union Générale d'Éditions, Paryż, 1971).

IWANSKA (Alicja). *Ideology and the Mexican Indian*. Str. 216-232. (Nadbitka z *Revue Internationale de Sociologie* — Organe de l'Institut International de Sociologie, Rome, 15-21 Septembre 1969; Serie II° — Vol. VI — nn. 1-3, Rome, 1970).

BRZESKI (Andrzej). *Poland as a Catalyst of Change in the Communist Economic System*. Str. 22. (Odbitka z *The Polish Review*, Vol. XVI, No. 2, Spring, 1971, pp. 3-24, New York).

BRZESKI (Andrzej). „Intensyfikacja” of *Economic Growth in Eastern Europe*. Str. 269-290 (Nadbitka z *Jahrbuch der Wirtschaft Osteuropas*, Band 2/1971, Teil II, Günter Olzog Verlag, ünchen-Wien).

BRZESKI (Andrzej). *Social Engineering and Realpolitik in Communist Economic Reorganization*. Str. 148-183. (Nadbitka z *Essays in Socialism and Planning in Honor of Carl Landauer*, red. Gregory Grossman, Prentice-Hall, Inc. Englewood Cliffs, N.J., 1970).

TERLECKI (Tymon). *The Greatness and Ill Fortune of Stanisław Wyspiański*. Str. 259-277. (Nadbitka z *Antemurale XIV*, Institutum Historicum Polonicum, Romae — Societas Polonica Scientiarum et Litterarum in Exeris, Londinii, Rzym, 1970).

ŁAWRYNENKO (Jurij). *Zrub i parosty*. Str. 331 i 5 nlb. (Wyd. Suezastnist', Monachium, 1971).

KOVACS (Endre). *Magyar-Lengyel Kapcsolatok a Két Világháború Között*. Str. 415 i 1 nlb. (Wyd. Akadémiai Kiadó, Budapest, 1971).

KRAJ — BLOK WSCHODNI

15-9-71

Prasa PRL donosi o skandalu z pawilonem polskim na międzynarodowej wystawie budowlanej w Moskwie. Pawilon robił wrażenie byle jak zrobionej, nędznej improwizacji. ■ Prasa PRL donosi również o fatalnym stanie budownictwa mieszkaniowego w Łodzi, gdzie przybywa rocznie 2.325 izb mieszkalnych. Mieszkania bez usterek należą do wyjątków. Co najgorsze, że mury przeciekają i ma to miejsce w co trzecim bloku. ■ Również prasa donosi o ostrym braku cementu w kraju. ■ Doroczne nagrody *Miesięcznika Literackiego* w Warszawie otrzymali: Tadeusz Jaroszewski za książkę „Osobowość i wspólnota”, Stanisław Lem za „Fantastykę i futurologię” i Andrzej Oseka za „Poddanie Arsenalu”.

W Poznaniu zostały otwarte jesienne targi krajowe. ■ W Warszawie odbył się zjazd b. żołnierzy 2 Dywizji Strzelców Pieszych, internowanych w Szwajcarii w czasie ostatniej wojny. W zjeździe wzięło udział 80 osób z kraju i zza granicy. Zebraniu przewodniczył gen. Mieczysław Moczar.

21-9-71

Polski Instytut Wydawniczy rozpoczyna wydawanie nowej kolekcji pod nazwą „Klasyce w historiografii polskiej”. Mają się w niej znaleźć najbardziej wartościowe pozycje nie wznawiane od okresu międzywojennego, m.in. książki Askenazego, Kalinki i Szujskiego. Ponadto w roku bieżącym ma się ukazać trzeci i ostatni tom „Rzeczpolspolitej obojga narodów” Pawła Jasienicy pt. „Dzieje agonii”.

28-9-71

2.000 katolików litewskich złożyło petycję do komitetu centralnego i Rady Najwyższej Związku Sowieckiego, domagając się wolności praktykowania obrządków religijnych, a w pierwszym rzędzie by księża mogli bez obawy wykonywać swoje obowiązki kapłańskie.

30-9-71

W suchym doku Stoczni Gdyńskiej im. Komuny Paryskiej odbyło się wodowanie statku „Politechnika Szczecińska”. Jest to już drugi po „Manifeście Lipcowym” masowiec o nośności 55 tys. ton zbudowany w tej stoczni i podobnie jak jego poprzednik przeznaczony jest dla Polskiej Żeglugi Morskiej w Szczecinie.

1-10-71

W Cieszynie Czeskim zmarł Jan Prybula, przewodniczący Zarządu Głównego Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego w Czechosłowacji. ■ Na skutek zabiegów Watykanu Kardynał Mindszenty, który przez 16 lat przebywał w gmachu ambasady amerykańskiej w Budapeszcie, udał się na stały pobyt do Watykanu. ■ W Warszawie trwa proces grupy młodych ludzi, oskarżonych o przynależność do tajnej organizacji „Ruch”. Pierwszy proces członków tej grupy odbył się w lipcu br. w Łodzi. ■ W Warszawie ukazał się nakładem Głównego Urzędu Statystycznego *Polski Rocznik Statystyczny 1971*. ■ Powróciła do Polski wyprawa himalajska, która zdobyła pasmo Karakorum, dziewiczy szczyt Khyngyng Kish (7852 m.). Jest to polski rekord wysokości. Na szczyt szturmowany uprzednio bezskutecznie przez Anglików i Japończyków weszli: Heinrich, Stryczyński, Szafirski i Zawada. Sukces okupiony został śmiercią uczestnika wyprawy Jana Fran-

czuka z Wrocławia. ■ W bieżącym roku wydano w Polsce 20 zezwoleń na budowę nowych kościołów.

3-10-71

Andriej Siniawskij, zwolniony przedterminowo w czerwcu br., ukończył esej krytyczny o Puszkynie. Praca ta odmalowuje społeczeństwo rosyjskie w okresie Puszkina, widziane przez więźnia obozu koncentracyjnego, i pisana jest żargonem więziennym. Siniawskij po zwolnieniu mieszka w okolicach Moskwy. ■ Prasa krajowa donosi o postępującym zatrutowaniu rzek w Polsce. Ostatnio w powiecie stargardzkim została zatruta rzeka Ina przez ścieki pochodzące z cukrowni Kluczewo. Jest to czternasty wypadek zatrucia rzeki przez tę cukrownię. Uprzednio została zatruta rzeka Rega. ■ W Warszawie obradowała dwudniowa sesja naukowa poświęcona ochronie wód przed zanieczyszczeniami. Podczas obrad podano do wiadomości m.in. fakt, że 1/3 wód rzecznych w Polsce nie nadaje się do wykorzystania w gospodarce narodowej z powodu nadmiernych zanieczyszczeń. Na 3,5 tys. większych zakładów przemysłowych aż 1,5 tys. nie ma oczyszczalni; z 600 skanalizowanych miast tylko 230 posiada urządzenia oczyszczające ścieki.

5-10-71

48-miu intelektualistów sowieckich z akademikiem Sacharowem na czele wysłało list otwarty do dyrektora Instytutu Psychiatrycznego, stwierdzając, że będą walczyli wszelkimi dopuszczalnymi środkami, jeżeli lekarze szpitala psychiatrycznego uznają pisarza, Władimira Bukowskiego za chorego umysłowo. Bukowski został aresztowany w marcu br. i był już w więzieniu od 1967 do 1970 roku za manifestację w obronie Daniela i Siniawskiego.

7-10-71

W Warszawie dekorowano około 80 osób ze świata literacko-artystycznego. Między innymi Julian Wołoszynowski został odznaczony Krzyżem Komandorskim orderu Odrodzenia Polski, a Jerzy Zagórski — Krzyżem Oficerskim orderu Odrodzenia Polski.

8-10-71

Józef Smrkowski został aresztowany w Pradze za wywiad udzielony we wrześniu br. włoskiemu tygodnikowi komunistycznemu *Vie Nuove*.

15-10-71

Sąd Najwyższy w Warszawie odrzucił podanie Jakuba Karpińskiego o rewizję nadzwyczajną jego wyroku, który Karpiński uważa za nielegalny. ■ 1.450 obywateli sowieckich pochodzenia żydowskiego otrzymało pozwolenie na emigrację do Izraela w pierwszej połowie 1971 roku. ■ Ostatnie publikacje Głównego Urzędu Statystycznego stwierdzają, że w 1969 roku poziom dochodu narodowego na jednego mieszkańca na Węgrzech był o 10 % wyższy niż w Polsce. W NRD i w Austrii o 50 %, w NRF o 110 %, w Norwegii o 120 %, a we Francji o 140 %.

ZACHÓD — EMIGRACJA

15-9-71

W trzydziestoletnią rocznicę powstania w Wetsikonie (Szwajcaria) szkoły dla internowanych w Szwajcarii żołnierzy 2 Dywizji Strzelców Pieszych odbyło się spotkanie w auli liceum w Wetsikonie. W uroczystościach wzięło udział

około 300 osób, byłych wychowanków liceum, którzy zjechali ze wszystkich krajów Europy, z Kanady, USA i Afryki Południowej. ■ Dr Jerzy Wojciechowski, profesor filozofii na uniwersytecie w Ottawie wziął udział w sympozjone, zorganizowanym w Paryżu przez UNESCO, na temat „Kultura i nauka — różnorodność kultur i powszechność nauki i technologii”. ■ Dr Adam Bromke, profesor nauk politycznych w Carleton University w Ottawie, bawił w Warszawie na zaproszenie Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych. ■ Television Theater w Hollywood wystawił sztukę Sł. Mrozka „Policjanci”.

17-9-71

W sądzie federalnym w Chicago odbyła się licytacja urządzeń i zakładów drukarskich *Dziennika Chicagowskiego*. Zostały one sprzedane za humorystyczną kwotę 17.500 dolarów. Licytacją nie została objęta księgarnia „Polish American Book Co.”. Sąd ustalił sytuację prawną księgarni w późniejszym czasie.

21-9-71

W Nowym Jorku w Carnegie Endowment odbyła się publiczna manifestacja poświęcona zbrodni katyńskiej zorganizowana przez ACN. Na posiedzeniu plenarnym ACN, bezpośrednio przed manifestacją, p. Stefan Korboński został wybrany prezesem ACN na rok 1971/72.

24-9-71

W Pittsburgu (USA) zakończył swoje obrady 36-ty Sejm Związku Narodowego Polskiego. Prezes Mazewski i Zarząd Główny otrzymali votum zaufania, natomiast cenzorem Związku wybrano Kazimierza Lotarskiego z Buffalo, na miejsce dotychczasowego cenzora W. L. Dworakowskiego. Wicecenzorem został Alfred Ulman, zaś p. Helena Szymanowicz wiceprezeską na miejsce Ireny Wallace. Tytuł cenzora zmieniono na przewodniczącego rady nadzornej.

30-9-71

Southwestern College w Chicago wprowadził od nowego roku akademickiego wykłady języka polskiego oraz wykłady historii literatury polskiej (w języku angielskim). Wykłady języka polskiego objęła p. Wanda Rozmarek.

1-10-71

Najpoważniejsza w USA Akademia Nauk, istniejąca od 125 lat, — Smithsonian Institute w Waszyngtonie, powołała na swojego członka prof. K. Czyżewskiego, w uznaniu jego dorobku w dziedzinie astronomii i meteorologii. ■ Congressional Record ogłosił listę nominacji w armii amerykańskiej. Na tej liście płk. Leon Dulacki, polskiego pochodzenia, figuruje w awansach generalskich, zaś wśród awansowanych na pułkowników znajdują się 4 polskie nazwiska: Józef Sadowski, R. Dorsa, R. Kuczmarek i B. Modjeski.

3-10-71

W Detroit obradowała „Polsko-Murzyńska Konferencja”. Zdecydowano kontynuować współpracę w dziedzinie potrzeb mieszkaniowych, szkolnych i pracy zarobkowej na terenie miasta Detroit, uznając że w tych dziedzinach interesy są wspólne.

4-10-71

W Londynie odbyło się zebranie Rady Jedności Narodowej, na którym na miejsce p. Bieleckiego wybrano p.o. Prezesem Rady Jedności Bogdana Podolskiego. ■ Na europejskim kongresie międzyparlamentarnym, który miał miejsce w Rzymie zaalarmowano opinię światową stanem zatrucia rzek.

Tytułem przykładu podano, że każdego miesiąca wrzuca się do Renu 80 ton arsenu, 10 ton rtęci, 20 ton kadmu i 9 kwintali różnego rodzaju chemikali. Uczestnicy kongresu podkreślili, że brak przygotowań ekologicznych może spowodować w najbliższym czasie katastrofę w skali światowej. ■ W Detroit odbył się Walny Zjazd b. Żołnierzy Armii Krajowej, zamieszkałych w USA. Przewodniczącym tej organizacji wybrano prof. W. Chrypińskiego, wiceprzewodniczącym prof. J. Lerskiego.

8-10-71

W Toronto (Kanada) odbył się XIII Powszechny Synod Polskiego Kościoła Narodowego.

11-10-71

W Winnipegu (Kanada) odbył się zjazd młodzieżowy Polonii Kanadyjskiej. Zjazd ten był finansowany przez rząd kanadyjski.

12-10-71

W Maryland (USA) zmarł Dean Acheson, szef departamentu stanu w okresie 1949-1953 za prezydentury Trumana. Z jego nazwiskiem jest związane prowadzenie „zimnej wojny”.

13-10-71

Telewizja brytyjska BBC I nadała ponownie film Roberta Vas'a o Katyniu. W opracowaniu tego filmu brał udział Krzysztof Rowiński, jako tzw. researcher.

14-10-71

We Frankfurcie (NRF) zostały otwarte 23 Międzynarodowe Targi Książki. Bierze w nich udział 3.500 wydawców z 58 krajów, prezentując 421.000 tytułów. Nagrodę Pokoju 1971 otrzymała Marion Dönhoff, redaktorka hamburskiego tygodnika liberalnego *Die Zeit* za książkę „Namen die Keiner Mehr Kent” („nazwiska, których już nikt nie pamięta”), wydaną przez Diederichsa. Wydawcy rumuńscy demonstracyjnie opuścili Targi na znak protestu przeciw wydaniu w Niemczech książki pisarza rumuńskiego Pawła Goma pt. „Ostinato”. Jest to pierwsza książka pisarza rumuńskiego o więzieniach w Rumunii. Goma przez trzy lata bezskutecznie zabiegał o wydanie tej książki w Rumunii. Sam autor spędził w więzieniach i obozach pracy 6 lat. Książka ma się ukazać w najbliższym czasie po francusku, w wyd. Gallimard.

15-10-71

W Hawanie w teatrze im. Fryderyka Garcia Lorki wystawiono operę Moniuszki „Halka”. Występuje w niej polska śpiewaczka Maria Fołtyn. ■ Krakowska Filharmonia im. Karola Szymanowskiego będzie koncertowała w Iranie, w Sziraz w czasie uroczystości 2500-letniej rocznicy istnienia państwa irańskiego. ■ W paryskim domu wydawniczym Gallimard ukazała się książka Tadeusza Konwickiego pt. „L'Ascension” w przekładzie Jerzego Lisowskiego, oraz Adolfa Rudnickiego „Baguette” — w przekładzie Gilberte Crepy. ■ Nagrodę Nobla z dziedziny nauk ekonomicznych otrzymał profesor amerykański Simon Kuznets z Harvardu. Kuznets urodził się w Rosji w 1901 roku. Nagrodę Nobla z dziedziny medycyny otrzymał również uczone amerykański, prof. Earl Wilbur Sutherland.

Listy do Redakcji

Słowa z chaosu Andrzeja Brychta (wrześniowy numer *Kultury*) są tematem listów, które otrzymaliśmy od p. J. Woyno, p. Aliny Grabowskiej, p. Barbary Roth, Czytelnika *Życia Warszawy*, Dr. Pawła Korca, Polaka z Paryża, p. Juliana Bielickiego, p. Krystyny Sztorcharz, p. Jerzego Bieszczada, p. Edwarda Białka, oraz szeregu listów nie przeznaczonych do druku. Wszystkie bez wyjątku listy, niechętne a nieraz nawet bardzo gwałtowne wobec Brychta, dadzą się sprowadzić do wspólnego mianownika trzech nieporozumień. Spróbujemy je tu kolejno wyjaśnić.

1) *Kultura* jest miesięcznikiem, a nie dziennikiem czy tygodnikiem. Stąd wydrukowanie jakiegokolwiek tekstu „na pierwszym miejscu” nie daje mu tytułu i wagi artykułu „wstępnego”, nie oznacza automatycznie że redakcja się z nim „zgadza” lub „solidaryzuje”. Oznacza tylko, że redakcja uważa go za tekst *znaczący*. Za taki znaczący tekst uważamy istotnie *Słowa z chaosu*. Jest on według nas znamienym dokumentem spustoszenia moralnego, jakiego rządy komunistów w Polsce dokonały wśród części przynajmniej pokolenia, które dziś zbliża się do czterdziestki. Nie ma potrzeby „zgadzać się” lub „solidaryzować” z dokumentem, wystarczy go uważnie i z zastanowieniem czytać. Oczywiście jeśli się chce widzieć *cały* obraz społeczeństwa, we *wszystkich* jego reakcjach na walec systemu.

2) *Słowa z chaosu* mają charakter swoistej spowiedzi osobistej, byłoby więc nonsensem poprzedzać je komentarzem redakcyjnym. Komentarz musi sobie dopowiedzieć sam każdy czytelnik, mając rzecz prosta na oku to co Brycht pisał i publikował ostatnio w kraju przed ucieczką za granicę. Również dla nas *Raport z Monachium* był książką fałszywą i szkodliwą, ale osobliwa to wolność słowa, która autorowi złej książki chciałaby z góry zagrozić drogę do prób napisania lepszych w innych okolicznościach. *Słowa z chaosu* traktujemy jako wstęp do tego „lustra”, o którym Brycht pisze pod koniec swojej spowiedzi.

3) W niektórych listach naszych korespondentów dostrzec można tendencję do przypisywania wypadkom z roku 1968 roli czuury absolutnej: kto grzeszył piórem przed rokiem 1968 zasługuje na wyrozumiałe przymrużenie oka, kto to samo robił w roku 1968 i później winien być już wciągnięty na listę bezapelacyjnie potępionych. *Kultura* dała dość chyba dowodów swego stosunku do wypadków z roku 1968, nie sądzimy jednak by można był w nich wiedzieć jakąś czurę absolutną; dla nas stanowiły one tylko jedno z ogniw w łańcuchu, którego początki sięgają roku 1945.

◆
REDAKCJA

Sydney, sierpień 1971.

Artykuł Marka Głogoczowskiego w numerze *Kultury* za lipiec/sierpień 1971 pt. „Freedom on Freeway”, napisany jest w sposób bardzo emocjonalny. A jednak jest to chyba pierwszy artykuł na łamach *Kultury*, który w jakiś sposób dotyka naczelnego problemu naszych czasów: problemu ekologii.

Głogoczowski porusza szereg niezmiernie ważnych problemów, nie zwracając często uwagi na hierarchię ich ważności. Niemniej jednak problemy te są jakoś wzajemnie powiązane, nawet jeśli autor tego nie dostrzega. Stąd wrażenie szamotania się, jakie odnosi się podczas lektury: jakby ściągane zwierzę, które znalazło się w potrzasku. Gdzie wyjście? Czy jest w ogóle wyjście?

Głogoczowski nie lubi słowa „ekologia”. Z niefrasobliwością nadmienia, że jest ono „aktualnie modne”, trochę tak jak *mini skirt*, czy *pop music*. Drażni go i denerwuje dążenie naukowców do osiągnięcia pełnego rozoznania sytuacji ekologicznej, celem sprawowania *całkowitej kontroli*. Nie jest on tutaj wyjątkiem, a jego emocjonalną postawę można określić jako typową. Im bardziej zaznajamiamy się z problemami ekologicznymi naszego globu, z ich wszechogarniającym ogromem i przerażającym tempem wzrostu, tym chętniej staramy się zbyć całe zagadnienie jakimś krótkim zdaniem w rodzaju: „aktualnie modne”, lub „już dawniej wiele razy przepowiadano koniec świata”. Przyjęcie takiej postawy jest zapewne podyktowane instynktem samoobrony. Tragiczny paradoks polega jednak na tym, że przyjmując taką postawę, osoby myślące przechodzą automatycznie na platformę większości społeczeństwa, mianowicie na platformę całkowitej bierności, wynikającej głównie z ignorancji.

Możemy analizować przyczyny tej powszechnej ignorancji, możemy obarczać odpowiedzialnością za nią przywódców politycznych czy też naukowców, możemy się sprzeczać co do zakresu odpowiedzialności jednych i drugich. W najmniejszym jednak stopniu nie zmienia to ekologicznego *status quo* naszej *global village*. Na marginesie można tu dodać, że jeśli mówimy o powszechnej ignorancji opinii publicznej świata w sprawach ekologii, to mamy na myśli ignorancję w zakresie oceny *całości problemów*. W każdym niemal kraju porusza się codziennie sprawy przeludnienia, polucji, stopnia wykorzystywania istniejących zasobów surowcowych, ale brak jest powszechnej *oceny całości*. Wszystkie te zagadnienia bowiem są wzajemnie powiązane tak w granicach jednego kraju, jak w przekroju całego świata.

Powstaje pytanie dlaczego brak takich ocen, dlaczego w sposób racjonalny ale i odpowiednio dramatyczny nie apeluje się do szerokiej opinii publicznej, do umysłu przeciętnego obywatela. Wymienia się zazwyczaj dwie przyczyny. Pierwszą jest obecny kryzys w zakresie *leadership*. Świat cierpi na brak przywódców w skali Churchilla, Kennedy'ego czy De Gaulle'a. Druga przyczyna — to różny stopień natężenia problemów ekologicznych w różnych częściach globu i w różnych krajach. W Europie problemy polucji występują ostrzej we Włoszech (zatrucie wód oraz powietrza), niż np. we Francji. W Indiach podstawowym zagadnieniem jest sprawa przyrostu naturalnego, podczas gdy w Australii problem ten oczywiście w tej skali nie istnieje, a inne aspekty ekologii (zanieczyszczenie powietrza i wód) występują tu na razie w mniejszej skali niż np. w USA. Uważa się, że ograniczeni brakiem wyobraźni, brakiem wiedzy o skali problemów ekologii, przywódcy demokracji zachodnich koncentrują się głównie na problemach lokalnych, o dziesięciokrotnie mniejszym znaczeniu w porównaniu z problemem naczelnym. Mechanizm działania demokracji parlamentarnych zwiększa ograniczenie pola manewru tych ludzi i przykłada do ich postępowania kryteria oceny hierarchii ważności stosowane przez większość opinii publicznej.

A może przyczyną milczenia przywódców narodów zachodnich na temat straszliwych kataklizmów, jakie grożą światu w bliskiej perspektywie 10-15 lat (i które może już się zaczęły — np. Bengal Wschodni) są zupełnie inne? Czyżby nie zdawali sobie oni sprawy z istniejącej sytuacji?

Głogocowski pisze ze zrozumiałym przerażeniem o konkluzji konferencji na tematy ekologii, zorganizowanej przez naukowców w Bostonie. Około roku 1980, a więc już za 10 lat, przewiduje się katastrofy, w wyniku których zginą miliardy ludzi, znaczna część ludności naszego globu. W maju bieżącego roku ukazało się w najpoważniejszym dzienniku australijskim *The Australian* ogromne ogłoszenie, na całą stronę, podpisane przez kilkuset naukowców. Ogłoszenie to powtórzone zostało w miesiąc później. W formie listu otwartego do ludności Australii, naukowcy zwracają uwagę na straszliwe i brzemienne w skutki problemy ekologii. W ogłoszeniu czytamy: „Przewidujemy, że już za życia naszych dzieci cywilizacja znajdzie się w obliczu kryzysu przetrwania (*crisis in survival*). Ci, którzy nie są zaniepokojeni obecnymi tendencjami są bądź zupełnie ślepi, bądź wierzą, że technologia jest w stanie stwarzać w nieskończoność substytutu zużywanych, organicznych i nieorganicznych, elementów natury. Tego rodzaju wiara jest nieuzasadniona”.

Czyżby głosy setek naukowców nie docierały do przywódców narodów? Taki wniosek wydaje się nieprawdopodobny.

W Wielkiej Brytanii Instytut Gallupa przeprowadził ostatnio ciekawy sondaż opinii publicznej. Chodziło o znalezienie odpowiedzi na pytanie: co najbardziej gnębi, jakimi problemami najbardziej się przejmują ludzie znajdujący się w czołówce intelektualnej kraju (mężowie stanu, naukowcy, przemysłowcy itp.). „Polucja, inflacja, eksplozja demograficzna” — w takiej kolejności wymienione były odpowiedzi. A więc — problemy ekologii.

Czym zatem tłumaczyć można milczenie mężów stanu na ten temat? W momentach przemowych dla narodu głowy państwa korzystają dziś z nowoczesnych środków masowej informacji, wygłaszają przemówienia do ludności przed mikrofonami radia, przed kamerami telewizji.

Czyżby przywódcy krajów zachodnich obawiali się postawienia tej sprawy otwarcie przed opinią publiczną, nieprzygotowaną jeszcze psychicznie do rozmiarów zbliżającej się klęski? Uświadomienie narodom grozy sytuacji nakładaloby na nich, jako przywódców, obowiązek natychmiastowego działania, pokonania przeszkód o niesamowitej skali, słowem wykonania zadania ponad ich siły. Pociągałoby to z kolei niebezpieczeństwo utraty mandatu społeczeństwa do sprawowania władzy. Czy więc milczą oni w obawie przed utratą władzy?

Wydaje się, że przyczyną milczenia jest raczej świadomość słabości systemu demokracji parlamentarnej, świadomość niemożliwości rozwiązania przez ten system zagadnienia ekologii, zapewnienia naszego przetrwania. To właśnie jest tragedia naszych czasów. To jest tragiczny paradoks, który paraliżuje umysły ludzi, stojących u sterów zachodnich demokracji. Dla nikogo nie ulega chyba wątpliwości, że ustroj demokracji parlamentarnej, ze wszystkimi swymi słabościami, stanowi najwyższą formę organizacji społecznej współczesnego człowieka. A jednak, w momencie krytycznym dla świata ten ustroj nie zdaje egzaminu. Co więcej, dla rozwiązania problemu przetrwania, ustroj ten zostanie być może zmuszony do „dobrowolnej” cesji na rzecz tej czy innej formy dyktatury, rządów totalitarnych.

Prezes Australijskiej Akademii Nauk, laureat nagrody Nobla, prof. MacFarlane Burnet, formułuje to w następujący sposób: „Demokracja parlamentarna nie jest w stanie nałożyć ograniczeń w zakresie rozwoju technologii, działalności gospodarczej oraz wzrostu przyrostu naturalnego — ograniczeń, które są niezbędne dla przetrwania naszej cywilizacji”. Chodzi o zrezygnowanie z kryterium wzrostu dochodu narodowego, jako kryterium rozwoju. Chodzi o deindustrializację.

Optymalnym posunięciem byłyby oczywiście natychmiastowe zorganizowanie ścisłej współpracy międzynarodowej, wszystkich małych i wielkich krajów świata, dla rozwiązania problemu ekologii, dla zapewnienia przetrwania. Taka współpraca wymagałaby jednak zrozumienia całkowitej wspólnoty interesów, gotowości każdego kraju na ziemi do wyrzeczenia się szeregu przywilejów i aspiracji na rzecz ludzkości jako całości. Nie trzeba chyba zastanawiać się długo, obserwując realia obecnych czasów, tj. układ sił i istniejące stosunki międzynarodowe, aby stwierdzić, że nawet marzenie o zorganizowaniu takiej współpracy jest całkowitą utopią.

Co więcej, nawet w obrębie jednego kraju, czy grupy krajów zachodnich demokracji, wprowadzenie niezbędnych dla przetrwania ograniczeń (a) w dobrowolny sposób i (b) w krótkim czasie — jest niewykonalne. Sam mechanizm rządzenia w systemie demokracji parlamentarnej wymaga długiej procedury, zasada wolności wymaga szczegółowego przedyskutowania problemów, wprowadzenia odpowiednich przepisów itp. Nawet w sprawach drobnych, mających minimalne znaczenie i nie wymagających od społeczeństwa żadnych wyrzeczeń, procedura demokracji wymaga lat dla przeprowadzenia postulatów. W wypadku problemów ekologii konieczne jest natomiast niezwłoczne dokonanie posunięć drastycznych, ogromnych wyrzeczeń każdego obywatela, radykalnej zmiany trybu życia itd., itd. Zahamowanie rozwoju motoryzacji oznacza wyrzeczenie się posiadania samochodu, zanim jeszcze zbudowany zostanie wszędzie wygodny system masowego transportu. Postulat deindustrializacji wymaga natychmiastowego zamknięcia szeregu przemysłów, a więc pociąga za sobą pozabawienie pracy milionów ludzi. Ograniczenie przyrostu naturalnego (nawet w krajach uprzemysłowionych) oznacza natychmiastowe zrezygnowanie z planowanego powiększenia rodziny — wszystkie podane tu przykłady wskazują na konieczność niezwłocznej adaptacji człowieka do nowej sytuacji, adaptacji, która — wydaje się — nie może nastąpić w sposób świadomy i dobrowolny. Proces tego rodzaju wymaga wiele, wiele czasu, którego już nie mamy.

Wśród naukowców wypowiadających się na tematy ekologii w ogromnym stopniu przeważa nuta pesymizmu, świadomość ograniczeń w sferze organizacji społecznej, uniemożliwiających dokonanie próby racjonalnego rozwiązania tego kluczowego problemu naszych czasów. Istnieją jednak także głosy optymistyczne, dające wyraz wierze, że człowiek byłby w stanie doprowadzić do równowagi ekologicznej. Mikrobiolog Uniwersytetu Rockefeller'a, prof. René Dubos wskazuje na przykład Londynu, gdzie ptaki powracają do parków miasta, ryby pojawiają się znnowu w Tamizie, gdzie w skutek częściowego rozwiązania problemu *smog'u* — w roku ubiegłym było o 50 % więcej następczniczeń, aniżeli 10 lat temu. Mimo niezaprzeczalnych osiągnięć Anglii, nie trzeba zapominać, że są to tylko pojedyncze przykłady „sukcesu”, że jest to obraz bardzo fragmentaryczny. Mówiąc o Stanach Zjednoczonych, tenże prof. Dubos wyraża przekonanie, że człowiek jest w stanie rozwiązać te problemy „jeżeli wprowadzone zostaną prawa federalne zapewniające, że każdy będzie zmuszony do zrobienia tego samego (do tych samych wyrzeczeń)”. Znając mechanizm działania demokracji amerykańskiej — jak nierealny jest tego rodzaju postulat!

W tym właśnie tkwi sedno sprawy. Fragmentarycznie, na terenie jednego miasta, jednego przemysłu możliwe jest względnie efektywne działanie w ramach systemu demokracji parlamentarnej. Być może, możliwe jest nawet częściowo rozwiązanie jednego z zagadnień ekologii (np. z zakresu polucji — sprawy zanieczyszczenia rzek). Ekologia jako całość obejmuje jednak tak wszechstronnie każdą niemal dziedzinę naszego życia, dotyczy tak ściśle nie jednego kraju, ale wszystkich krajów współczesnego świata, naszej *global village*, w ich wzajemnym powiązaniu, że optymizm prof. Dubos wydaje się, niestety, nieuzasadniony.

Jeżeli więc jesteśmy świadkami kryzysu ustroju demokracji w obliczu sprawy przetrwania, w obliczu problemów ekologii — czyż nie to właśnie jest przyczyną znowy milczenia wszystkich przywódców zachodnich demokracji? Może ci spośród nich, którzy są świadomi bezradności systemu, w ramach którego działają, zdecydowali się w swej rezygnacji po prostu czekać na... rozwój wypadków?

Kataklizmy przewidywane przez naukowców w perspektywie 10-15 lat pociągną za sobą zniesienie z powierzchni ziemi miliardów ludzi. Człowiek nie potrafi zdobyć się na wspólny wysiłek zapobieżenia tej nadchodzącej klęski. Uświadomi ona jednak tym, którzy pozostaną grozę sytuacji. Będzie to w potwornie większej skali *deterent* typu bomby atomowej w Hiroszimie i Nagasaki.

Wszystko to nie oznacza, że w obliczu nadchodzącej katastrofy człowiek ma stać z założonymi rękami. Nie tylko z wypowiedzi naukowców, ale nawet z pobieżnych obserwacji każdego z nas widać różny stopień natężenia poszczególnych problemów ekologicznych w różnych częściach świata, w różnych krajach. Celowe więc i konieczne są próby rozwiązania tych wszystkich problemów wszędzie tam, gdzie jest to wykonalne. Nie tylko zwiększy to w poszczególnych rejonach bezpośrednie szanse przetrwania. Może również stworzyć dla tych, którzy pozostaną, wzór organizacji życia społecznego w aspekcie ekologicznym, wzór mogący zapewnić uniknięcie podobnych katastrof w dalszym rozwoju ludzkości?

Jerzy BONIECKI

Elgin, Afryka Południowa, 27 września 1971.

Szanowny Panie Redaktorze,

Nawiązując do artykułu Zbigniewa Byrskiego „Czarna Lewica w Stanach Zjednoczonych” w czerwcowym numerze *Kultury*, chciałbym dodać parę uwag na temat rozwoju świadomości Czarnych w Afryce Południowej.

Nie chcąc widzieć faktów jakich się nie lubi, Biali w Afryce Południowej uważają że *Black Power* w sensie amerykańskim tutaj nie istnieje. Owszem, mówią, dają się wśród Czarnych zauważyć tendencje do tworzenia grup mających na celu wywieranie nacisku na opinię w kierunku uznania aspiracji Czarnych, ich wpływów czy możliwości — ale nie ma mowy o *Black Power*. Tymczasem fakty przeczą temu rodzajowi rozumowania. Naturalnie że zachodzą istotne różnice między *Black Power* w U.S.A. a jej południowo-afrykańskim odbiciem — szczególnie jeśli chodzi o użycie siły — ale jest to niewątpliwie ten sam ruch i nie ma co się na ten temat łudzić.

Różnice pomiędzy sytuacją w Afryce Południowej a U.S.A. można by w skrócie ująć tak: po pierwsze Czarni w Afryce Południowej są większością a nie mniejszością, po drugie *apartheid* jest oficjalną polityką w Płd. Afryce a nie w U.S.A., po trzecie *Black Power* w Płd. Afryce jest jeszcze w stadium tworzenia się, nie osiągnęła dostatecznego stopnia rozwoju dla użycia siły. Dają się jednak zauważyć między obu rękami wspólne cechy charakterystyczne: zamknięcie się wewnątrz czarnej ekskluzywności, wykluczenie Białych oraz stworzenie jednego Czarnego Frontu umożliwiającego koncentrację nacisków. *Black Power* w Płd. Afryce odrzuca białych liberałów w przekonaniu, że nawet w najlepszej wierze Biali nie może współuczestniczyć w przeżyciach Czarnego i że współpraca z Białymi może jedynie wyjałowić żywotność wysiłków Czarnych. W myśl zasady „strzeż mnie Boże od przyjaciół, bo od nieprzyjaciół sam się obronię”, zerwali Czarni z białymi liberałami i zmusili rząd południowo-afrykański do konsekwent-

nego wywiązania się z korzystnych dla nich aspektów *apartheid*. Dając Czarnym takie instytucje jak Zgromadzenie Ustawodawcze i Władza Terytorialna w Bantustanach oraz Radę Reprezentującą Kolorowych, stworzyli Afrykanerzy podstawę prawną do rozwoju *Black Power*. Czarni biorą przykład z Afrykanera, który po wyzwoleniu się spod kolonializmu brytyjskiego zamknął się w swoim nacjonalizmie, nabrał siły i rządzi nieprzerwanie od 23 lat. Usiłując stworzyć nadbudowę moralną dla polityki ucisku i odczłowieczenia Czarnych, Afrykanerzy wykoncyrowali *apartheid*, co się teraz tłumaczy dla Czarnych jako *separate development*, a dla Kolorowych *parallel development*. W obu wypadkach jest to „zasłona dymna” usiłująca pokryć brak zdecydowanej polityki. Niemniej dało to Czarnym podstawę do centralizacji i konsolidacji ich wysiłków. Wystarczyło, że młody, inteligentny i dynamiczny CHIEF GATSHA BUTHULEZI — umiarkowany zwolennik współpracy między rasami i wróg polityki gwałtu i siły — objął stanowisko Przewodniczącego Władzy Terytorialnej Zululandu, by nadać instytucji *apartheid* innego, nowego znaczenia. W paru publicznych wystąpieniach okazał chęć współpracy na zasadzie *apartheid* i zażądał w konsekwencji niepodległości politycznej i ekonomicznej dla swego Zululandu. *Apartheid* dał mu oficjalną platformę, z której może przemawiać do Czarnych i skupiać ich wokół siebie. Nie jest on zwolennikiem *Black Power* i ma nadzieję, że kiedyś, gdy dojdzie do zmiany rządu w Płd. Afryce, będzie mógł przyłączyć Zululand do Federacji Południowo-Afrykańskiej jako autonomiczną prowincję. Podobną taktykę stosuje Transkei i Kolorowi, których ostatnia sesja „Rady” wykazała tendencję zamknięcia się wewnątrz ich grupy w celu spotęgowania siły wspólnych nacisków.

Widzimy więc że *apartheid* odegrał rolę łącznika i katalizatora dotychczas rozstrzelonych i nieskoordynowanych dążeń różnych grup rasowych w Płd. Afryce. Już to że Murzyni, Kolorowi i Indianie wolą być określani wspólną nazwą Czarni a nie jak dotychczas Nie-Biali, świadczy o pewnej, dotychczas niezadeklarowanej między nimi wspólnotcie, o jakiej dawniej nikomu się nie śniło. Dotychczas nie mieli oni prawa ani platformy do wypowiadania swych żądań. Dzisiaj, gdy po latach stosowania negatywnych, dla nich, aspektów systemu *apartheid*, zaczynają się upominać o wprowadzenie w życie korzystnych jego stron, czarni przywódcy zorientowali się, że mają podstawę prawną do występowania w imieniu swych mas. Obudzona w ten sposób świadomość niedługo zamieni się w poczucie siły, a stąd do *Black Power*, w sensie amerykańskim, już niedaleka droga.

Równoległe rozwijające się dążenie do odrębności Czarnych wewnątrz Kościołów Chrześcijańskich, świadczy o niewątpliwiej koordynacji i podporządkowaniu się Czarnego duchowieństwa kierownictwu ruchu określonego tu jako *Black Power*. Potulne dotychczas Czarne duchowieństwo bardziej liberalnych Kościołów jak Katolicki, Anglikański i Metodystów, zorganizowało się ostatnio w grupę pod nazwą *Black Theology Movement*. Poza tym istnieje tutaj parę tysięcy Czarnych sekt chrześcijańskich, nazywających się odrębnymi „Kościołami”, starających się każdy na swą rękę i pod coraz to inną, fantastyczną nazwą, dojść do sformułowania roli Chrześcijaństwa w uwolnieniu Czarnych nie tylko od duchowej ale też od fizycznej opresji. Niedługo *Black Theology Movement* obejmie większość tych „Kościołów” i stworzy z nich bardziej konkretną siłę. Sama koncepcja „Czarnej Teologii” wywodzi się z zasadniczo różnego zrozumienia roli Kościoła niż ją rozumieją Biali Biskupi i księża. Przede wszystkim Czarni wymagają, by Kościół wyzwolił się z *apartheid*, który sam oficjalnie potępia, ale — zdaniem Czarnych — stosuje. Po wtóre oczekują od Kościoła nie tylko doraźnej pomocy w zwalczaniu głodu i chłodu, ale wyraźnego odrzucenia niemoralnego systemu polityczno-społecznego, będącego podstawą tych ciężarów, w zwalczaniu których Kościół stara się pomóc.

Gdy sięgam pamięcią w lata pięćdziesiąte, kiedy *African National Congress* usiłował pod przewodnictwem oświeconych ludzi zjednoczyć Białych, Murzynów, Kolorowych i Indian w jeden wspólny front polityczny, mający na celu ponadnarodową Południową Afrykę, z równymi prawami dla wszystkich — widzę, że nie miało to nic wspólnego z groźbą, za jaką uważali to Afrykanerzy. Słumiwszy siłą, w sposób brutalny, ten jedyny w swoim rodzaju wyraz tendencji ku współpracy ras, stworzyli sobie — wymyślając *apartheid* — bicz na siebie samych. Bicz którego konsekwencje już zaczynają odczuwać na własnej skórze. Na razie jeszcze tłumaczą sobie, że większa świadomość wewnątrz grup rasowych, to tryumf dla *apartheid*, który narzeczcie został przyjęty przez Czarnych. Większość Białych ufa, że uda im się skanalizować ten ruch w kierunku separatyzmu rasowo-narodowego tych grup. Jak długo trwać będą w tej iluzji? — zobaczymy.

Łączę wyrazy poważania,

Stefan KOMORNICKI

Paryż, 11 października 1971.

Szanowny Panie Redaktorze,

Po raz pierwszy w dziejach mych stosunków z *Kulturą* nie mogę się z Panem zgodzić, ani ideowo ani terminologicznie.

Liberalizm, moim — może również mylnym — zdaniem, polega na tym, że w ustroju który go głosi, każdemu wolno głosić również własne poglądy, czy to prywatnie czy to publicznie, z tym może zastrzeżeniem, że nie wolno mu nikogo lżyć dla samej przyjemności lżenia. A więc np. w takim ustroju, wolno p. Gabryszewskiemu założyć własne pismo i drukować tam wszystko co mu ślina na język przyniesie, ale w pewnych granicach przyzwyczajenia polemizatorskiej.

Natomiast nie jest — moim może znów mylnym zdaniem — rzeczą *Kultury* dawać gościnę — w imię „liberalizmu” — wypowiedziom będącym na poziomie treściowym i umysłowym panów Gabryszewskich. Bo jeśli tak, to czemu nie okazywać tych samych względów, w imię tegoż „liberalizmu”, Gomułce, Moczarowi, Krasickiemu, a także... gdyby żyli, Hitlerowi i Goebbelsowi? Jakie granice zakreśliłby Pan tego rodzaju liberalizmowi? Poza tym, trudno mi się pogodzić z myślą — chyba Henrykowi Grynbergowi również — że tak lekką ręką sprowadził Pan p. Gabryszewskiego do wspólnego mianownika z nami obydwojma. Jestem przyzwyczajony do lepszego towarzystwa.

Ja doskonale wiem, jakie jest prawdziwe oblicze *Kultury* i sobie sam dorobiłem komentarz do listu Gabryszewskiego. Ale nie wszyscy to wiedzą, a to musi być jasno powiedziane, ażeby czytelnik wiedział, czy *Kultura* podpisuje się pod pewnymi wypowiedziami czy też z nimi walczy.

O ile pamięć mnie nie myli, kilka lat temu p. Józef Czapski wypowiedział podobną opinię (w moim sensie) w obszernym artykule, na łamach tejże *Kultury*. Idea przewodnia jego była: „niech inni propagują tego rodzaju idee, my nie będziemy”.

Liberalizm jest rzeczą państwa, władz, rządu — nie zaś jednostki albo publikacji o charakterze humanitarno-politycznym jak *Kultura*. Czy nie warto by na ten temat rozpisać ankiety?

Z wysokim poważaniem,

Szymon LAKS

Zamieszczając list p. Sz. Laksa mam tylko jedną uwagę: Stanowisko pisma jest precyzowane w artykułach zamieszczanych w *Kulturze* specjalnie w artykułach redakcyjnych (jak np. „OBSERWATORIUM”). Dział „Listów do Redakcji” jest wolną trybuną w najszerszym tego słowa znaczeniu, gdzie

nie widzimy potrzeby stosowania selekcji czy cenzury. Jest on ograniczony jedynie miejscem, jakie na ten dział możemy poświęcić (niestety czytelnik polski traktuje przeważnie ten dział jako okazję do napisania artykułu).

Dział ten jest jednak niezmiernie pożyteczny, gdyż pozwala orientować się w poglądach czytelników, jakby one nie były krańcowe. Ani wszyscy Polacy nie są zajadłymi antysemitami ani też aniołami. W prasie krajów, o tradycjach naprawdę demokratycznych, jak np. w krajach anglosaskich, byłoby nie do pomyślenia by — jak robi to p. Laks — oceniać linię i stanowisko pisma na podstawie listów do Redakcji, nie zaś na podstawie artykułów redakcyjnych. Nie należy chyba traktować wszystkiego pod kątem zaangażowanej propagandy. Ważne jest również orientowanie się w poglądach nurtujących dane społeczeństwo, niezależnie czy te poglądy nam odpowiadają, czy też je zwalczamy. P. Gabryszewski ma takie samo prawo przedstawienia swych poglądów, jak i osoby ze środowisk żydowskich, których poglądy są czasem równie skrajne i niesprawiedliwe. Czy też powinny być potępione? (Redaktor).

Sommerset West, wrzesień 1971.

Szanowny Panie,

Powróciwszy po długiej nieobecności dopiero teraz wzięłem do ręki numer *Kultury* z czerwca 1971. Z ogromnym zainteresowaniem przeczytałem 20 stron doskonałego artykułu Zbigniewa Byrskiego na temat „czarnej lewicy w Stanach Zjednoczonych”. Jako bezstronny obserwator ruchu „Czarnych Panter” autor doskonale wykazał, że zrozumiały kompleks niższości Afro-Amerykanów doprowadził ich do tworzenia mitów i legend o afrykańskiej przeszłości ich rasy. Zjawisko celebrowania mniemanej chwały, nieco urojonej, nie jest zresztą nowe. Będąc w 1920 roku abonentem czarnego tygodnika *The Chicago Defender*, mogłem tam przeczytać żądanie zwrotu arcydzieł dawnych dynastii egipskich na rzecz Murzynów z Afryki. Już w 1923 stwierdziłem jak „Murzyni amerykańscy byli dumni z posiadania własnej świetnej przeszłości, dumni z należenia do rasy, która wydała Królową Sabę i kaznodzieję Tean’a”¹. Kto z nas ośmieliłby się wyśmiewać z tego wzruszającego, choć tak infantylnego przejawu dumy rasowej (o mało nie rapisałem szowinizmu!).

Jest jednak jedna rzecz, co do której niezupełnie zgadzam się z p. Byrskim. Na stronie 50-jej, badając osiągnięte w 1971 roku rezultaty w walce z dyskryminacją rasową w Stanach Zjednoczonych, dzieli on 50 stanów na dwie części: z jednej strony 45 stanów, osiągnęło daleko idący postęp w tej dziedzinie, natomiast wyjątek stanowi: 5 stanów południowych: „Alabama, Mississippi, Tennessee, Carolina Południowa i Północna, oraz kilkanaście okręgów, rozsianych po pozostałych stanach Południa, gdzie dalej istnieją rasistowska moralność i rasistowskie obyczaje”.

Przyznać muszę, że tego rodzaju zróżnicowanie dwóch kategorii Stanów wydaje mi się dość arbitralne. W oparciu o posiadaną dokumentację — znajdując się w odległości 10.000 km — i choć od wielu lat nie powróciłem do Stanów „Deep South”, jestem przekonany, że można by było zarówno dobrze, a może nawet wierniej podstawić na przykład zamiast Karoliny Północnej, Georgię która nie powinna być dodawana do Louisjany i Arkansasu, jako Stanów gdzie według p. Byrskiego istnieją okręgi czysto rasistowskie. Lub, w braku tej zamiany, należałoby dodać co najmniej Georgię do grupy podstawowej 5 Stanów wymienionych przez Byrskiego.

1. Franck N. Schoell, *La Question des Noirs aux Etats-Unis*, Paris Payot, 1923, p. 232.

Zgadzam się, że stolica, Atlanta, od dawna dała dowód swego liberalizmu rasowego. Ale co powiedzieć o okręgach wiejskich tego stanu, który jest przede wszystkim rolniczy i gdzie zagęszczenie Murzynami uważane jest za jedno z największych mimo poważnej emigracji na Północ i Zachód Stanów Zjednoczonych? Gdzie np. napięcia rasowe były tak niedawno jeszcze większe niż w małych miastach jak Greensboro? Nie chce mi się wierzyć że biali z „Empire State of the South” tak szybko zmienili swoje postępowanie w stosunku do swych czarnych współobywateli. Dostatecznie szybko, by p. Byrski zaklasyfikował Georgię do grupy 45 Stanów „postępowych”. Jeśli jego dokumentacja przekreśla moją — mogę mu tylko po-winszować.

Na zakończenie pozwolę sobie zwrócić uwagę na jeden mały błąd, który umknął uwagi autora na stronie 125-tej artykułu. P. Byrski mówi tam o WASP, kategorii społecznej obecnie dość rzadkiej, która w tak niedawnej przeszłości dawała dowody swego sztywnego antykatolicyzmu, antysemityzmu i antymurzyńskości. Inicjały WASP wyjaśnia on następująco: „White, Anglosaxon, Presbiterian”. Zamiast „presbiterian” należy odczytać „protestant”. Nie wiem kto mógł mu zasugerować tę dziwną interpretację. Mogłaby ona okryć hańbą (w oczach katolików) metodystów, baptystów, unitarianów, kongregacjonistów, mennonitów i inne Kościoły protestanckie w Stanach Zjednoczonych.

Łączę najlepsze pozdrowienia,

Franck N. SCHOELL

5042 Erftstadt-Liblar, 12 września 1971.

Szanowny Panie Redaktorze,

Z zainteresowaniem zabrałem się do artykułu prof. Matejki o jego byłych władcach, zresztą skądinąd nawet i fascynującego. Już na wstępie zaskoczył i zastanowił mnie jednak zupełny zanik poczucia dyferencjacji oraz bezkrytyczne wobec siebie samego podejście autora, cechy go raczej dyskwalifikujące.

Opisując stosunki w Polsce prof. Matejko stara się wywołać wrażenie człowieka pełnego krytyki wobec ustroju ideologiczno-politycznego oraz sposobu myślenia i bycia w tymże ustroju i w konsekwencji odżegnywującego się od niego. Wobec alternatywy w obliczu opublikowania lub nieopublikowania swej pracy nie zdobył się jednak na zachowanie godności osobistej, bowiem w sytuacji tej bardziej „żał mu było książki” niż ludzi pokrzywdzonych, nad którymi losem dzisiaj rzuca się zawiadzi, ale za którymi się opowiedzieć wtedy miał okazję zaprzeczając ją jednak. W rezultacie książkę wydrukował — ale kosztem pominięcia nazwisk kolegów, przeciwko którym zorganizowano nagonkę, zdobiąc się mimo tego ich dorobkiem naukowym.

Teraz utyskując w bezpiecznej Albercie nad klimatem, w którym likwiduje się ludzi bez zęnaty, staje się oskarżycielem ustroju faryzeuszowsko pomijając siebie samego. Stara się nie zauważać, że i on przyłożył się swoim zachowaniem do szerzenia się tego klimatu, który w konsekwencji i jemu potem zaszkodził. Nie powinno się zapominać, że klimat zależy od ludzi — zatem także i od zachowania się ludzi, nawet mniej znaczących w społeczeństwie niż prof. Matejko, co on jako socjolog — chociaż tylko od „przemysłu” — chyba rozumieć powinien.

Zapytując się czy zaprzestanie się wykańczać ludzi za to jedynie, że uczciwie pracują, ale nie skłonni są padać na twarz przed każdym z aktualnych bogów, ma prof. Matejko chyba i siebie na myśli.

Uczciwości pracy autora zakwestionować nie zamierzam, — mimo tego

specyficznego niezapominania o kolegach-socjologach. Ale faktu, że i on zaraził się ową padaczką oportunistów chyba nie w stanie jest zakwestionować na serio. Wykończono go, no i co? Jest to powodem do żalowania samego siebie? Niewiele wcześniej zachował się przecież w swym specyficznym konflikcie między książką a człowieczeństwem jota w jotę z tą samą „ludową godnością” z jaką i jego wykańczano. A może odpłacono mu tylko pięknym za nadobne? Taki to już mechanizm w tym ustroju.

Artykuł prof. Matejki podkreśla jaskrawiej niż mu na tym zależeć powinno, że podwładni nie różnią się zbyt bardzo od swych władców. A za to chyba nie prof. Matejce podziękować trzeba, bo u niego to raczej przez nieopatrzność szydło wyszło z worka! — podziękować trzeba raczej Szanownemu Panu Redaktorowi, że Pan nieopatrzności tej nie dopatrzył.

Z wyrazami szczerego poważania dla Pracy Szanownego Pana Redaktora oraz głębokiego szacunku dla Niego

Prof. dr Georg W. STROBEL

Franconville, 28 września 1971.

Szanowny Panie Redaktorze,

W związku z artykułem p. Adama Sutkowskiego, poświęconym mojej twórczości, opublikowanym w *Kulturze*, nr. styczeń-luty 1971, proszę o zamieszczenie na łamach pisma Panów następującego sprostowania:

Autorem scenariusza mego baletu „Zaczarowana Oberża” jest nie Stanisław Vincenz, jak podaje p. Sutkowski, lecz *WITOLD CONTI*, znany w okresie międzywojennym polski aktor filmowy i mój bliski przyjaciel — który zginął w bombardowaniu Nicei w roku 1944.

Z góry dziękując, łączę wyrazy prawdziwego poważania.

Antoni SZAŁOWSKI

Lund, 4 października 1971.

Szanowny Panie Redaktorze,

Przeczytałem jak zawsze z dużym zainteresowaniem ostatni numer *Kultury*. Zwróciłem uwagę, że przewija się w nim jakby ze wstydem czy zażenowaniem temat Żydów polskich. Artykuł Brychta, Grabowskiej, korespondencje p. Gabryszewskiego, czytelnika z Kanady, listy polemiczne są chyba najlepszym powodem, by temat ten, jak zaznaczyłem drażliwy, poruszyć właśnie na łamach *Kultury* w sposób kompleksowy a nie fragmentaryczny.

Nie ulega wątpliwości, że akcja antysemita rozpoczęta w Polsce ze szczególną ostrością przez Partię i Rząd PRL, była czymś wyjątkowym w drugiej połowie XX wieku i miała charakter wybitnie nacjonalistyczno-faszystowski i miała na celu dyskryminację Żydów w Polsce. Następstwa tej akcji, która spowodowała masowy exodus Żydów na przestrzeni ostatnich kilku lat, mogły wywołać inne groźne następstwa, choćby takie jak pogromy czy obozy. To czego dokonano, to pozbawienie Żydów możliwości pracy zarobkowej, ich wyizolowanie z życia społecznego. Najbardziej krzywdzące w tej akcji, jest to, że miała ona charakter masowy czy generalny. Żyd, czy człowiek pochodzenia żydowskiego, czy też utrzymujący kontakty z Żydami został jednakowo potraktowany. Polak, który indywidualnie próbował bronić nawet indywidualnego Żyda, musiał, niestety, podzielić jego los. Małżeństwa mieszane, Żydzi w pełni zasymilowani byli może tą akcją partyjno-policyjną najbardziej dotknięci, uniemożliwiono im życie w Kraju który kochali, chcieli w nim żyć mimo negatywnych cech ustrojowych.

Nie ulega jednak wątpliwości, że żydowski komuniści, odegrali w Polsce na przestrzeni ostatnich kilkudziesięciu lat rolę wybitnie negatywną, wystarczy tylko przypomnieć ich stanowisko w okresie po I wojnie światowej, sprawę Śląska i Gdańska, które za ich agitacją miały dostać się w ręce niemieckie, zorganizowanie „rządu” Marchlewskiego-Kona, tworzenie już na terenie Polski niepodległej partii komunistycznej zachodniej Ukrainy i Białorusi. W okresie okupacji zwalczanie rządu londyńskiego, denuncjowanie Armii Krajowej itd. Opanowawszy w PRL bezpieczeństwo, prokuraturę, organy kontroli, odznaczyli się okrucieństwem i bestialstwem, które w wielu wypadkach było gorsze od prac Gestapo. Ich ofiarą padli zasłużeni Polscy członkowie AK, powracający z Zachodu bojownicy o Polskę niepodległą, kler, chłopci, kupcy, ziemianie. Wystarczy wymienić takie nazwiska jak Bristigerowa, Różański, Światło, Fejgin i wielu innych którzy obecnie szukają schronienia w krajach skandynawskich i NRF. Dobrze poinformowane władze USA, całkiem po prostu nie chcą ich mieć u siebie.

Wydaje się dziwne, że te indywidua winne ludobójstwa, podobnie jak hitlerowcy, są za granicami PRL bezkarni. W wielu wypadkach rozpoczynają nowe życie, w komfortowych mieszkaniach, na dobrych posadach, mówiąc, że do tej służby jaką pełnili zostali zmuszeni.

Wydaje się również dziwne, że obecny, legalny rząd Izraela, bardzo za granicą szanowany, nie potępia tych jednostek, nie karze ich choćby infamią. Uważam, że gdyby tak się stało, los innych Żydów polskich, wygnanych z Kraju, w którym pracowali z pełnym zapałem i nie robili nikomu krzywdy, stałby się naprawdę lepszy, a ludzie w Polsce opanowani zarazą antysemityzmu, zrozumieliby, że należy wreszcie zboże oddzielić od plewy, przynaliby pełną rację p. Grynbergowi, którego list wielu ludzi wzruszył, a wzruszyłby jeszcze więcej, gdyby pan Grynberg pokusił się o nazwanie całej „sprawy żydowskiej” po imieniu. Ma ku temu talent i kulturę. Nie znam go osobiście, ale jestem przekonany że zrobiłby to dobrze.

Kończę na tym swoje uwagi, które nasunęły mi się tu, za granicą, szczególnie mocno po przeczytaniu ostatniego numeru *Kultury*, a także tego co jest sednem sprawy i podyktowane powinno być z pełnym obiektywizmem.

Bardzo proszę Pana Redaktora o zamieszczenie tego listu, na pewno wywoła pełną dyskusję o tej jak dotąd żenującej sprawie.

Łączę wyrazy poważania,

Krzysztof WENDA

Londyński korespondent „Kultury”: Juliusz MIEROSZEWSKI
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: 01-994-1860.

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Kanadyjski korespondent „Kultury”: Wacław IWANIUK
263 Keewatin Ave., Toronto 12, Ont. — Telefon: 481 93 63.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, 78-Maisons-Laffitte
Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Dépôt Légal : 4^e Trimestre 1971.

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Roman Krolikowski, 507 Westmorland, O'Reilly Road, Johannesburg	R. 1,—	R. 5,85	R. 10,65
ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc. 25	F. 7,50	F. 45,00	F. 82,00
AUSTRALIA : « Vistula » (Australia) Pty. Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney N.S.W. 2000	\$ A. 1,50	\$ A. 8,00	\$ A. 15,00
AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien 1, Schönlaterngasse Nr 5/2, Stiege/Türe 14, Tel. 52-40-762	—	Sch.A. 200,00	Sch.A. 380,00
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynen, app. 57, 1030 Bruxelles, Nr konta pocztow. 7315-20. Tel. 18.69.23	F.B. 75,00	F. B. 400,00	F. B. 750,00
BRAZYLIA : Janina Pomian-Piatkowska, rua Gułara 143, villa Pompeia, Sao Paulo. Tel. 62-0523	\$ US 1,50	\$ US. 8,00	\$ US 15,00
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 7,50	F. 40,00	F. 75,00
HOLANDIA : Inz. J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, Vlissingen, (01184) 4073, Postgiro 1379176	Fl. h. 5,00	Fl. h. 28,00	F. h. 54,00
KANADA : Krystyna Krakowska, 5109 Blvd de Maisonneuve O., Montreal 260 Que., Tel. 482-4673; B. Krasuski, 8 High Park Blvd., Toronto 3, Ont.; Rev. Donald Malinowski, 361 Burrows Ave., Winnipeg 4, Man., Tel. 586-3825; Z. Micherdzinski, 34 Facer Str., St. Catharines, Ontario, Jozef Polkowski, 110 Cobourg Street, apt. 301. Ottawa 2, Telefon: 233-7212; « Polish Voice Publishing » Co., 1089 Queen str. W., Toronto 145, Ont.; « ZWIĄZKOWIEC », 1475 Queen St. W. Toronto 3, Ont., Tel. LE 1-2491	\$ Can. 1,50	\$ Can. 8,00	\$ Can. 15,00
NIEMCY : St. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr 7/1	DM. 5,50	DM. 30,00	DM. 55,00
NORWEGIA : Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss	F. 7,50	F. 45,00	F. 82,00
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Case postale, 1211 Genève 7. Tel. 33 34 20, Nr konta pocztow. 12.14431	F. S. 6,00	F. S. 35,00	F. S. 65,00
SZWECJA : Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm	K. S. 7,50	K. S. 40,00	K. S. 75,00
U.S.A. : S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009; L. Dudarew-Ossetynski, 1603 No Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046; S. Dziarczykowski, 2402 Chermoya Ave., Hollywood, Cal. 90028; Ada Dziewanowska, 41 Katherine Rd., Watertown, Mass. 02172; Adam J. Galinski, 1727 Mass. Ave. N.W. Washington, D.C. 20036; T. Konopacki, 11839 Edgewater Dr., Lakewood, O. 44107, Tel. LA-1-2305; Christian M. Kretowicz, 4477 Wilson Av., San Diego, Cal. 92116; V.B. Kwast, 376, Wallingford Terr., Union, N.J. 07083, Tel. MU 8-0346; Edward Posynlak, 595 Fillmore Av., Buffalo N.Y. 14212; Praca, 2419 Memphis St., Philadelphia, Pa 19125; The Polish Book Importing Co., 410 Matchaponix Ave., Jamesburg, N.J. 08831. Edward Puacz, POLONIA, 2903 Milwaukee Ave., Chicago, Ill. 60618. R. J. Sas-Babczynski, 15517 Woodruff Ave., Nr 44, Bellflower, Cal. 90706, Tel. 867-1857; Jan Wojcik, 674 Farmington Ave., New Britain, Conn. 06053; Jan Zych, 5436 Chopin, Detroit, Mich 48210, Tel. 899-5165	\$ US 1,50	\$ US. 8,00	\$ US 15,00
W. BRYTANIA : P.C.A. Publications Ltd., 20, Queen's Gate Terrace, London, S.W.7.	12 sh.	£ 3.10.00	£ 6.00.00
WŁOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 int. 27., Tel. 75-67-241	L. It. 900	L. It. 4600	L. It. 9000

W krajach niewymienionych prenumerata roczna F.82; półroczna F.45.
Przesyłka pojedynczego numeru: 0,70 F.

Należności można wpłacać przekazem pocztowym na konto pocztowe:
INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, 78-Mesnil-le-Roi,
par MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56 (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 208 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT DWUDZIESTY

Zawiera m.in.: W. Babiński: *Prasa angielska w sprawach polskich na przelomie lat 1943-1944*; St. Kirkor: *Próby dozbrowienia Polski i Ewakuacja Min. Skarbu w 1939 r.*; Józef Beck: *Preliminaria polityczne do wojny 1939 r. i Komentarze do historii dyplomatycznej wojny 1939 r.*; A. Ciołkosz: *„Dzielnica żydowska” obozu w Jabłonie* oraz szereg innych artykułów, RELACJE i WSPOMNIENIA — POLEMIKI — RECENZJE i LISTY DO REDAKCJI.

Str. 256.

Cena F. 18,50 (dol. 4,00; £ 1.50)

TOM 209 - SERIA "DOKUMENTY"

WŁADYSŁAW BIEŃKOWSKI

SOCJOLOGIA KLĘSKI

(Dramat gomulłkowskiego czternastolecia)

zawiera następujące rozdziały:

Przer.mowa. — Pytania wstępne. — Program-utopia — czy manewr taktyczny. — Gospodarze bezdroża. — Odbudowa i rozkład aparatu partyjnego. — Koniec jedności i „parcelacja centralizmu”. — Komentarz do wywarzeń marcowych. — Produkty rozkładu. — Rachunek społecznego sumienia. — Kilka wniosków. Oraz ANEKSY: Uwagi o aktualnej sytuacji kraju. — Michała Kaleckiego „Uwagi o planie gospodarczym na lata 1966-1970”. — List autora do Wł. Gomulki z 11 marca 1970 roku. — „Refleksje nad dyscypliną”. List autora do *Trybuny Ludu* z 5 lutego 1971. — Przed użyciem wstrząsnąć (Refleksje nad zastosowaniem nauki).

Str. 136

Cena F. 14 (dol. 3,25; £ 1.25)

TOM 210 — JERZY STEMPOWSKI

(Paweł Hostowiec)

OD BERDYCZOWA DO RZYMU

Wybór dzienników podróży wybitnego eseisty i humanisty z okresu przed- i powojennego, które wraz z poprzednio wydanym przez Instytut Literacki tomem „Eseje dla Kassandry”, obejmują znakomitą większość dorobku literackiego niedawno zmarłego Autora.

Str. 416.

Cena egz. F. 35 (dol. 7,25; £2,90)